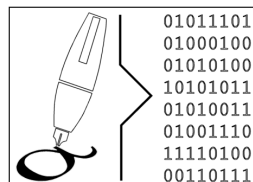


PHILIP K. DICK

TRZY STYGMATY PALMERA ELDRITCHA

Przełożył: Zbigniew Królicki



Tytuł oryginału:

The Three Stigmata of Palmer Eldritch

Data wydania polskiego: 1990 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1964 r.

Rozdział 1

Barney Mayerson zbudził się z niezwykle silnym bólem głowy i stwierdził, że znajduje się w obcej sypialni, w obcym domu. Obok, okryta aż po nagie, gładkie ramiona spała nieznajoma dziewczyna. Lekko oddychała przez usta; jej włosy były białe jak bawełna.

Na pewno spóźnię się do pracy, pomyślał. Wyśliznął się z łóżka i wstał chwiejnie, nie otwierając oczu i powstrzymując mdłości. Do biura miał z pewnością kilka godzin jazdy. A może nawet nie znajdował się w Stanach Zjednoczonych. Jednak z pewnością był na Ziemi; ciążenie, pod którego wpływem się zachwiało, było znajome i normalne.

A w sąsiednim pokoju, przy sofie stała znajoma walizka jego psychiatry, doktora Smile'a.

Boso poczłapał do salonu i usiadł obok walizeczki; otworzył ją, pstryknął przełącznikami i włączył doktora Smile'a. Czujniki ożyły i mechanizm zaczął cicho mrużyć.

— Gdzie jestem? — spytał Barney. — I jak daleko stąd do Nowego Jorku?

To było najważniejsze. Teraz spostrzegł zegar wiszący na ścianie kuchni; 7:30. Wcale nie tak późno.

Mechanizm, który był przenośnym terminalem doktora Smile'a, połączonym radiowo z komputerem w piwnicy mieszkalni Barneya, czyli Renown 33 w Nowym Jorku, stwierdził metalicznym głosem:

— Ach, pan Bayerson.

— Mayerson — sprostował Barney przyglądając włosy drżącymi palcami. — Co pamiętasz z ostatniej nocy?

Z uczuciem głębokiej odrazy dostrzegł stojące na kredensie w kuchni na pół opróżnione butelki burbona, wodę sodową, cytrynę, tonik i pojemniki na lód.

— Kim jest ta dziewczyna?

— Ta dziewczyna w łóżku to panna Rondinella Fugate — zakomunikował dr Smile. — Prosiła, by pan ją nazywał Roni.

Brzmiało to dziwnie znajomo, a jednocześnie w jakiś niejasny sposób wiązało się z jego pracą.

— Słuchaj — powiedział do walizki, ale w tej samej chwili dziewczyna w sypialni poruszyła się. Szybko zamknął doktora Smile'a i wstał, czując się śmieszny i niezgrabny w samych gatkach.

— Wstałeś już? — spytała sennie dziewczyna. Wyplątała się z pościeli i usiadła patrząc na niego. Dość ładna, stwierdził Barney; ma piękne, duże oczy. — Która godzina i czy nastawiłeś wodę na kawę?

Pomaszerował do kuchni i uruchomił kuchenkę. Usłyszał trzask zamykanych drzwi; dziewczyna poszła do łazienki. Dał się słyszeć szum wody. Roni brała prysznic.

Wróciwszy do salonu znów włączył doktora Smile'a.

— Co ona ma wspólnego z P.P. Layouts? — spytał.

— Panna Fugate jest pańską nową asystentką. Przybyła wczoraj z Chin Ludowych, gdzie pracowała dla P.P. Layouts jako konsultantka-prognostyczka na ten region. Jednak panna Fugate, choć utalentowana, jest bardzo niedoświadczona i pan Bulero zdecydował, że krótka praktyka w charakterze pańskiej asystentki... Powiedziałbym „pod pańskim zwierzchnictwem”, ale mogłoby to zostać źle zrozumiane, zważywszy...

— Wspaniale — rzekł Barney.

Wszedł do sypialni, znalazł swoje ubranie rzucone — z pewnością przez siebie samego — na podłogę i zaczął się powoli ubierać. Wciąż czuł się okropnie i z trudem powstrzymywał mdłości.

— To się zgadza — powiedział do doktora Smile'a wracając do salonu i dopinając koszulę. — Przypominam sobie wiadomość od Fridaya o panie Fugate. Jej talent jest trochę nierówny. Popełniła poważny błąd z tą wystawą o wojnie domowej w USA... Wyobraź sobie, myślała, że to będzie piorunujący sukces w Chinach Ludowych. — Roześmiał się.

Drzwi do łazienki uchyliły się odrobinę. W szparze dostrzegł różową, czystą Roni wycierającą się po kąpieli.

— Wołałeś mnie, kochanie?

— Nie — odparł. — Rozmawiałem ze swoim lekarzem.

— Każdy popełnia błędy — powiedział dr Smile, trochę bez przekonania.

— Jak to się stało, że ona i ja... — rzekł Barney robiąc gest w kierunku sypialni. — Tak od razu?

— Chemizm — rzekł dr Smile.

— Daj spokój.

— No, oboje jesteście jasnowidzami. Przewidzieliście, że to w końcu nastąpi... że zaangażujecie się erotycznie. Tak więc stwierdziliście — po kilku kieliszkach — że nie ma sensu czekać. Życie krótkie, sztuka...

Walizka umilkła, ponieważ Roni Fugate wyłoniła się z łazienki i przeszła nago obok Barneya kierując się do sypialni. Barney stwierdził, że ma smukłe ciało

i naprawdę wspaniałą figurę, a jej małe, ostre piersi wieńczą sutki nie większe niż para różowych groszków. A raczej para różowych pereł, poprawił się w myślach.

— Chciałam cię zapytać w nocy — powiedziała Roni Fugate — dlaczego konsultujesz się z psychiatrą? Nosisz tę walizkę cały czas ze sobą. Odstawiłeś ją dopiero wtedy, gdy... i miałeś ją włączoną aż do...

Podniosła brwi i spojrzała na niego badawczo.

— Jednak wtedy ją wyłączyłem — podkreślił Barney.

— Uważasz, że jestem ładna?

Stając na palcach wyprostowała się, wyciągnęła ręce nad głowę i ku jego zdumieniu zaczęła serię ćwiczeń, skacząc i podskakując, kołysząc piersiami.

— Z całą pewnością — mruknął zaskoczony.

— Ważyłabym tonę — sapnęła Roni Fugate — gdybym nie robiła co rano tych ćwiczeń opracowanych przez Wydział Broni ONZ. Idź i nalej kawę do filiżanek, dobrze, kochanie?

— Czy naprawdę jesteś moją nową asystentką w P.P. Layouts? — spytał Barney.

— Tak, oczywiście. To ty nie pamiętasz? No tak, myślę, że jesteś taki jak większość czołowych jasnowidzów. Tak dobrze widzisz przyszłość, że mętnie przypominasz sobie przeszłość. A właściwie to co pamiętasz z ostatniej nocy?

Na chwilę przestała ćwiczyć, z trudem łapiąc oddech.

— Och — rzekł Barney — chyba wszystko.

— Słuchaj. Jedyнным powodem, dla którego taszczysz ze sobą psychiatrę, może być to, że dostałeś kartę powołania. Zgadza się?

Po krótkim wahaniu kiwnął głową. To pamiętał. Znajoma podłużna, niebieskozielona koperta przybyła tydzień temu. W przyszłą środę w wojskowym szpitalu ONZ w Bronxie będą sprawdzać, czy jest przy zdrowych zmysłach.

— Czy to pomogło? Czy on... — gestem wskazała walizeczkę — zrobił cię dostatecznie chorym?

Odwracając się do przenośnego doktora Smile'a Barney zapytał:

— Zrobiłeś?

Walizeczka odparła:

— Niestety, jest pan wciąż całkowicie zdalny, panie Mayerson. Może pan znieść stres dziesięciofreudowy. Przykro mi. Jednak mamy jeszcze kilka dni. Dopiero zaczęliśmy.

Wszedłszy do sypialni Roni Fugate wzięła bieliznę i zaczęła się ubierać.

— I pomyśleć tylko — westchnęła. — Jeżeli pana powołają, panie Mayerson, i wyślą do kolonii... może się okazać, że obejmę pańską posadę.

Uśmiechnęła się pokazując wspaniałe, równe zęby.

Była to ponura perspektywa. I zdolność jasnowidzenia niewiele mu pomogła. Ostateczny rezultat był niepewny, a szale przyczyny i skutku w idealnej równowadze.

— Nie poradzisz sobie — orzekł. — Nie mogłaś sobie poradzić nawet w Chinach, a to stosunkowo nieskomplikowana sytuacja, jeśli chodzi o analizę rozkładu prawdopodobieństw.

Jednak kiedyś da sobie radę — Barney mógł to przewidzieć bez trudu. Była młoda i obdarzona wybitnym talentem. Jedyne, czego potrzebowała, by mu dorównać — a on był w swoim fachu najlepszy — to kilka lat praktyki. W miarę jak odzyskiwał świadomość sytuacji, coraz jaśniej zdawał sobie z tego sprawę. Było bardzo prawdopodobne, że zostanie powołany, a nawet jeśli nie, Roni Fugate może odebrać mu dobrą, wygodną posadę, na którą wspinał się szczebel po szczeblu przez długie trzynaście lat.

Dość szczególne rozwiązanie problemu: pójść z nią do łóżka. Zastanawiał się, jak na to wpadł.

Nachyliwszy się, rzekł cicho do doktora Smile'a:

— Chciałbym, żebyś mi wyjaśnił, skąd, do cholery, przyszło mi. . .

— Ja mogę na to odpowiedzieć — zawołała z sypialni Roni Fugate. Właśnie założyła dość obcisły bladozielony sweter i zapinała go przed lustrem toaletki.

— Powiedziałeś mi to w nocy, po piątym burbonie z wodą. Mówiłeś. . . — Urwała. W jej oczach zabłyśły figlarne iskierki. — To było niezbyt eleganckie. Powiedziałeś: „Jeśli nie można ich pokonać, trzeba ich polubić”. Tyle że, przykro mi to mówić, użyłeś nieco innego czasownika.

— Hmm — mruknął Barney i poszedł do kuchni nalać sobie kawy.

W każdym razie znajdował się niedaleko od Nowego Jorku; skoro panna Fugate była zatrudniona w P.P. Layouts, to nie mogła mieszkać daleko od firmy. Zatem mogą pojechać razem. Wspaniale. Zastanawiał się, czy ich pracodawca, Leo Bulero, pochwaliłby to, gdyby wiedział. Czy firma zajmowała jakieś oficjalne stanowisko w sprawie sypania pracowników ze sobą? Zajmowała je niemal w każdej innej sprawie. . . chociaż nie miał pojęcia, jak człowiek spędzający całe życie na plażach kurortów Antarktyki lub w niemieckich klinikach Terapii E był w stanie stworzyć dogmaty obejmujące wszystko.

Pewnego dnia, powiedział sobie, będę żył jak Leo Bulero, zamiast tkwić w Nowym Jorku podczas czterdziestostopniowych upałów. . .

Nagle poczuł lekkie pulsowanie pod nogami; podłoga zatrzęsa się. To włączył się system chłodzący. Zaczął się nowy dzień.

Za oknami kuchni gorące, nieprzyjazne słońce wyłoniło się zza budynków. Barney zmrużył oczy pod wpływem blasku. Zapowiadał się kolejny bardzo upalny dzień. Jak nic, dojdzie do dwudziestu w skali Wagnera. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby to przewidzieć.

W mieszkalni o nędznym, wysokim numerze 492 na peryferiach miasta Marylin Monroe w stanie New Jersey Richard Hnatt bez entuzjazmu jadł śniadanie

jednocześnie przeglądając, z uczuciem jeszcze dalszym od entuzjazmu, poranną wideogazetę z notowaniami zespołu pogodowego z poprzedniego dnia.

Główny lodowiec, Ol'Skintop, cofnął się o 4,62 grabli w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. A temperatura w Nowym Jorku w południe była wyższa o 1,46 wagnera niż dwa dni temu. Ponadto wilgotność powietrza spowodowana parowaniem oceanu wzrosła o 16 selkirków. Było więc cieplej i wilgotniej; proces naturalny nieuchronnie toczył się — ku czemu? Hnatt odłożył gazetę i podniósł pocztę dostarczoną przed świtem... sporo czasu upłynęło, od kiedy listonosze przestali włączyć się za dnia.

Pierwszy rachunek, jaki wpadł mu w oko, był zwykłym zdzierstwem za chłodzenie mieszkania; Hnatt zalegał administracji mieszkalni 492 dokładnie dziesięć i pół skina za ostatni miesiąc, co oznaczało podwyżkę o trzy czwarte skina w stosunku do kwietnia. Kiedyś, pomyślał, zrobi się tak gorąco, że nic nie uchroni mieszkadła od roztopienia się. Pamiętał dzień, kiedy jego kolekcja nagrań zlepiła się w brylastą masę. To było gdzieś w '04 — z powodu chwilowej awarii systemu chłodzącego mieszkalni. Teraz miał taśmy żelazowe, które się nie topiły. Wtedy jednocześnie padły wszystkie papużki i wenusjańskie minikanarki w budynku, a żółw sąsiada ugotował się we własnej skorupie. Oczywiście zdarzyło się to w dzień i wszyscy — a przynajmniej wszyscy mężczyźni — byli w pracy. Żony kuliły się na najniższej z podziemnych kondygnacji, myśląc (pamiętał, jak opowiadała mu o tym Emily), że w końcu nadeszła ta okropna chwila. Nie za sto lat, ale właśnie t e r a z. Że prognozy Politechniki Kalifornijskiej były błędne... ale rzecz jasna nie były; po prostu przerwany został kabel energetyczny nowojorskich służb komunalnych. Roboty szybko przybyły i naprawiły go.

W pokoju stołowym jego żona siedziała w niebieskim szlafrocuku, cierpliwie pokrywając szkłem wodnym jakiś przedmiot z nie wypalanej ceramiki; wystawiła czubek języka, a oczy jej błyszczały... zręcznie operowała pędzelkiem i Hnatt był pewny, że rzecz będzie dobra. Widok Emily przy pracy przypomniał mu o zadaniu, jakie dziś przed nim stało. Niemiła perspektywa.

— Może powinniśmy jeszcze trochę poczekać, zanim się z nim skontaktujemy — rzekł opryskliwie.

Nie patrząc na niego Emily powiedziała:

— Nigdy nie będziemy mu mogli zaprezentować lepszej kolekcji, niż mamy teraz.

— A co, jeśli powie nie?

— Będziemy próbować dalej. A czego się spodziewałeś, że zrezygnujemy tylko dlatego, iż mój dawny mąż nie potrafi lub nie zechce przewidzieć, jakim sukcesem okażą się one na rynku?

— Znasz go, ja nie — odparł Richard Hnatt. — Chyba nie jest mściwy, co? Nie żywi urazy?

A właściwie jaką urazę mógł żywić dawny małżonek Emily? Nikt nie zrobił

mu krzywdy. Jeżeli już o tym mowa, to było chyba na odwrót, a przynajmniej tak wynikało z relacji Emily.

Dziwnie się czuł ciągle słuchając o Barneyu Mayersonie, nigdy go nie poznawszy, nigdy nie spotkawszy osobiście. Teraz się to zmieni, ponieważ dziś o dziewiątej ma umówione spotkanie z Mayersonem w jego biurze w P.P. Layouts. Mayerson rzecz jasna będzie miał przewagę. Może rzucić jedno krótkie spojrzenie na zestaw ceramiki i uprzejmie podziękować. Nie, może powiedzieć, P.P. Layouts nie jest zainteresowany. Proszę wierzyć moim zdolnościom prekognicyjnym, mojemu talentowi prognozowania mody i doświadczeniu. . . I Richard Hnatt wyjdzie z kolekcją naczyń pod pachą, nie mając dokąd się udać.

Wyglądając przez okno zobaczył z niechęcią, że już zrobiło się zbyt gorąco, by człowiek mógł to znieść. Ruchome chodniki opustoszały gwałtownie, gdyż wszyscy szukali schronienia pod dachem. Była ósma trzydzieści i musiał już wyjść. Podniósł się i ruszył do przedpokoju, by wyjąć z szafy hełm i obowiązkowy aparat chłodzący. Prawo nakazywało, by każdy dojeżdżający do pracy nosił go na plecach aż do zmroku.

— Do widzenia — skinął głową żonie przystając przy drzwiach.

— Do widzenia i wiele szczęścia.

Jeszcze pilniej zajęła się pracochłonnym glazurowaniem i Richard pojął, że świadczyło to o napięciu. Nie mogła sobie pozwolić choć na chwilę przerwy. Otworzył drzwi i wyszedł do holu, czując chłodny podmuch przenośnego aparatu chłodzącego pykającego za jego plecami.

— Och — zawołała Emily, gdy zaczął zamykać drzwi; uniosła głowę i odgarnęła z oczu długie, brązowe włosy. — Daj znać zaraz po wyjściu z biura Barneya, gdy tylko będziesz wiedział, na czym stoimy.

— W porządku — odparł i zamknął za sobą drzwi.

Na dole, w banku, otworzył sejf i wyjąwszy kasetkę z depozytem zaniósł ją do odosobnionego pomieszczenia. Wyjął z niej pudło zawierające próbki ceramiki, które miał pokazać Mayersonowi.

Wkrótce potem znalazł się na pokładzie izotermicznego pojazdu komunikacji miejskiej, w drodze do śródmieścia Nowego Jorku i P.P. Layouts — wielkiego budynku z brudnobiałego syntetycznego cementu, gdzie narodziła się Perky Pat i cały jej miniaturowy świat. Lalka, rozmyślał Hnatt, która podbiła człowieka podbijającego właśnie planety Układu Słonecznego. Perky Pat, obsesja kolonistów. Cóż za komentarz do życia w koloniach. . . cóż można rzec więcej o tych nieszczęśliwcach, którzy — zgodnie z ONZ-owskim prawem o selektywnym poborze do służby — zostali wykopani z Ziemi i musieli rozpocząć nowe, obce życie na Marsie, Wenus, Ganimedzie czy też gdzieś indziej, gdzie biurokratom z ONZ przyszło do głowy ich umieścić. . . Niektórym może nawet udawało się przeżyć.

A my uważamy, że tu jest źle, powiedział do siebie.

Osobnik w sąsiednim fotelu, mężczyzna w średnim wieku noszący szary hełm,

koszulę bez rękawów i jasnoczerwone szorty popularne wśród biznesmenów, napomknął:

— Znów będzie gorąco.

— Tak.

— Co ma pan w tym wielkim kartonie? Żarcie na piknik dla stada marsjańskich kolonistów?

— Ceramikę — odrzekł Hnatt.

— Założę się, że wypala ją pan wystawiając po prostu przed drzwiami w południe — zachichotał biznesmen, po czym wyjął poranną wideogazetę i zaczął przeglądać. — Donoszą, że statek spoza Układu Słonecznego rozbił się na Plutonie — rzekł. — Wysłano zespół, aby to zbadać. Myśli pan, że to Proxi? Nie znoszę tych z innych systemów.

— Bardziej prawdopodobne, że to jeden z naszych własnych statków — stwierdził Hnatt.

— Widział pan kiedy takiego z Proximy?

— Tylko zdjęcia.

— Okropne — zauważył biznesmen. — Jeśli znajdą ten rozbity statek na Plutonie i okaże się, że to Proxi, to mam nadzieję, że zmiotą ich laserem. W końcu prawo zakazuje im przylatywać do naszego układu.

— Racja.

— Mógłbym zobaczyć pańską ceramikę? Ja robię w krawatach. Niby ręcznie robione żywe krawaty Wernera we wszystkich kolorach Tytana. . . Mam jeden na sobie, widzi pan? Te kolory są w rzeczywistości prymitywną formą życia, którą przywozimy i hodujemy tu na Ziemi. Sposób zmuszania ich do reprodukcji to nasza tajemnica. Wie pan, tak jak i skład Coca-Coli.

Hnatt powiedział:

— Z podobnego powodu nie mogę pokazać panu tej ceramiki, mimo że bardzo bym chciał. To nowe wzory. Wiozę je do prognosty-jasnowidza w P.P. Layouts. Jeśli zechce je zminiaturyzować do kompletów Perky, to będziemy w domu. Wystarczy przesłać info do prezentera P.P. . . . jak on się nazywa? . . . krążącego wokół Marsa. Dalej już pójdzie.

— Ręcznie robione krawaty Wernera są częścią zestawów Perky — poinformował go tamten. — Jej chłopiec Walt ma ich całą szafę. — Rozpromienił się. — Kiedy P.P. Layouts zdecydowały się na miniaturyzację naszych krawatów. . .

— Czy to z Barneyem Mayersonem prowadził pan rozmowy?

— Ja z nim nie rozmawiałem; to nasz miejscowy kierownik działu sprzedaży. Mówią, że Mayerson jest trudny. Zdaje się kierować impulsami, a kiedy już podejmie decyzję, nigdy jej nie zmienia.

— Zdarzają mu się pomyłki? Odrzuca rzeczy, które stają się modne?

— Pewnie. Może to jasnowidz, ale jest tylko człowiekiem. Powiem panu coś, co może być pomocne. Jest bardzo podejrzliwy w stosunku do kobiet. Jego mał-

żeństwo rozpadło się kilka lat temu i nigdy się z tym nie pogodził. Widzi pan, jego żona zaszła w ciążę dwa razy i zarząd jego mieszkalni, zdaje się, że numer 33, przegłosował na zebraniu eksmisję jego i żony z powodu naruszenia przepisów administracji. No, zna pan 33; wie pan, jak trudno dostać się do budynku o tak niskim numerze. Tak więc zamiast zrezygnować z mieszkadła wołał rozwieść się z żoną i ona się wyprowadziła zabierając dziecko. Później widocznie doszedł do wniosku, że popełnił błąd, i żałował tego. Rzecz jasna obwiniął się o popełnienie tej pomyłki. To jednak dość zrozumiałe, na Boga, czego nie oddalibyśmy, żeby mieszkać w 33, a nawet w 34? Nigdy się znowu nie ożenił; może jest neokatolikiem. W każdym razie, kiedy pójdzie pan sprzedawać mu swoją ceramikę, niech pan będzie bardzo ostrożny w kwestii kobiet. Niech pan nie mówi: „to spodoba się paniom” ani nic takiego. Większość transakcji detalicznych. . .

— Dzięki za radę — przerwał mu Hnatt wstając. Niosąc pudło z ceramiką precyzyjnie się do wyjścia.

Westchnął w duchu. To będzie trudne, może nawet beznadziejne, nie był w stanie pokonać okoliczności, wydarzeń, które miały miejsce na długo przed jego związkiem z Emily i jej naczyniami. Tak to jest.

Na szczęście zdołał złapać taksówkę. Gdy wiozła go przez zatłoczone śródmieście, przeczytał poranną wideogazetę, a szczególnie rewelacje o statku, który — jak uważano — wrócił z Proximy tylko po to, by rozbić się na mroźnym pustkowiu Plutona. Co za sugestia! Domyślano się już, że może tu chodzić o dobrze znanego międzyplanetarnego przemysłowca Palmera Eldritch, który dziesięć lat temu wyruszył do układu Proximy na zaproszenie humanoidalnej Rady Proximy. Chcieli, by zmodernizował ich autofabryki na sposób ziemski. Od tej pory nikt nie słyszał o Eldritch. Aż do teraz.

Prawdopodobnie byłoby lepiej dla Ziemi, gdyby Eldritch nie wrócił, zdecydował po namyśle. Palmer Eldritch był zbyt nieokiełznanym i błyskotliwym indywidualistą. Dokonał cudów w dziedzinie zautomatyzowanej produkcji na planetach skolonizowanych, ale — jak zwykle — poszedł za daleko, zbyt wiele planował. Produkty piętrzyły się w nieprawdopodobnych miejscach, gdzie nie było kolonistów, którzy by je wykorzystali. Zmieniały się w góry śmieci, w miarę jak pogoda niszczyła je niepowstrzymanie, kawałek po kawałku. Szczególnie burze śnieżne, jeśli wierzyć, że takie jeszcze gdzieś istnieją. . . podobno są miejsca, gdzie jest naprawdę zimno. W rzeczy samej, aż za zimno.

— Jesteśmy na miejscu, wasza wysokość — poinformował go autonomiczny system taksówki, zatrzymując pojazd przed dużą budowlą, której większa część kryła się pod ziemią. P.P. Layouts. Pracownicy wchodzili do budynku przez szereg izolowanych termicznie tuneli.

Zapłacił za taksówkę, wyskoczył z niej i przemknął przez otwartą przestrzeń do tunelu trzymając pudło obiema rękami. Światło słoneczne dotknęło go przełotnie i Hnatt poczuł — czy też wyobraził sobie, że czuje — skwierczenie skóry.

Upieczony jak gęś, wysuszony na wiór, pomyślał, dotarłszy bezpiecznie do tunelu.

Po chwili był pod ziemią. Recepcjonistka wpuściła go do biura Mayersona. Pokoje, chłodne i mroczne, zachęcały do odpoczynku, ale nie zatrzymał się. Mocniej ścisnął pudło z próbkami, sprężył się i choć nie był neokatolikiem, odmówił w duchu modlitwę.

— Panie Mayerson. — Recepcjonistka, wyższa od Hnatta i robiąca wrażenie w swej wydekoltowanej sukni i butach na wysokich obcasach, zwróciła się do siedzącego za biurkiem mężczyzny. — To jest pan Hnatt — poinformowała go. — Panie Hnatt, to jest pan Mayerson.

Za Mayersonem stała dziewczyna w bladozielonym sweterku. Miała zupełnie białe włosy. Włosy były zbyt białe, a sweter zbyt ciasny.

— To panna Fugate, panie Hnatt. Asystentka pana Mayersona. Panno Fugate, to pan Richard Hnatt.

Siedzący za biurkiem Barney Mayerson dalej studiował jakiś dokument, nie zdradzając, że zauważył przybycie gościa, i Richard Hnatt czekał w milczeniu miotany różnymi uczuciami. Poczul, jak narasta w nim gniew; podchodzi mu do gardła i uciska pierś. Poza tym oczywiście lęk, a potem dominujący nad tym dreszcz rosnącej ciekawości. A więc to był dawny mąż Emily, który — jeśli wierzyć sprzedawcy żywych krawatów — wciąż głęboko żałował decyzji o unieważnieniu małżeństwa. Mayerson był dość krępyim mężczyzną po trzydziestce z niezwykle długimi i falującymi włosami, które nie były aktualnie w modzie. Wyglądał na znudzonego, ale nie okazywał wrogości. Jednak może jeszcze nie. . .

— Zobaczmy pańskie garnki — rzekł nagle Mayerson.

Położywszy pudło na biurku Richard Hnatt otworzył je, wyjął naczynia jedno po drugim i ustawiwszy je cofnął się o krok.

Po chwili Barney Mayerson powiedział:

— Nie.

— Nie? — zapytał Hnatt. — Co „nie”?

— Nie przejdą — oznajmił Mayerson. Podniósł dokument i podjął przerwana lekturę.

— Chce pan powiedzieć, że zdecydował pan tak po prostu? — pytał Hnatt, nie mogąc uwierzyć, że już po wszystkim.

— Właśnie tak — przytaknął Mayerson.

Nie okazywał dalszego zainteresowania ceramiką. Dla niego Hnatta i jego naczyni już tu nie było.

— Przepraszam, panie Mayerson — odezwała się panna Fugate.

Zerkając na nią Barney Mayerson zapytał:

— Co jest?

— Przykro mi to powiedzieć, panie Mayerson — odparła panna Fugate. Podeszła do naczyni, podniosła jedno z nich i zważyła w rękach gładząc emaliowaną

powierzchnię. — Jednak mam zupełnie inne wrażenie niż pan. Czuję, że ta ceramika przejdzie.

Hnatt spoglądał raz na jedno, raz na drugie z nich.

— Proszę mi to dać. — Mayerson wskazał na ciemnoszary wazon i Hnatt natychmiast mu go podał. Mayerson przez chwilę trzymał go w ręku. — Nie — rzekł w końcu. Zmarszczył brwi. — Nadal nie mam wrażenia, że ten towar odniesie sukces. Moim zdaniem jest pani w błędzie, panno Fugate.

Postawił wazę z powrotem.

— Ale ze względu na różnicę poglądów między mną a panną Fugate — oznajmił drapiąc się w zadumie po nosie — proszę zostawić te próbki na kilka dni. Poświęcę im jeszcze trochę uwagi.

Jednak widać było, że nie miał takiego zamiaru.

Panna Fugate sięgnęła i wzięwszy małe naczynie o dziwnym kształcie przycisnęła je niemal czule do piersi.

— Szczególnie to. Odbieram bardzo silne emanacje. To będzie największym sukcesem.

— Postradałaś zmysły, Roni — powiedział cicho Barney Mayerson. Teraz wydawał się naprawdę zły; aż poczerwieniał na twarzy. — Odezwę się do pana — zwrócił się do Hnatta — kiedy podejmę ostateczną decyzję. Nie widzę jednak powodu zmieniać zdania, więc niech pan nie będzie optymistą. W rzeczy samej, lepiej niech się pan nie kłopotuje zostawianiem tutaj tych naczyń.

Rzucił nieprzyjemne, twarde spojrzenie swojej asystentce.

Rozdział 2

Tego samego ranka, o dziesiątej, Leo Bulero, prezes zarządu P. P. Layouts, odebrał w swoim biurze wideotelefon — którego się spodziewał — od Trójplanetarnej Straży Ochrony Prawa, prywatnej agencji policyjnej. Kilka minut wcześniej dowiedział się o katastrofie statku wracającego z Proximy.

Chociaż wiadomości były doniosłej wagi, słuchał nieuważnie, ponieważ miał inne sprawy na głowie.

To był banał w porównaniu z przechwyceniem przez jednostkę bojową Wydziału Narkotyków ONZ całego ładunku Can-D w pobliżu północnego bieguna Marsa, mimo że P. P. Layouts corocznie płaciła ONZ ogromny haracz za nietykalność. Ładunek o wartości blisko miliona skinów przewożono z silnie strzeżonych plantacji na Wenus. Widocznie łapówki nie dotarły do właściwych ludzi na odpowiednich szczeblach skomplikowanej hierarchii ONZ.

Jednak nic na to nie mógł poradzić. ONZ była monolityczną bryłą, nad którą nie miał żadnej władzy.

Bez trudu rozszyfrował intencje Wydziału Narkotyków. Chcieli, by P. P. Layouts wszczęło spór prawny domagając się zwrotu ładunku. W ten sposób zostałoby dowiedzione, że nielegalny narkotyk Can-D, używany przez wielu kolonistów, jest uprawiany, przetwarzany i rozprowadzany przez towarzystwo, za którym stoi P. P. Layouts. Tak więc, mimo że ładunek był naprawdę cenny, lepiej go poświęcić niż ryzykować proces.

— Wideogazety miały rację — mówił z ekranu Felix Blau, szef agencji policyjnej. — To Palmer Eldritch i wydaje się, że żyje, chociaż jest ciężko ranny. Dowiedzieliśmy się, że okręt liniowy ONZ przewiezie go do szpitala w jednej z baz, której lokalizacji oczywiście nie podano.

— Hmm — mruknął Bulero kiwając głową.

— Ale jeśli chodzi o to, co Eldritch odkrył w układzie Proximy...

— Tego się nigdy nie dowiecie — stwierdził Leo. — Eldritch nie powie ani słowa i na tym sprawa się skończy.

— Ustalono — ciągnął Blau — jeden interesujący fakt. Na pokładzie swojego statku Eldritch miał — nadal ma — troskliwie kultywowaną hodowlę porostów

bardzo podobnych do tych z Tytana, z których otrzymuje się Can-D. Myślałem, że w związku z...

Blau urwał taktownie.

— Czy jest jakiś sposób, aby zniszczyć tę hodowlę porostów? — spytał odruchowo Leo.

— Niestety, ludzie Eldritch'a już dotarli do szczątków statku. Niewątpliwie sprzeciwiliby się wszelkim próbom w tym kierunku.

Blau wydawał się pełen współczucia.

— Rzecz jasna możemy spróbować... Nie rozwiążemy problemu siłą, ale może udałoby się ich przekupić.

— Spróbujcie — nakazał Leo, chociaż zgadzał się z Blauem: była to niewątpliwie strata czasu i wysiłku. — Czy nie obowiązuje ich zarządzenie ONZ zakazujące importowania obcych form życia z innych układów planetarnych?

Z pewnością dobrze byłoby, gdyby udało się nakłonić siły ONZ do zbombardowania szczątków statku Eldritch'a. Dla pamięci zapisał w notatniku: zadzwonić do prawników, wystosować skargę do ONZ dotyczącą importu porostów.

— Później porozmawiamy — rzucił Blauowi i wyłączył się. Może poskarżę się bezpośrednio, pomyślał. Przycisnąwszy guzik interkomu powiedział do sekretarki: — Połącz mnie z ONZ w Nowym Jorku, z kimś z góry. Najlepiej poproś z samym Sekretarzem Hepburn-Gilbertem.

W końcu połączono go z tym zręcznym hinduskim politykiem, który w zeszłym roku został Sekretarzem Generalnym ONZ.

— Ach, pan Bulero — uśmiechnął się chytrze Hepburn-Gilbert. — Chce pan złożyć skargę w sprawie zatrzymania ładunku Can-D, który...

— Nie wiem nic o żadnym ładunku Can-D — odparł Leo. — Ja w zupełnie innej sprawie. Czy wy tam zdajecie sobie sprawę z tego, co wyprawia Palmer Eldritch? Sprowadził do naszego układu porosty z Proximy. To może zapoczątkować zarazę podobną do tej, którą mieliśmy w dziewięćdziesiątym ósmym.

— Zdajemy sobie z tego sprawę. Jednak ludzie Eldritch'a twierdzą, że to porost z Układu Słonecznego, który pan Eldritch zabrał ze sobą w drodze na Proximę i teraz przywozi z powrotem... To jego źródło protein, jak mówią.

Hindus błysnął białymi zębami w uśmiechu wyższości; owo wyjaśnienie bawiło go.

— I uwierzyliście w to?

— Oczywiście, że nie. — Uśmiech Hepburn-Gilberta poszerzył się. — A dlaczego interesuje się pan tą sprawą, panie Bulero? Czyżby przedmiotem pańskiej troski były... porosty?

— Jestem obywatelem Układu Słonecznego kierującym się troską o interes społeczny. I nalegam, aby podjął pan odpowiednie kroki.

— Podjęliśmy je — rzekł Hepburn-Gilbert. — Prowadzimy dochodzenie... Przydzieliliśmy je panu Larkowi. Zna go pan, prawda?

Rozmowa osiągnęła martwy punkt i Leo Bulero w końcu rozłączył się czując urazę do wszystkich polityków. Zawsze potrafili podejmować zdecydowane działania w stosunku do niego, ale kiedy chodziło o Palmera Eldritch. . . Ach, panie Bulero, przedrzeźniał niedawnego rozmówcę, to, proszę pana, zupełnie inna sprawa.

Tak, znał Larka. Ned Lark był szefem Wydziału Narkotyków ONZ i człowiekiem odpowiedzialnym za przechwycenie ostatniego transportu Can-D. Włączenie Larka w aferę z Eldritchem było fortem ze strony Sekretarza Generalnego. Działanie ONZ to jedno wielkie nieporozumienie: będą przeciągać sprawę i nie zrobią żadnego ruchu przeciw Eldritchowi, dopóki Leo Bulero nie spróbuje odzyskać ładunku Can-D. Czuł to, ale oczywiście nie mógł niczego udowodnić. Mimo wszystko Hepburn-Gilbert, ten ciemnoskóry, sprytny, niedorozwinięty politykier, nie powiedział tego wprost.

Tak się kończą wszelkie rozmowy z ONZ, rozmyślał Leo. Afroazjatycka polityczka. Bagno. Obsadzone, prowadzone i kierowane przez cudzoziemców. Z wściekłością spojrzął na pusty ekran.

Kiedy zastanawiał się, co robić, jego sekretarka panna Gleason brzęknęła interkomem:

— Panie Bulero, w poczekalni jest pan Mayerson. Chciałby zamienić z panem kilka słów.

— Przyślij go. — Był rad, że choć na chwilę będzie mógł zapomnieć o kłopotach.

Chwilę później ekspert-prognostyk w dziedzinie mody wszedł do gabinetu marszcząc brwi. W milczeniu usiadł naprzeciw Leo.

— Co cię gryzie, Mayerson? — spytał Bulero. — No mów, po to tu jestem. Możesz wypłakać się na moim ramieniu. — Starał się, by jego głos brzmiał lodo-wato.

— Chodzi o moją asystentkę, pannę Fugate.

— Tak, słyszałem, że z nią sypiasz.

— Nie o to idzie.

— Ach tak — zauważył Leo ironicznie. — To drobiazg bez znaczenia.

— Chciałem tylko powiedzieć, że przyszedłem tu z innego powodu. Przed chwilą mieliśmy poważne nieporozumienie. Przyniesiono próbki. . .

— Odrzuciłeś coś — przerwał mu Leo — a ona się z tym nie zgodziła.

— Tak.

— Ach wy, jasnowidze!

Godne uwagi. Może istnieją alternatywne przyszłości.

— I chcesz, żebym jej nakazał, aby w przyszłości cię popierała?

— Jest moją asystentką — rzeki Barney Mayerson. — To oznacza, że ma robić, co każe.

— No... a czy sypianie z tobą nie jest wyraźnym krokiem w tym kierunku?
— roześmiał się Leo. — Jednak powinna cię poprzeć w obecności sprzedającego, a jeśli miała jakieś zastrzeżenia, to powinna ci je przekazać później, w cztery oczy.

— Nie życzę sobie nawet tego. — Barney zmarszczył się jeszcze bardziej.

— Wiesz, że poddałem się Terapii E i praktycznie sam jestem jasnowidzem. Czy to był sprzedawca naczyń? Ceramiki?

Barney niechętnie skinął głową.

— To projekty twojej byłej żony — stwierdził Leo. Jej ceramika dobrze szła; widział ogłoszenia w wideogazetach. Sprzedawał je jeden z najbardziej ekskluzywnych salonów sztuki w Nowym Orleanie, a także tu, na Wschodnim Wybrzeżu, i w San Francisco. — Czy one pójdą, Barney? — Spojrzał bacznie na swojego jasnowidza. — Czy panna Fugate miała rację?

— Nigdy nie pójdą; taka jest prawda — rzekł Barney bezbarwnym głosem. Zbyt bezbarwnym, zdecydował Leo, jak na to, co mówił. Zbyt wypranym z uczuć. — Tak przewiduję — dodał uparcie Mayerson.

— W porządku — kiwnął głową Leo. — Przyjmuję twoje wyjaśnienie. Jednak jeśli te naczynia staną się sensacją, a my nie będziemy mieli miniatur dla kolonistów... — Zamyślił się. — Może się okazać, że twoja łózkowa towarzysza zasiądzie na twoim stołku! — zagroził.

Podnosząc się Barney powiedział:

— A więc poinstruuje pan pannę Fugate, jak się powinna zachowywać w stosunkach ze zwierchnikiem?

Leo ryknął śmiechem. Barney poczerwieniał i wymamrotał:

— Może to inaczej sformułuję...

— Dobra, Barney, pogrozę jej palcem. Jest młoda, przeżyje to. A ty się starzejesz. Musisz dbać o swoją godność, nie możesz pozwalać, żeby ktoś ci zaprzeczał.

Leo także się podniósł z fotela. Podszedł do Barneya i poklepał go po plecach.

— Jednak słuchaj, co ci powiem. Przestań się tym gryźć. Zapomnij o swojej byłej żonie. W porządku?

— Już zapomniałem.

— Zawsze są inne kobiety — mówił Leo myśląc o Scotty Sinclair, swojej aktualnej kochance; Scotty, która właśnie teraz czekała ze swym drobnym ciałem i wydatnym biustem w willi na oddalonym o osiemset kilometrów satelicie, aż Leo zrobi sobie tydzień urlopu. — Jest ich nieskończenie wiele, nie tak jak pierwszych znaczków pocztowych USA czy skórek trufli, których używamy jako waluty.

Nagle przyszło mu do głowy, że mógłby udostępnić Barneyowi jedną ze swych porzuconych, lecz wciąż niezłych kochanek.

— Coś ci powiem — zaczął, ale Barney natychmiast przerwał mu gwałtownym gestem. — Nie? — zdziwił się Leo.

— Nie. Jestem mocno związany z Roni Fugate. Jedna na raz to wystarczy dla normalnego człowieka. — Barney obrzucił pracodawcę dzikim spojreniem.

— Zgadzam się z tym. Ja też mogę się widywać tylko z jedną na raz. Czyżbyś myślał, że mam harem w Chatce Puchatka?

Nastroszył się.

— Kiedy byłem tam ostatnio — powiedział Barney — to znaczy na pańskim przyjęciu urodzinowym w styczniu. . .

— Och, tak. Te przyjęcia. To zupełnie co innego. Tego, co dzieje się podczas przyjęć, nie można brać pod uwagę.

Odprowadził Mayersona do drzwi gabinetu.

— Wiesz co, Mayerson, słyszałem plotkę o tobie, która mi się nie spodobała. Ktoś widział cię taszczącego jeden z tych walizkowych terminali komputera psychiatrycznego. . . D o s t a ł e ś k a r t ę p o w o ł a n i a ?

Zapadła cisza. W końcu Barney kiwnął głową.

— I nie miałeś zamiaru nam o tym powiedzieć — zauważył Leo. — Kiedy mieliśmy się o tym dowiedzieć? W dniu, w którym znajdziesz się na pokładzie statku lecącego na Marsa?

— Wykręcę się od tego.

— Na pewno, tak jak wszyscy. Właśnie w ten sposób ONZ udało się zasiedlić cztery planety, sześć księżyców. . .

— Nie przejdę przez testy psychologiczne — oznajmił Barney. — Mój zmysł jasnowidzenia mówi mi to wyraźnie. Nie mogę znieść wystarczająco wielu freudów stresu, aby ich zadowolić. Proszę spojrzeć. . .

Podniósł dłonie na wysokość oczu. Wyraźnie drżały.

— Niech pan rozważy moją reakcję na tę nieszkodliwą uwagę panny Fugate. Proszę spojrzeć, jak się zachowałem, kiedy Hnatt przyniósł naczynia Emily. Proszę. . .

— W porządku — przerwał Leo, ale wciąż był zaniepokojony. Zazwyczaj karty powołania wręczano na dziewięćdziesiąt dni przed terminem, a panna Fugate z pewnością nie będzie jeszcze mogła zająć miejsca Barneya. Oczywiście można przenieść z Paryża Maca Ronstona, ale nawet Ronston ze swym piętnastoletnim doświadczeniem nie zastąpi Barneya Mayersona. Talentu nie nabywa się z czasem; talent jest człowiekowi dany.

ONZ naprawdę się do mnie dobiera, pomyślał Leo. Zastanawiał się, czy karta powołania Barneya, przychodząca właśnie w tym momencie, była zwykłym zbiegiem okoliczności czy też kolejną próbą wysondowania jego słabych punktów. Jeżeli tak, to udało im się. I nie mógł wyrzucić żadnego wpływu na ONZ, by wyreklamować Barneya.

A wszystko tylko dlatego, że dostarczam kolonistom Can-D, pomyślał. Przecież ktoś musi to robić; muszą go mieć. Inaczej po co by im były zestawy Perky Pat?

A ponadto był to jeden z najbardziej dochodowych interesów w Układzie Słonecznym. Chodziło o wiele milionów skinów.

ONZ też o tym wiedziała.

O dwunastej trzydzieści czasu nowojorskiego Leo Bulero zjadł lunch z nową dziewczyną, która właśnie zaczęła pracę w biurze. Siedząc naprzeciw niego w kameralnej salce restauracji Purple Fox, Pia Jurgens jadła posługując się sztuczkami z precyzją chirurga. Jej mocne, równe zęby sprawnie odgryzały kęsy. Była ruda, a on lubił rude: były albo wściekle brzydkie, albo niemal nieludzko piękne. Panna Jurgens należała do tych drugich. Teraz jeśli tylko znajdzie jakiś pretekst, by przemieścić ją do Chatki Puchatka... zakładając oczywiście, że Scotty się nie sprzeciwi. A to właśnie nie wydawało się zbyt prawdopodobne. Scotty była osobą obdarzoną silną wolą, co jest zawsze niebezpieczne u kobiety.

Szkoda, że nie udało mi się podrzucić Scotty Barneyowi Mayersonowi, powiedział sobie w duchu. Rozwiązałyby to od razu dwa problemy: ustabilizowało Barneya emocjonalnie, a jego uwolniło od...

Bzdury! — pomyślał. — Barney musi być przecież niestabilny emocjonalnie, inaczej tak jakby już był na Marsie. To dlatego wynajął tę gadającą walizkę. Najwidoczniej nie rozumiem wcale współczesnego świata. Żyję w przeszłości, w dwudziestym wieku, kiedy psychoanalitycy byli po to, aby czynić ludzi m n i e j podatnymi na stres.

— Czy pan nigdy nic nie mówi, panie Bulero? — spytała panna Jurgens.

— Nie.

Czy udało by mi się coś zmienić w osobowości Barneya? — zastanawiał się. — Pomóc mu... jak to się mówi, stać się mniej zdolnym?

Jednak nie było to takie proste, jak się wydawało. Wyczuwał to instynktownie dzięki rozrośniętemu płatowi czołowemu. Nie można zdrowych ludzi uczynić chorymi na rozkaz.

A może jednak?

Przeprosił, zawołał kelnera-robotę i polecił mu przynieść wideotelefon.

Parę minut później połączył się z panną Gleason w biurze.

— Słuchaj, zaraz jak wrócę, chcę się zobaczyć z panną Rondinellą Fugate, z personelu Mayersona. A sam Mayerson nie ma o niczym wiedzieć. Zrozumiałaś?

— Tak, proszę pana — odparła panna Gleason notując.

— Wszystko słyszałam — oznajmiła Pia Jurgens, kiedy się rozłączył. — Wie pan, mogłabym powiedzieć o tym panu Mayersonowi. Widzę go prawie codziennie w...

Leo roześmiał się. Myśl o Pii Jurgens odrzucającej wspaniałą przyszłość, jaka się przed nią otwierała, ubawiła go.

— Słuchaj — rzekł poklepując ją po ręce. — Nie bój się, to nie ma nic wspólnego z męskimi potrzebami. Skończ swój krokiet z ganimedańskiej żaby i wra-

cajmy do biura.

— Chciałam tylko powiedzieć — oświadczyła chłodno panna Jurgens — że wydało mi się trochę dziwne, iż jest pan taki szczery w obecności kogoś, kogo prawie pan nie zna.

Zmierzyła go spojrzeniem i jej biust — tak nadmiernie wybujały i zachęcający — wysunął się jeszcze bardziej do przodu, gdy wyprężyła się z urazy.

— A więc powinienem poznać cię bliżej — powiedział Leo patrząc na nią łakomie. — Żułaś kiedyś Can-D? — spytał retorycznie. — Powinnaś spróbować, mimo że wywołuje uzależnienie. Niezwykle przeżycie.

Oczywiście miał zapas najlepszej jakości narkotyku w Chatce Puchatka. Często przydawał się, gdy przychodzili goście; inaczej to, co robili, mogłoby wydawać się nudne.

— Pytam dlatego, że wyglądasz na kobietę o żywej wyobraźni, a reakcja na Can-D zależy przede wszystkim od zdolności twórczych tej wyobraźni.

— Chętnie spróbowałabym kiedyś — powiedziała panna Jurgens. Rozejrzała się wokół, ściszyła głos i nachyliła się do niego. — Tylko że to nielegalne.

— Naprawdę? — wytrzeszczył oczy.

— Dobrze pan wie.

Dziewczyna wyglądała na dotkniętą.

— Słuchaj — powiedział Leo — mogę załatwić ci trochę.

Oczywiście będzie żuł razem z nią; w ten sposób umysły zażywających łączyły się, stawały nową jednością... a przynajmniej takie odnosiło się wrażenie. Kilka wspólnych sesji z Can-D i będzie wiedział co trzeba o Pii Jurgens. Miała w sobie coś — oprócz oczywiście walorów fizycznych — co go fascynowało. Nie mógł się doczekać chwili zbliżenia.

— Nie użyjemy zestawu.

Cóż za ironia, że on, twórca i producent mikroświata Perky Pat, wolał używać Can-D w próżni. Co mógł uzyskać Ziemianin za pomocą zestawu, który stanowił miniaturę warunków istniejących w każdym przeciętnym mieście na Ziemi? Dla osadników na smaganych wichrem pustyniach Ganimeda, kulących się w nędznych budach chroniących przed gradem kryształów metanu, zestawy Perky Pat były czymś zupełnie innym — drogą powrotną do świata, który musieli opuścić. Jednak on, Leo Bulero, był cholernie zmęczony tym światem, na którym się urodził i na którym wciąż mieszkał. I nawet Chatka Puchatka ze wszystkimi swymi mniej i bardziej dziwnymi przyjemnościami nie wypełniała pustki. Mimo to...

— Ten Can-D — powiedział do panny Jurgens — to wspaniała rzecz i nic dziwnego, że jest zakazany. Jest jak religia. Tak, Can-D jest religią kolonistów. — Zachichotał. — Weźmiesz mały kawałek, pożujesz piętnaście minut i... nie ma nędznego baraku. Nie ma zamrożonego metanu. Masz powód, by żyć. Czyż to niewarte ryzyka i ceny?

Tylko jaką ma wartość dla nas? — spytał siebie w duchu i poczuł smutek. Wytwarzając zestawy Perky Pat oraz uprawiając i rozprowadzając porosty będące substratem do produkcji Can-D, czynił znośnym życie ponad miliona osadników przymusowo wysiedlonych z Ziemi. Ale co z tego miał? Poświęciłem swoje życie dla innych, pomyślał, a teraz zaczynam wierzczać, bo mi to nie wystarcza. Miał Scotty czekającą na niego na satelicie; miał jak zwykle do rozwiązania skomplikowane problemy dotyczące obu interesów, legalnego i nielegalnego... ale czyż życie nie powinno być czymś więcej?

Nie wiedział. Nikt nie wiedział, ponieważ wszyscy, tak jak Barney Mayerson, powielali różne warianty tego samego schematu. Barney ze swoją Rondinellą Fugate — gorsza replika Leo Bulero i panny Jurgens. Gdziekolwiek spojrzeł, było tak samo. Zapewne nawet Ned Lark, szef Wydziału Narkotyków, żył podobnie, tak samo jak Hepburn-Gilbert, który prawdopodobnie utrzymywał bladą, wysoką szwedzką gwiazdkę z piersiami wielkości kul do gry w kręgle i równie twardymi. Nawet Palmer Eldritch. Nie, uświadomił sobie nagle. Nie Palmer Eldritch; ten znalazł coś innego. Przez dziesięć lat przebywał w układzie Proximy, a przynajmniej leciał tam i z powrotem. Co tam znalazł? Czy coś, co było warte tego wysiłku, warte katastrofy na Plutonie?

— Widziałaś wideogazety? — spytał pannę Jurgens. — Czytałaś o statku na Plutonie? Tacy jak Eldritch trafiają się raz na miliard. Nie ma drugiego takiego jak on.

— Czytałam — powiedziała panna Jurgens — że on jest właściwie stuknięty.

— Pewnie. Dziesięć lat życia, tyle mordęgi i po co?

— Może pan być pewny, że te dziesięć lat dobrze mu się opłaciło — odparła panna Jurgens. — Może to wariat, ale sprytny. Pilnuje swoich spraw. Nie jest aż tak stuknięty.

— Chciałbym się z nim spotkać — stwierdził Leo Bulero. — Porozmawiać z nim, choćby przez minutę.

W duchu postanowił, że to zrobi. Pójdzie do szpitala, w którym leży Palmer Eldritch, i dostanie się do jego pokoju siłą lub przekupstwem, żeby się dowiedzieć, co tamten znalazł.

— Kiedyś myślałam — mówiła panna Jurgens — że gdy po raz pierwszy statki opuszczą nasz układ i polecą do gwiazd... Pamięta pan, kiedy to było? Sądziłam, że dowiemy się... — Zamilkła na chwilę. — To takie głupie, ale byłam wtedy tylko dzieckiem, wtedy gdy Arnoldson po raz pierwszy poleciał do Proximy i z powrotem. To znaczy, byłam jeszcze dzieckiem, kiedy wrócił. Naprawdę sądziłam, że tak daleko znajdzie... — Odwróciła głowę, unikając spojrzenia Bulero. — Że znajdzie Boga.

Ja też tak sądziłem, pomyślał Leo. A byłem już dorosły. Po trzydziestce. Kilkakrotnie wspominałem o tym Barneyowi.

I lepiej, żebym nadal w to wierzył, nawet teraz. Po tym dziesięcioletnim locie

Palmera Eldritch.

Po lunchu, wróciwszy do swojego biura w P. P. Layouts, po raz pierwszy spotkał Rondinellę Fugate. Czekala na niego.

Niczego sobie, pomyślał zamykając drzwi gabinetu. Ładna figura i jakie piękne błyszczące oczy. Wyglądała na zdenerwowaną: założyła nogę na nogę, wygładziła spódniczkę i zerknęła na niego spod oka, gdy siedział naprzeciw niej za biurkiem. Bardzo młoda, uświadomił sobie Leo. Dzieciak, który zabiera głos i zaprzecza swojemu zwierzchnikowi, ponieważ uważa, że ten się myli. Rozbrajające. . .

— Czy wie pani, po co panią wezwałem? — spytał.

— Domyślam się, że jest pan zły, ponieważ sprzeciwiłam się panu Mayersonowi. Jednak naprawdę widziałam przyszłość przed tą ceramiką. Cóż więc innego mogłam zrobić? — spytała błagalnie, na pół wstając z fotela.

— Wierzę pani — rzekł Leo. — Jednak pan Mayerson jest drażliwy. Skoro żyje z nim pani, to powinna pani wiedzieć, że wszędzie taszczy ze sobą przenośnego psychiatrę.

Otworzywszy szufladę biurka wyjął pudełko Cuesta Reys, najlepszego gatunku cygar. Zaproponował jedno pannie Fugate, która przyjęła je z wdzięcznością. Podał ogień najpierw jej, potem sobie i wyciągnął się wygodnie w fotelu.

— Wie pani, kim jest Palmer Eldritch?

— Tak.

— Czy może pani użyć swoich zdolności prekognicyjnych do czegoś innego niż prognozowanie mody? Za miesiąc czy dwa wideogazety będą już podawać lokalizację szpitala, w którym przebywa Eldritch. Chciałbym, żeby spojrzała pani na te gazety i powiedziała mi, gdzie ten człowiek przebywa w tej chwili. Wiem, że może pani to zrobić.

Lepiej, żebyś mogła, powiedział sobie w duchu, jeśli chcesz tu dalej pracować. Czekał, paląc cygaro, patrząc na dziewczynę i myśląc z odrobiną zazdrości, że jeśli jest taka dobra w łóżku, jak na to wygląda. . .

Zacinającym się głosem panna Fugate powiedziała:

— Odbieram tylko słabe wrażenie, panie Bulero.

— Nic nie szkodzi, chcę to usłyszeć.

Sięgnął po długopis.

Zabrało jej to kilka minut, ale w końcu zapisał w notesie: Szpital Weteranów imienia Jamesa Riddle'a, Baza III na Ganimedzie. Należący oczywiście do ONZ. Spodziewał się tego. Sprawa nie była jednak przesądzona; może uda mu się tam dostać.

— On nie przebywa tam pod swym nazwiskiem — dodała panna Fugate, blada i osłabiona wysiłkiem. Zapaliła cygaro, które tymczasem zgasło, i usiadłszy prosto w fotelu znów skrzyżowała zgrabne nogi. — Wideogazety doniosą, że pan Eldritch został wpisany do rejestru jako pan. . .

Urwała i zacisnęła mocno powieki.

— Och, do diabła — westchnęła. — Nic mi nie wychodzi. Jedna sylaba. Frent. Brent. Nie, myślę, że raczej Trent. Tak, Eldon Trent.

Uśmiechnęła się z ulgą. Jej wielkie oczy skrzyły się dziecinnym, naiwnym zadowoleniem.

— Naprawdę zadali sobie wiele trudu, żeby go ukryć. Gazety podają, że jest przesłuchiwany. A więc musi być przytomny.

Nagle zmarszczyła brwi.

— Niech pan zaczeka. Widzę nagłówek. . . jestem w swoim mieszkadłe, sama. Jest wczesny ranek i czytam pierwszą stronę. O rany!

— Co piszą? — dopytywał się Leo. Wyczuwał przerażenie dziewczyny.

— Nagłówki głoszą, że Palmer Eldritch nie żyje — szepnęła panna Fugate. Zamrugnęła oczami, rozejrzała się wokół. Spojrzała na Leo z lękiem i niepewnością, niemal wyczuwalnie zamykając się w sobie. Odsunęła się od niego i wtuliła w oparcie fotela nerwowo splatając palce. — I to pana o to oskarżają, panie Bulero. Naprawdę. Tak jest w nagłówku.

— Chce pani powiedzieć, że ja go z a m o r d u j ę?

Kiwnęła głową.

— Jednak. . . to nie takie pewne. Widziałam to tylko w jednej z przyszłości. . . rozumie pan? Chcę powiedzieć, że my, jasnowidze, dostrzegamy. . . — Zrobiła niewyraźny gest.

— Wiem.

Znał jasnowidzów; Barney Mayerson pracował dla P. P. Layouts od trzynastu lat, a niektórzy jeszcze dłużej.

— To może się zdarzyć — rzekł ochryple.

Czemu tak powiedział? — zadawał sobie pytanie. Trudno w tej chwili orzec. Może kiedy dotrze do Eldritch, porozmawia z nim. . . a wszystko wskazuje na to, że mu się to uda.

Panna Fugate dodała:

— Sądzę, że w świetle możliwych zdarzeń nie powinien pan kontaktować się z panem Eldritch. Zgadza się pan z tym, panie Bulero? Chcę powiedzieć, że ryzyko istnieje i to znaczne. Sądzę, że około czterdziestu.

— Czterdziestu czego?

— Procent. Niemal jeden do dwóch.

Już bardziej opanowana, przyglądała mu się paląc cygaro. Jej oczy, czarne i skupione, spoglądały na niego bez zmrużenia. Kryła się w nich ciekawość.

Wstał z fotela i podszedł do drzwi.

— Dziękuję, panno Fugate. Jestem wdzięczny pani za pomoc w tej sprawie.

Stał przy drzwiach, dając do zrozumienia, że czeka, aż dziewczyna wyjdzie.

Jednak panna Fugate nie ruszyła się z miejsca. Napotkał ten sam szczególnie upór, który zdenerwował Barneya Mayersona.

— Panie Bulero — powiedziała spokojnie — myślę, że właściwie powinnam z tym pójść do policji ONZ. My, jasnowidze. . .

Zamknął drzwi.

— Wy, jasnowidze — przerwał — zbytnio zajmujecie się życiem innych ludzi. Jednak wiedział, że miała go. Zastanawiał się, co z tym zrobi.

— Pan Mayerson może zostać powołany — mówiła panna Fugate. — Oczywiście wie pan o tym. Czy zamierza pan użyć swoich wpływów, aby go przed tym uchronić?

— Mam zamiar zrobić coś w tym kierunku — odparł szczerze.

— Panie Bulero — powiedziała cicho i stanowczo — zawrzyjmy umowę. Niech go powołają, a ja zostanę pańską prognostyczką mody na Nowy Jork.

Zamarła w oczekiwaniu, podczas gdy Leo Bulero milczał.

— Co pan na to? — spytała po chwili.

Wyraźnie nie była przyzwyczajona do takich rokowań. Jednak zamierzała dopiąć swego, o ile to możliwe. Mimo wszystko, pomyślał, każdy, nawet najsprytniejszy, musi od czegoś zacząć. Może był właśnie świadkiem czegoś, co stanie się początkiem wielkiej kariery.

Nagle coś sobie przypomniał. Przypomniał sobie, dlaczego przeniesiono ją z Pekinu do biura w Nowym Jorku i zrobiono asystentką Mayersona. Jej przepowiednie bywały nietrafne. W istocie niektóre z nich — zbyt wiele — okazały się błędne.

Może i obraz przyszłych nagłówków mówiących o tym, że oskarżono go o popełnienie morderstwa na Palmerze Eldritch — zakładając, że mówiła prawdę i rzeczywiście je widziała — był tylko kolejną pomyłką. Fałszywym proroctwem, jak te, przez które znalazła się w Nowym Jorku.

— Proszę dać mi czas do namysłu — zaproponował. — Parę dni.

— Do jutra rana — powiedziała stanowczo panna Fugate.

Leo roześmiał się.

— Teraz rozumiem, dlaczego Barney był taki rozdrażniony.

I Barney, dzięki swoim zdolnościom jasnowidzenia, musiał przeczuwać, choćby niejasno, że panna Fugate podstawi mu nogę, zagrażając jego pozycji.

— Proszę posłuchać. Jest pani kochanką Mayersona — rzekł Leo podchodząc do niej. — Może zechciałaby pani to zmienić? Mogę zaoferować całego satelitę do pani dyspozycji.

Zakładając, rzecz jasna, że uda się wyrzucić stamtąd Scotty, pomyślał.

— Nie, dziękuję — pokręciła głową panna Fugate.

— Dlaczego? — Leo był zdumiony. — Pani kariera. . .

— Lubię pana Mayersona — odparła. — I niespecjalnie przepadam za bano. . . — ugryzła się w język. — Ludźmi, którzy ewoluowali w tych klinikach.

Ponownie otworzył drzwi.

— Jutro rano dam pani znać.

Patrzył, jak przechodzi przez korytarz i hol recepcji, i myślał: to da mi czas na dotarcie na Ganimeda i do Palmera Eldritch. Wtedy będę wiedział więcej. Dowiem się, czy przepowiadasz fałszywie, czy nie.

Zaniknąwszy drzwi za dziewczyną szybko podszedł do biurka i nacisnął przycisk wideofonu z wyjściem na miasto. Powiedział telefonistce:

— Proszę połączyć mnie ze Szpitalem Weteranów imienia Jamesa Riddle'a w Bazie III na Ganimedzie. Chcę mówić z panem Eldonem Trentem, pacjentem szpitala. Rozmowa poufna.

Podał swoje nazwisko i numer, po czym rozłączył się, znów nacisnął przycisk i wykręcił numer kosmodromu Kennedy'ego.

Zarezerwował miejsce na ekspresowy statek odlatujący tego samego wieczoru z Nowego Jorku na Ganimeda i chodząc po pokoju czekał na połączenie ze Szpitalem Weteranów.

Baniogłowy, pomyślał. Tak chciała nazwać swojego pracodawcę.

Dziesięć minut później uzyskał połączenie.

— Przykro mi, panie Bulero — przepraszała telefonistka. — Pan Trent nie odbiera telefonów. Polecenie lekarza.

A więc Rondinella Fugate miała rację: Eldon Trent istniał, przebywał w Szpitalu Weteranów i według wszelkiego prawdopodobieństwa był Palmerem Eldritch. Z pewnością warto odbyć tę podróż.

Nieźle, myślał ze złością, jest szansa, że spotkam się z Palmerem Eldritch. Pokłóć się z nim, Bóg wie o co, i w końcu spowoduję jego śmierć. Śmierć człowieka, którego w tym punkcie czasu nawet nie znam. W dodatku nie ujdzie mi to na sucho. Co za perspektywy.

Był jednak dziwnie podniecony. Nigdy jeszcze w trakcie swoich przeróżnych operacji nie musiał nikogo zabijać. Cokolwiek miało zajść między nim a Palmerem Eldritch, musiało być czymś niezwykłym. Wycieczka na Ganimeda była zdecydowanie wskazana, tym bardziej że Rondinella Fugate powiedziała jedynie, iż zostanie oskarżony o morderstwo, nie wspominając słowem o wyroku.

Skazanie człowieka o jego pozycji, nawet przy zaangażowaniu ONZ, zajmie trochę czasu.

Postanowił dać im tę szansę.

Rozdział 3

W barze nie opodal P.P. Layouts Richard Hnatt sączył Tequila Sour. Pudło z próbkami postawił przed sobą na stole. Wiedział, że naczynia Emily były w porządku; jej ceramika zawsze się dobrze sprzedawała. Problem stanowił jej były mąż i jego stanowisko.

I Barney Mayerson wykorzystał swoją pozycję.

Muszę zadzwonić do Emily i powiedzieć jej, mruknął do siebie. Zaczął wstać, gdy ktoś zatarasował mu drogę.

Dziwaczny grubasek na szcudłowatych nogach.

— Kim pan jest? — spytał Hnatt.

Mężczyzna zakołysał się przed nim na wątych nóżkach, gmerając jednocześnie w kieszeni, jakby uśmierzał swędzenie wywołane obecnością jakiegoś mikroorganizmu, którego pasożytnicze właściwości przetrwały próbę czasu. Jednak to, co w końcu wydobył, okazało się wizytówką.

— Interesujemy się ceramiką, panie Hatt... Natt... Nie wiem, jak to trzeba wymawiać.

— Icholtz — przeczytał na głos Hnatt. Na wizytówce nie było nic prócz nazwiska, żadnych dalszych informacji, nawet numeru wideotelefonu. — Ale mam przy sobie tylko próbki. Podam panu adresy sklepów prowadzących sprzedaż. Te...

— Są przeznaczone do miniaturyzacji — rzekł zabawny jegomość kiwając głową. — Właśnie tego nam trzeba. Zamierzamy zminiaturyzować pańską ceramikę, panie Hnatt. Jesteśmy przekonani, że pan Mayerson się myli — te naczynia staną się modne i to niebawem.

Hnatt wybałuszył oczy.

— Chce pan miniaturyzować, a nie jest pan z P.P. Layouts?

Przecież nikt inny nie miniaturyzował. Wszyscy wiedzieli, że P.P. Layouts mają monopol.

Usadowiwszy się przy stole obok pudła z próbkami, pan Icholtz wyjął portfel i zaczął odliczać skiny.

— Początkowo nie będzie wielkiego rozgłosu. Jednak później...

Zaproponował Hnattowi stos brązowych, pomarszczonych skórek trufli, które służyły jako waluta w Układzie Słonecznym. Tylko one zawierały ten jedyny aminokwas niemożliwy do powielenia Duplikatorem — odkrytą na Biltongu formą życia, którą wiele ziemskich fabryk wykorzystywało do produkcji.

— Będę musiał to uzgodnić z żoną — powiedział Hnatt.

— Czyżby nie reprezentował pan swojej firmy?

— Nno... tak.

Hnatt przyjął stos skinów.

— Teraz umowa — Icholtz wyjął dokument, rozłożył na stole i podał pióro.
— To daje nam wyłączność.

Pochylając się nad papierem Richard Hnatt spostrzegł nazwę firmy, którą reprezentował Icholtz. Chew-Z Manufacturers z Bostonu. Nigdy o nich nie słyszał. Chew-Z... to mu się kojarzyło z innym produktem, lecz nie mógł sobie przypomnieć z jakim. Przypomniał sobie dopiero wtedy, gdy już podpisał kontrakt i Icholtz wręczał mu kopię.

Nielegalny środek halucynogeny Can-D, powszechnie zażywany w kolo- niach przez użytkowników zestawów Perky Pat!

Intuicyjnie przeczuwał przyszłe kłopoty. Jednak było za późno, aby się wycofać. Icholtz podniósł pudło z próbkami; zawartość należała teraz do Chew-Z Manufacturers z Bostonu.

— Jak... jak mogę się z wami skontaktować? — spytał Hnatt, kiedy Icholtz wstał od stolika.

— Nie musi się pan z nami kontaktować. Jeśli będzie nam pan potrzebny, zadzwonimy — uśmiechnął się Icholtz.

Jak, do diabła, powie o tym Emily? Hnatt przeliczył skiny, przeczytał umowę i stopniowo uświadomił sobie, ile zapłacił mu Icholtz: wystarczyłoby na pięciodniowe wakacje w Antarktyce, w jednym z wielkich, chłodnych miast wczasowych rojących się od bogatych Ziemian, gdzie niewątpliwie spędzali lato tacy jak Leo Bulero... a obecnie lato trwało cały rok.

A może, rozważał, suma ta zapewniłaby jemu i Emily wstęp do jednej z najbardziej ekskluzywnych instytucji na planecie, zakładając, że chciałiby tego. Mogli polecieć do Niemiec i poddać się Terapii E w jednej z klinik doktora Willy'ego Denkmała. Ole! — zawołał w myśli Hnatt.

Zamknął się w budce wideo telefonu i zadzwonił do Emily.

— Spakuj bagaże. Jedziemy do Monachium. Do... — Wybrał pierwszą lepszą nazwę, jaka mu przyszła do głowy. Ogłoszenie tej kliniki widział w jednym z ekskluzywnych paryskich magazynów. — Do Eichenwaldu — powiedział. — Doktor Denkmal to...

— Barney wziął naczynia — ucieszyła się Emily.

— Nie. Jednak teraz jest jeszcze inna firma zajmująca się miniaturyzacją.

Hnatt był podekscytowany.

— Barney dał negatywną prognozę. I co z tego? Wyszliśmy lepiej na umowie z tą nową firmą. Muszą mieć masę forsy. Zobaczymy się za pół godziny; zarezerwuję miejsca na ekspres TWA do Monachium. Tylko pomyśl: Terapia E dla nas obojga.

— Jeśli już o to chodzi — odparła Emily cicho — to nie jestem pewna, czy chcę ewoluować.

— Z pewnością chcesz — odparł zaskoczony. — Przecież to może uratować nam życie, a jeżeli nie nam, to naszym dzieciom. . . naszym przyszłym dzieciom. I nawet jeśli będziemy tam krótko i zewoluujemy tylko trochę, to tylko pomyśl, jakie to otworzy przed nami możliwości. Wszędzie będziemy mile widziani. Czy znasz osobiście kogoś, kto poddał się Terapii E? Przez cały czas czytasz w wideogazetach o tych tam, ludziach z towarzystwa, ale. . .

— Nie chcę mieć tych włosów na całym ciele — powiedziała Emily. — I nie chcę, by powiększono mi głowę. Nie. Nie pojedę do kliniki w Eichenwaldzie.

Wydawała się zupełnie zdecydowana; twarz miała spokojną.

— A więc pojedę sam — oznajmił.

Tak będzie jeszcze lepiej. Przecież to on zawierał umowy z kupującymi. I mógłby zostać w klinice dwa razy dłużej, ewoluować dwa razy więcej, zakładając oczywiście, że kuracja się uda. W przypadku niektórych ludzi terapia nie dawała wyników, ale nie była to wina doktora Denkmala — nie wszyscy są jednakowo obdarzeni zdolnością ewoluowania. Był głęboko przekonany, że on z pewnością zewoluuje wspaniale, dorówna grubym rybom, a nawet prześcignie niektórych, jeśli ujmować sprawę w kategorii tego, co uprzedzona Emily niesłusznie nazwała „włosami”.

— A co ja mam robić, gdy ty pojedziesz? Lepić garnki?

— Zgadza się — odparł.

Na pewno zamówienia będą napływać szybko i licznie, gdyż inaczej Chew-Z Manufacturers z Bostonu nie byłoby zainteresowane miniaturyzacją. Najwidoczniej zatrudniało swoich własnych jasnowidzów, tak samo jak P.P. Layouts. Jednak zaraz przypomniał sobie, co powiedział Icholtz: początkowo nie będzie wielkiego rozgłosu. To oznaczało, uświadomił sobie Hnatt, że nowa firma nie miała sieci prezenterów krążących wokół skolonizowanych księżyców i planet. W przeciwieństwie do P.P. Layouts nie mieli Allena i Charlotty Faine’ów, którzy mogliby rozgłosić te wieści.

Wprowadzenie na orbitę satelitów z prezenterami zajmuje sporo czasu. To oczywiste.

Mimo to był zaniepokojony. W pewnej chwili pomyślał, bliski paniki: czyżby to była nielegalna firma? Może Chew-Z, tak samo jak Can-D, jest zakazanym środkiem? Może wpakowałem nas w coś niebezpiecznego?

— Chew-Z — rzekł na głos do Emily. — Słyszałaś kiedyś o nich?

— Nie.

Wyjął kontrakt i przejrzał go raz jeszcze. Ale historia, pomyślał. Gdyby tylko ten cholerny Mayerson powiedział „tak”...

O dziesiątej rano znajomy potworny ryk syreny wyrwał Sama Regana ze snu. Przeklął krążący w górze statek ONZ. Wiedział, że robili to celowo. Statek unoszący się nad barakiem chciał mieć pewność, że koloniści — a nie miejscowe zwierzęta — odbiorą paczki, które miano doręczyć.

Odbierzemy je, mrucał do siebie Sam Regan zasuważąc zamek ocieplanego kombinezonu. Wciągnął na nogi wysokie buciory i ospale powlókł się w kierunku rampy.

— Przyleciał za wcześnie — narzekał Tod Morris. — I założę się, że to tylko materiały, cukier i tłuszcz — nic interesującego, jak na przykład słodycze.

Norm Schein podsadził się barkiem pod klapę na końcu rampy i pchnął. Zamrugali, gdy zalał ich potok jasnego, zimnego światła.

W górze, na tle czarnego nieba, skrzył się statek ONZ, jakby zawieszony na niewidocznej nitce. Wysłali dobrego pilota, ocenił Tod. Musi znać rejon Fineburg Crescent. Pomachał doń i statek ONZ ponownie ryknął syreną zmuszając go do zasłonięcia uszu rękami.

Z dolnej części wysunął się zasobnik, automatycznie wystawił stabilizatory i spiralnym ruchem poleciał w dół.

— Gówno — rzekł z obrzydzeniem Sam Regan. — To materiały. Nie potrzebują spadochronu.

Odwrócił się straciwszy zainteresowanie.

Jak okropnie było dziś tu, na zewnątrz, pomyślał rozglądając się po powierzchni Marsa. Paskudnie. Po co tu przybyliśmy? Musieliśmy, zostaliśmy zmuszeni.

Zasobnik ONZ wylądował. Ścianki popękały od siły uderzenia i trzech koloniści dostrzegli kanistry. Wyglądało to na ćwierć tony soli. Sam Regan poczuł jeszcze większe przygnębienie.

— Hej — rzekł Schein, podchodząc do zasobnika i zaglądając do środka — zdaje się, że widzę coś, co się nam przyda.

— Te pudełka wyglądają tak, jakby zawierały radia — zauważył Tod. — Transzistorowe.

W zadumie poszedł za Scheinem.

— Może uda nam się je wykorzystać do czegoś w naszych zestawach.

— W moim jest już radio — oświadczył Schein.

— No, z tych części można by zbudować elektroniczną, samoczynną kosiarkę do trawników — stwierdził Tod. — Tego nie masz, no nie?

Znał zestaw Perky Pat Scheina dość dobrze. Obie pary, on ze swoją żoną i Schein ze swoją, tworzyły dobrany zespół.

— Jestem następny w kolejce do radia — zawołał Sam Regan. — Przyda mi się.

W jego zestawie brakowało mechanizmu otwierającego drzwi garażu, jaki mieli Schein i Tod. Był zdecydowanie za nimi. Rzecz jasna, wszystko to można kupić, ale on był zupełnie splukany. Cały swój żołądek wydał na coś, co uważał za bardziej potrzebne. Kupił od handlarza dość dużą ilość Can-D. Schował go dobrze, zakopawszy w ziemi pod pryczą stojącą na najniższym poziomie zbiorowej kwatery.

On sam był wierzący; czcił cud przeniesienia — ową niemal świętą chwilę, w której miniaturowe zestawy przestawały przypominać Ziemię, lecz stały się nią. Wtedy on i inni, zespoleni i przeniesieni w ten miniaturowy świat dzięki Can-D, udawali się w inną przestrzeń i czas. Wielu kolonistów jeszcze nie wierzyło; dla nich komplety były jedynie symbolami świata, do którego już nie należeli. Jednak stopniowo, jeden po drugim, i oni uwierzą.

Nawet teraz, tak wcześnie rano, nie mógł się doczekać powrotu na dół i chwili, gdy odgryzie kawałek Can-D z prymki, by przeżuwszy go połączyć się z towarzyszami w tej najbardziej uroczystej ceremonii, jaka im została.

Zwrócił się do Toda i Scheina:

— Czy któryś z was pragnie przeniesienia?

Takim terminem określali uczestnictwo w seansie.

— Wracam na dół — rzekł. — Przyda nam się trochę Can-D. Podzielę się z wami swoim.

Takiej propozycji nie można było zignorować.

— Tak wcześnie? — spytał Norm Schein. — Dopiero wstaliśmy z łóżek. Ale i tak nie mamy nic do roboty.

Z ponurą miną kopnął dużą, półautomatyczną koparkę do piasku, która już od wielu dni stała przed wejściem do baraku. Nikt nie miał siły wyjść na powierzchnię i podjąć rozpoczętą przed miesiącem operację oczyszczania terenu.

— Myślę jednak — mruknął — że powinniśmy być na górze i pracować w ogrodach.

— Ależ masz tu ogród — zawołał ze śmiechem Sam Regan. — I co też takiego uprawiasz? Wiesz, jak to nazwać?

Norm Schein, z rękami w kieszeniach kombinezonu, pomaszzerował po piaszczystej, sypkiej ziemi porośniętej skąpą roślinnością do swojego, niegdyś pieczolowicie uprawianego warzywnika. Stanął i bacznie obejrzał grządki w nadziei, że wykiełkowało więcej specjalnie przygotowanych nasion. Nie znalazł ani jednego nowego kiełka.

— Brukselka — dodał mu otuchy Tod. — Prawda? Mimo że zmutowana, poznają te liście.

Norm odłamał jeden i zaczął żuć, szybko jednak wypluł. Liść był gorzki i pokryty piaskiem.

Z baraku wyłoniła się Helen Morris, dygocząc w podmuchach zimnego wiatru.

— Fran i ja mamy pytanie — zwróciła się do mężczyzn. — Czy psychoanalitycy na Ziemi brali pięćdziesiąt dolarów za godzinę, czy za czterdzieści pięć minut? Zamierzamy — wyjaśniła — dodać analityka do naszego zestawu i chcemy to zrobić dobrze. To autentyk, zrobiony na Ziemi i dostarczony tu. Pamiętacie ten statek Bulera, który przyleciał w zeszłym tygodniu. . .

— Pamiętamy — odparł kwaśno Norm Schein.

I te ceny, jakich zażądał sprzedawca Bulera. A Allen i Charlotta Faine'owie nie przestają gadać o różnych częściach zestawów, zaostrzając wszystkim apetyty.

— Zapytaj Faine'ów — zaproponował żonie Tod. — Połącz się z nimi przez radio, kiedy znów będą nad nami przelatywali.

Zerknął na zegarek.

— Satelita przyleci za godzinę. Oni tam mają wszystkie dane o autentycznych artykułach. Chociaż prawdę powiedziawszy, te dane powinny być dołączone do tego, co się kupuje.

Denerwował się, ponieważ to jego skóry — jego i Helen — poszły na opłacenie maleńkiej figurki psychoanalityka oraz kanapki, biurka, dywanu i półki z niezwykle dobrze zminiaturyzowanymi książkami.

— Chodziłeś do psychoanalityka, kiedy jeszcze byłeś na Ziemi — Helen zwróciła się do Normy Scheina. — Ile brał?

— No, głównie chodziłem na terapię grupową — odrzekł Norm. — W Klinice Higieny Psychiczej w Berkeley liczyli sobie tyle, ile byłeś w stanie płacić. A Perky Pat i jej chłopiec chodzą, rzecz jasna, do prywatnego psychoanalityka.

Szedł przydzielonym sobie ogrodem, między rzędami postrzępionych liści, z których każdy był w pewnym stopniu zarażony lub zżarty przez miejscowe mikroskopijne szkodniki. Jeśli uda mu się znaleźć choć jedną nietkniętą roślinkę, jedną zdrową. . . Wystarczyłoby mu to, by odzyskał ducha. Insektycydy sprowadzane z Ziemi były do niczego; miejscowe szkodniki szalały w najlepsze. Czekwały dziesięć tysięcy lat, aż ktoś się pojawi i spróbuje tu coś uprawiać.

— Powinieneś to podlać — zauważył Tod.

— Owszem — zgodził się Norm Schein.

W ponurym nastroju ruszył w kierunku pompy zasilającej system nawadniający Chicken Pox Prospect. Była podłączona do częściowo już zasypanych kanałów irygacyjnych służących wszystkim ogrodom baraku. Uświadomił sobie, że przed podlaniem roślin trzeba oczyścić kanały z piasku. Jeżeli szybko nie uruchomią wielkiej koparki klasy A, nie zdołają nawodnić ogrodów, nawet jeśli będą chcieli. Jednak nie miał ochoty zająć się tym.

Mimo to nie mógł, tak jak Sam Regan, po prostu odwrócić się plecami i wrócić na dół, aby bawić się swoim zestawem, budować lub montować nowe części, robić poprawki czy też, jak przed chwilą zaproponował Sam, zażyć dawkę starannie

ukrytego Can-D i zacząć przeniesienie. Zdawał sobie sprawę z ciężkiej na nim odpowiedzialności. Powiedział do Helen:

— Poproś moją żonę, żeby tu przyszła.

Fran pokieruje, kiedy on siądzie za kierownicą koparki: ma dobre oko.

— Ja jej powiem — zgłosił się Sam Regan ruszając na dół. — Kto idzie ze mną?

Nikt mu nie towarzyszył; Tod i Helen Morrisowie poszli obejrzeć swój ogródek, a Norm Schein był zajęty ściąganiem pokrowca z koparki i przygotowaniami do jej uruchomienia.

Sam Regan znalazł Fran przykucniętą nad zestawem Perky Pat, który Morrisowie i Scheinowie stworzyli wspólnie.

Zajęta tym, co robiła, powiedziała do niego nie podnosząc głowy:

— Perky Pat pojechała do śródmieścia nowym Fordem, zaparkowała, wrzuciła dziesiątaka do parkometru, zrobiła zakupy, a teraz jest w biurze psychoanalitka i czyta *Fortune*. Tylko ile ma zapłacić za wizytę?

Zerknęła na niego, przyglądziła długie ciemne włosy i uśmiechnęła się. Fran była niewątpliwie najprzystojniejszą i najbardziej utalentowaną osobą w baraku. Wiedział o tym i to nie od dziś.

— Jak możesz bawić się tym kompletem i nie żuć... — powiedział i rozejrzał się wokół. Wydawało się, że są sami. Pochylił się i szepnął: — Chodź, pożujemy razem trochę pierwszorzędnego Can-D. Tak jak wtedy. Dobrze?

Serce biło mu mocno, gdy czekał na jej odpowiedź. Wspomnienie tego ostatniego razu, kiedy zjednoczeni ze sobą przenieśli się w świat Perky Pat, sprawiło, że poczuł podniecenie.

— Helen Morris wróci...

— Nie, oni grzebią się z koparką, tam na górze. Nie wrócą wcześniej jak za godzinę.

Wziął Fran za rękę i pociągnął za sobą.

— To, co dostajemy w zwykłym brązowym papierze — mówił prowadząc ją na korytarz — trzeba szybko zużyć. Nie można tego zakopywać, bo starzeje się i traci moc.

A za tę moc słono płacimy, rozmyślał ponuro. Zbyt słono, by ją marnować. Chociaż niektórzy — nie z tego baraku — twierdzili, że siła umożliwiająca przeniesienie nie pochodzi z Can-D, lecz wiąże się z dokładnością zestawu. On uważał, że to nonsens, ale wielu przychyliło się do tej opinii.

Kiedy spiesznie wchodzili do pomieszczenia Sama, Fran powiedziała:

— Zażyję razem z tobą, Sam, ale gdy już będziemy tam, na Ziemi, nie róbmy nic takiego... No, wiesz. Czego nie zrobilibyśmy tutaj. To, że będziemy Waltem i Pat, nie upoważnia nas...

Ostrzegawczo zmarszczyła brwi, strofując go za jego zachowanie poprzednim razem i za zmierzanie ku temu, o co jeszcze nie poprosił.

— A więc przyznajesz, że naprawdę przenosimy się na Ziemię.

Spierali się co do tego zasadniczego punktu już wiele razy. Fran skłaniała się do twierdzenia, że przeniesienie jest tylko pozorne, jest tym, co koloniści nazywali zbiegiem okoliczności — wyobrażeniem miejsc i przedmiotów.

— Wierzę — wycedziła wolno Fran, uwalniając palce z jego dłoni i stając przed drzwiami pomieszczenia — że obojętnie, czy jest to gra wyobraźni, wywołana narkotykiem iluzja czy rzeczywiste przeniesienie na Ziemię naszych wspomnień... — Przerwała i znów obrzuciła go surowym spojrzeniem. — Myślę, że powinniśmy zachowywać się przyzwoicie, aby nie skazić ceremonii przeniesienia. — Patrząc, jak Sam ostrożnie odsuwa od ściany metalowe łóżko i długim hakiem sięga do odsoniętej dziury, dodała: — To powinno być naszym oczyszczeniem, zatraceniem naszej cielesności. I zasiedleniem nieśmiertelnego ciała, przynajmniej na jakiś czas lub na zawsze, jeżeli wierzyć, tak jak niektórzy, że dzieje się to poza czasem i przestrzenią, że jest to wieczne. Nie sądzisz, Sam? Wiem, że tak nie uważasz — westchnęła.

— Uduchowanie — skrzywił się z niesmakiem wyciągając pakiet Can-D z dziury w podłodze. — Odrzucenie rzeczywistości dające... co? Nic.

— Nie mogę udowodnić — powiedziała Fran, podchodząc bliżej i patrząc, jak otwiera paczkę — że abstynencja daje jakieś korzyści. Jednak wiem jedno, to, czego ani ty, ani inni sensualiści spośród nas nie możecie zrozumieć: kiedy zażywamy Can-D i opuszczamy nasze ciała, umieramy. A umierając zrzucamy brzemię... — Zawahała się.

— No, powiedz, wyduś to z siebie — zachęcał ją Sam otwierając pakiet i odcinając nożem pasek twardej brązowej substancji o konsystencji włókien roślinnych.

— Grzechu — szepnęła Fran.

Sam Regan ryknął śmiechem.

— W porządku. Przynajmniej masz poglądy ortodoksyjne.

Większość kolonistów zgodziłaby się z Fran.

— Jednak — mówił umieszczając paczuszkę z powrotem w bezpiecznym miejscu — to nie dlatego żuję Can-D. Nie chcę się niczego pozbywać... Raczej chcę coś uzyskać.

Zamknął drzwi pomieszczenia, po czym szybko wyjął swój zestaw Perky Pat, rozłożył go na podłodze i pracując w gorączkowym pośpiechu poustawiał wszystkie przedmioty na swoich miejscach.

— Coś, do czego normalnie nie mamy prawa — dodał, jakby Fran tego nie wiedziała.

Jej mąż albo jego żona, lub oboje, czy też inni mieszkańcy baraku mogli pojawić się w chwili, gdy Fran i on będą w stanie przeniesienia. Zobaczą ich ciała siedzące w przyzwoitej odległości od siebie. Nikt, nawet największy purytanin, nie dopatrzy się w tym niczego złego. Ten aspekt sprawy ustalono już dawno:

współpobytu nie można udowodnić — eksperci rządu ONZ na Marsie i innych koloniach próbowali nieraz, lecz bezskutecznie. W stanie przeniesienia można było popełnić morderstwo, każdą zbrodnię, a z prawnego punktu widzenia była ona tylko złudzeniem, iluzją.

Ten niezwykle interesujący fakt od dawna skłaniał go do zażywania Can-D. Dla niego życie na Marsie miało swoje przyjemne strony.

— Myśle — stwierdziła Fran — że kusisz mnie do złego.

Wyglądała na smutną. Usiadła, a jej oczy, duże i ciemne, zabawnie zogniskowały się w centrum zestawu, tuż przy ogromnej garderobie Perky Pat. Bez słowa, z roztargnieniem zaczęła się bawić miniaturowym futrem z soboli.

Podał jej połowę paska Can-D, po czym wrzucił sobie drugą część porcji do ust i zaczął ją żuć z lubością.

Fran też zaczęła żuć, wciąż wyglądając na smutną.

Był Waltem. Posiadał sportowy statek marki Jaguar XXB wyciągający dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów na godzinę. Miał koszule sprowadzane z Włoch i buty robione w Anglii. Gdy otworzył oczy, ujrzał stojący naprzeciw łóżka telewizor. Odbiornik włączył się automatycznie, nastawiony na poranny show wielkiego komediantatora Jima Briskina. Briskin właśnie pojawił się na ekranie w ognistorangej peruce. Walt usiadł, nacisnął guzik zmieniając łóżko w ogromny fotel i oparł się wygodnie, by popatrzeć przez chwilę na program.

— Stoję tu, na rogu Van Ness i Market w centrum San Francisco — mówił modulowanym głosem Briskin — gdzie właśnie będziemy świadkami otwarcia wspaniałej, nowej mieszkalni imienia sir Francisa Drake'a, pierwszego budynku całkowicie skrytego pod ziemią. Obok mnie stoi czarująca wykonawczyni ballad, która nada budowli imię i...

Walt wyłączył telewizor, wstał i podszedł na bosaka do okna, rozsunął zasłony, i spojrzał na ciepłą, skrzącą się ulicę San Francisco, na wzgórza i białe domy. Była sobota rano i nie musiał iść do pracy, do swego biura w Ampex Corporation w Palo Alto. Pomyślał z przyjemnością, że dziś ma randkę ze swoją dziewczyną, Pat Christensen, która miała nowoczesne mieszkanie na Potrero Hill.

Zawsze była sobota.

W łazience spryskał twarz wodą, po czym wycisnął krem z tubki i zaczął się golić. Patrząc w lustro na znajomą twarz, zauważył przypiętą tam notatkę skreśloną jego własnym charakterem pisma.

TO ZŁUDZENIE. JESTEŚ SAMEM REGANEM, KOLONISTĄ Z MARSA. WYKORZYSTAJ DOBRZE SWÓJ CZAS PRZENIESIENIA, KOLEŚ. ZADZWOŃ DO PAT NATYCHMIAST!

Notatka była podpisana „Sam Regan”.

Złudzenie, pomyślał. Jak to? Próbował sobie przypomnieć: Sam Regan i Mars, okropny barak kolonistów... tak, przypominał to sobie niejasno, ale wspomnienie było odległe, na wpół zatarte i niezbyt przekonujące. Wzruszył ramionami

i podjął przerwana czynność, lekko zdziwiony i trochę przygnębiony. W porządku, założmy, że liścik mówi prawdę; może i pamiętał tamten świat, to ponure niby-życie przymusowego emigranta wygnanego z naturalnego środowiska. I co z tego? Czemu miałby niszczyć to, co ma? Zerwał karteczkę, zmiął ją i wrzucił do kanału na odpadki. Gdy skończył się golić, natychmiast zawideofonował do Pat.

— Słuchaj — powiedziała chłodno i krótko. Jej blond włosy błyszcząły; właśnie je suszyła. — Nie chcę cię widzieć, Walt. Dlatego że wiem, o co ci chodzi, i wcale nie mam na to ochoty. Rozumiesz?

Jej szaroniebieskie oczy spoglądały zimno.

— Hmm — chrząknął próbując wymyślić jakąś odpowiedź. — Przecież jest wspaniały dzień — powinniśmy gdzieś pójść. Może do Golden Gate Park.

— Będzie za gorąco.

— Nie — zaprzeczył żarliwie. — Rano ma być chłodno. No, moglibyśmy pospacerować po plaży i pochlapać się w wodzie. Dobrze?

Wyraźnie zawahała się.

— Jednak z naszej niedawnej rozmowy. . .

— Nie było żadnej rozmowy. Nie widziałem cię od tygodnia, od zeszłej soboty. — Starał się, by jego głos brzmiał stanowczo i przekonywająco. — Wpadnę do ciebie za pół godziny i zabiorę cię. Załóż strój kąpielowy, wiesz, ten żółty. Ten hiszpański ze stanikiem.

— Och — odparła pogardliwie — on jest już zupełnie niemodny. Mam nowy, szwedzki; jeszcze go nie widziałeś. Założę go, jeśli wolno takie nosić. Dziewczyna w sklepie nie była pewna.

— Umowa stoi — powiedział i rozłączył się.

Pół godziny później jego jaguar wylądował na lądowisku na dachu jej mieszkalni.

Pat ubrana była w sweter i spodnie; strój kąpielowy, wyjaśniła, miała pod spodem. Niosąc koszyk z jedzeniem poszła z nim rampą do zaparkowanego statku. Żywa i śliczna, szła przed nim, zabawnie drobiąc w swych małych sandałkach. Wyglądało na to, że mimo wszystko będzie wspaniały dzień, teraz kiedy już pozbyła się początkowych oporów. . . Bogu dzięki.

— Zaczekaj, aż zobaczysz mój strój — zawołała, wskakując do zaparkowanego statku i stawiając koszyk na podłodze. — Jest naprawdę śmiały. Prawie go nie ma; trzeba sporo dobrej woli, żeby uwierzyć w jego istnienie.

Kiedy wsiadł, przytuliła się do niego.

— Myślałam o tej naszej rozmowie. . . pozwól mi skończyć.

Położyła mu palce na ustach nakazując milczenie,

— Wiem, że ona miała miejsce, Walt. Jednak w pewnym sensie masz rację. Zasadniczo twoje nastawienie jest właściwe. Powinniśmy wykorzystać to maksymalnie. Mamy mało czasu, tylko tyle, ile. . . przynajmniej tak mi się wydaje.

Uśmiechnęła się blado.

— Więc jedź tak szybko, jak możesz. Chcę zobaczyć ocean.
Po chwili znaleźli się na parkingu przy skraju plaży.
— Będzie coraz goręcej — stwierdziła trzeźwo Pat. — Z każdym dniem. Prawda? Aż w końcu stanie się to nie do zniesienia.
Ściągnęła sweter i uniósłszy się nieco w fotelu, zdołała zdjąć dzinsy.
— Jednak my tego nie dożyjemy. Minie jeszcze z pięćdziesiąt lat, zanim nie będzie można wyjść w południe z domu. Kiedy, jak to się mówi, psa nie będzie można wypędzić. Jeszcze nie jest tak źle.
Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz ubrana w strój kąpielowy. I nie myliła się; trzeba było jej wierzyć na słowo, że miała go na sobie. Strój spełniał wszelkie oczekiwania ich obojga.
Pomaszerowali razem po mokrym, ubitym piasku, oglądając meduzy, muszle i kamyki wyrzucone na brzeg przez fale.
— Który mamy rok? — zapytała nagle Pat przystając.
Wiatr rozwiewał jej rozpuszczone włosy. Unosiły się jak złoty puch, czyste i długie, każde pasmo oddzielnie.
— No, zdaje się, że... — zaczął, lecz nie mógł sobie przypomnieć. — Niech to diabli.
— To nieważne.
Wzięła go pod rękę i szła dalej, małymi kroczkami.
— Patrz, tam, za tymi skałami, jest nasza samotnia — zawołała i zwiększyła tempo. Jej długie, zgrabne nogi walczyły z wiatrem, piaskiem i znajomym ciężarem starego, dawno utraconego świata. — Ja jestem... jak jej na imię? Fran? — zapytała nagle.
Weszła między skały. Spieniona woda otoczyła jej stopy i kostki. Odskoczyła ze śmiechem, drżąc od nagłego chłodu.
— Czy też jestem Patrycją Christensen? — Obiema rękami przyglądała włosy. — Są jasne, więc muszę być Pat. Perky Pat.
Zniknęła za skałami. Szybko poszedł w jej ślady.
— Kiedyś byłam Fran — rzuciła przez ramię — ale to teraz nie ma znaczenia. Przedtem mogłam być kimkolwiek. Fran, Helen czy Mary. Teraz to nie ma znaczenia, prawda?
— Nie — zaprzeczył doganiając ją. Dysząc, powiedział: — To ważne, że byłaś Fran. Zasadniczo.
— Zasadniczo.
Rzuciła się na piasek i leżała podparta na łokciu ryjąc w piasku, za pomocą kawałka czarnej skały, długie, głębokie krechy. Po chwili odrzuciła kamień i usiadła spoglądając na ocean.
— Jednak wszystko tu... to Pat.
Położyła dłonie na piersiach i apatycznie uniosła je w górę z wyrazem lekkiego zdziwienia na twarzy.

— One — stwierdziła — należą do Pat. Nie do mnie. Moje są mniejsze, pamiętam.

W milczeniu usiadł przy niej.

— Jesteśmy tu — powiedziała w końcu — by robić to, czego nie możemy robić w baraku. Tam gdzie zostawiliśmy nasze mizerne ciała. Tak długo, jak będziemy mieć sprawne zestawy, to wszystko... — Urwała i gestem wskazała ocean, po czym ponownie dotknęła piersi. W oczach miała niedowierzanie. — To nie może się zestarzeć, prawda? Staliśmy się nieśmiertelni.

Położyła się na plecach na ciepłym piasku i zamknęła oczy zasłaniając twarz ramieniem.

— A skoro tu jesteśmy i możemy robić to, czego nie można robić w baraku, według twojej teorii powinniśmy to robić. Powinniśmy skorzystać z okazji.

Nachylił się i pocałował ją w usta.

Nagle usłyszał w myślach jakiś głos:

— Przecież mogę to robić w każdej chwili.

W ciele poczuł obecność kogoś obcego. Odsunął się od dziewczyny i usiadł.

— W końcu — rzekł Norm Schein — jestem jej mężem.

Roześmiał się.

— Kto pozwolił ci używać mojego zestawu? — pomyślał ze złością Sam Regan. — Wynoś się z mojego pokoju. I założę się, że używasz też mojego Can-D.

— Sam go nam zaproponowałeś — odparł współmieszkaniec jego ciała. — Postanowiłem skorzystać z zaproszenia.

— Ja też tu jestem — pomyślał Tod Morris. — I jeśli chcesz znać moje zdanie...

— Nikt cię o to nie pytał — zdenerwował się Norm Schein. — W ogóle nikt cię tu nie prosił. Czemu nie wrócisz babrać się tym swoim nędznym ogródkiem, w którym powinienes teraz być?

— Jestem z Samem — myślał zimno Tod Morris. — Tylko tu mogę to robić.

Siła jego woli połączyła się z wolą Sama. Walt ponownie pochylił się nad wyciągniętą dziewczyną. Znów pocałował ją w usta, tym razem z większym uczuciem.

Nie otwierając oczu, Pat powiedziała cicho:

— To ja, Helen. Też tu jestem.

Później dodała:

— Mary także. Jednak nie wzięłyśmy twojego Can-D.

Zażyłyśmy swój.

Objęła go ramionami: trzy mieszkanki ciała Perky Pat zjednoczone w geście przyzwolenia. Zaskoczony Sam Regan zerwał kontakt z Todem Morrisem, poddał się woli Norma Scheina i Walt odsunął się od Perky Pat.

Fale oceanu obmywały ich, gdy leżeli wyciągnięci na piasku — dwie postacie kryjące w sobie osobowości sześciu osób. Sześć w dwóch, pomyślał Sam Regan.

Znów ta sama zagadka: jak to się dokonuje? To samo stare pytanie. Jednak obchodzi mnie tylko to, myślał, czy użyli mojego Can-D. A założę się, że tak. Nie dbam o to, co mówią. Nie wierzę im.

Wstając, Perky Pat powiedziała:

— No, widzę, że mogę iść popływać. Nic się nie dzieje. Poszła do wody i z pluskiem oddaliła się od patrzących na nią mieszkańców drugiego ciała.

— Przegapiliśmy okazję — pomyślał ze złością Tod Morris.

— To moja wina — przyznał Sam. Połączywszy się z Todem, zdołali wstać. Przeszli kilka kroków w ślad za dziewczyną i znalazłszy się po kostki w wodzie, zatrzymali się.

Sam Regan czuł już, jak narkotyk przestaje działać. Był słaby, wystraszony i pełen obrzydzenia, które razem z tym nastąpiło. Tak cholernie szybko, pomyślał. Wszystko skończone; z powrotem do baraku, do nory, w której wijemy się i pełzamy jak robaki w papierowej torbie kulące się przed światłem. Blade, wymokłe i obrzydliwe. Wzdrygnął się.

Ujrzał znowu swoje pomieszczenie, metalowe łóżko, umywalkę, biurko, piec kuchenny. . . i rozrzucone niczym kupki łachmanów puste ciała nieprzytomnych współtowarzyszy: Toda i Helen Morrisów, Norma Scheina i swojej żony Mary. Patrzyli nań pustymi oczyma. Odwrócił głowę z odrazą.

Na podłodze między siedzącymi stał zestaw. Sam dostrzegł obie lalki, Pat i Walta, umieszczone na brzegu oceanu, w pobliżu zaparkowanego jaguara. Perky Par miała oczywiście na sobie niemal niewidoczny szwedzki kostium kąpielowy, a obok leżących był maleńki koszyk z wiktuałami.

Przy zestawie dostrzegł brązowy papier, w którym był Can-D. Zużyli wszystko. Nawet teraz widział cienką strużkę lśniącego brązowego syropu sączącego się z kącików głupawo rozdziawionych ust.

Fran Schein poruszyła się, otworzyła oczy i jęknęła. Spojrzała na niego i westchnęła ze znużeniem.

— Dopadli nas — powiedział.

— Zwlekaliśmy za długo.

Wstała chwiejnie, zatoczyła się i prawie upadła. W jednej chwili był przy niej, złapał ją i podtrzymał.

— Miałaś rację. Trzeba było zrobić to od razu, jeżeli mieliśmy ochotę. Jednak. . .

Pozwoliła, by ją objął przelotnym uściskiem.

— Lubię długie wstępy. Spacerowanie po plaży, pokazywanie ci kostiumu kąpielowego, który niemal nie istnieje.

Uśmiechnęła się.

— Założę się, że jeszcze przez kilka minut będą nieprzytomni — powiedział Sam.

— Tak, masz rację — odparła Fran szeroko otwierając oczy. Wyśliznęła mu się i skoczyła do drzwi. Otworzyła je gwałtownie i zniknęła w korytarzu. — W naszym pokoju — zawołała do niego. — Pośpiesz się!

Ucieszony, ruszył za nią. To wydawało się bardzo zabawne, skręcał się ze śmiechu. Dziewczyna pędziła przed nim rampą w górę na swój poziom baraku. Dogonił ją i pochwycił, gdy dobiegli do jej pomieszczenia. Razem wpadli do środka i potoczyli się chichocząc po metalowej podłodze pod przeciwległą ścianę.

Mimo wszystko zwyciężyliśmy, pomyślał zrećznie odpinając jej biustonosz, otwierając suwak spódnicy i zdejmując buciki bez sznurowadeł, podobne do pantofli. Wszystko jednocześnie. Jego palce błądziły wszędzie i Fran westchnęła. Tym razem nie ze zmęczenia.

— Lepiej zamknę drzwi.

Wstał, podszedł szybko do drzwi i zamknął je na zasuwkę. Tymczasem Fran szybko się rozebrała.

— Chodź tu — ponaglała go. — Nie stój tak.

Pośpiesznie rzuciła rzeczy na podłogę i przycisnęła tę kupkę butami jak przy-ciskami do papieru.

Położył się przy niej, a jej zręczne, chłodne ręce zaczęły go pieścić. W czarnych oczach rozpałił się płomyk, a dotyk jej palców przynosił rozkosz.

I to właśnie tu, w tej okropnej dziurze na Marsie. Jednak udało im się jeszcze zrobić to w dawny, jedyny możliwy sposób — dzięki narkotykowi dostarczonemu przez natrętnych handlarzy. Umożliwił im to Can-D. Wciąż go potrzebowali. Nie byli wolni, wcale nie chcemy być, pomyślał, gdy kolana Fran objęły jego nagie biodra. Wprost przeciwnie. Przydałoby się nawet jeszcze trochę, myślał, gdy jego dłoń zsuwała się po jej płaskim, dygoczącym brzuchu.

Rozdział 4

W recepcji Szpitala Weteranów imienia Jamesa Riddle'a w Bazie III na Ganimedzie Leo Bulero uchylił kosztownego, ręcznie modelowanego kapelusza przed dziewczyną w wykrochmalonym białym fartuchu i powiedział:

— Przyszedłem zobaczyć jednego z pacjentów, pana Eldona Trenta.

— Przykro mi, proszę pana. . . — zaczęła dziewczyna, ale przerwał jej bezceremonialnie.

— Powiedz mu, że jest tu Leo Bulero. Rozumiesz? Leo Bulero.

Obok jej ręki dostrzegł rejestr, a w nim numer pokoju Eldritch. Gdy dziewczyna odwróciła się do konsoli, ruszył w głąb korytarza. Do diabła z czekaniem, pomyślał. Przebyłem miliony kilometrów i mam zamiar zobaczyć tego człowieka czy cokolwiek to jest.

Przy drzwiach separatki zatrzymał go żołnierz ONZ uzbrojony w karabin; bardzo młody żołnierz o czystych, zimnych oczach dziewczyny; oczach, które wyraźnie mówiły „nie” — nawet jemu.

— W porządku — mruknął Leo. — Rozumiem, o co chodzi. Jednak gdyby ten, który tam leży, wiedział, że tu jestem, kazałby mnie wpuścić.

Tuż za nim rozległ się ostry damski głos, na którego dźwięk Leo drgnął gwałtownie.

— Jak się pan dowiedział, że mój ojciec tu jest, panie Bulero?

Odwrócił się i zobaczył dość kręłą kobietę po trzydziestce. Przyglądała mu się badawczo.

To Zoe Eldritch, pomyślał. Nie mogę się mylić. Widywałem ją dość często w kronikach towarzyskich wideogazet.

Zjawił się przedstawiciel ONZ.

— Panno Eldritch, jeśli pani chce, możemy usunąć pana Bulero z budynku. To zależy od pani.

Uśmiechnął się miło do Leo i ten natychmiast go poznał. Był to szef sekcji prawnej ONZ, zwierzchnik Neda Larka, Frank Santina. Czarnooki, czujny, wibrujący energią Santina szybko zerknął na Zoe Eldritch, czekając na odpowiedź.

— Nie — zdecydowała w końcu Zoe Eldritch. — Przynajmniej nie w tej chwili. Nie wcześniej, aż dowiem się, skąd wiedział, że tato jest tutaj. Nie powinien wiedzieć. Prawda, panie Bulero?

— Zapewne użył jednego ze swych jasnowidzów — mruknął Santana. — Prawda, Bulero?

Leo niechętnie skinął głową.

— Widzi pani, panno Eldritch — wyjaśnił Santana — taki człowiek jak Bulero może kupić wszystko, co chce, każdy rodzaj talentu.

Wskazał na dwóch uzbrojonych, umundurowanych strażników przed drzwiami Palmera Eldritch.

— To dlatego ci dwaj stoją tu dzień i noc. Spodziewaliśmy się ciebie, Bulero.

— Może jednak istnieje jakaś możliwość, abym mógł porozmawiać z Eldritchem o interesach? — dopytywał się Leo. — Po to tu przybyłem. Nie chcę niczego nielegalnego. Myślę, że wszyscy jesteście stuknięci albo próbujecie coś ukryć. Może macie nieczyste sumienie?

Zmierzył ich wzrokiem, ale nie dostrzegł żadnej reakcji.

— Czy tam naprawdę jest Palmer Eldritch? — zapytał. — Założę się, że nie.

Znow nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Żadne z nich nie dało się złapać na haczyk.

— Jestem zmęczony — rzekł wreszcie. — Miałem długą podróż. Do diabła z tą całą sprawą; mam zamiar coś zjeść, a potem znaleźć jakiś pokój w hotelu, przespać dziesięć godzin i zapomnieć o tym.

Odwrócił się i odszedł.

Ani Santana, ani panna Eldritch nie próbowali go zatrzymać. Rozczarowany szedł dalej z uczuciem przemożnego obrzydzenia.

Najwidoczniej będzie musiał dotrzeć do Palmera Eldritch przez jakiegoś pośrednika. Może, zastanawiał się, Felix Blau i jego prywatna policja zdołaliby się tu dostać. Warto spróbować.

Wpadł w takie przygnębienie, że wszystko wydawało się pozbawione znaczenia. Czemu nie zrobić tak, jak powiedział: zjeść, a potem trochę odpocząć, zapomnieć na razie o Palmerze Eldritch? Do diabła z nimi wszystkimi, pomyślał opuszczając budynek szpitala i pomaszerował chodnikiem wypatrując taksówki. Córka, myślał. Wygląda na twardą babę, a z tymi krótko obciętymi włosami i bez makijażu jak lesbijka. Pfe!

Znalazł taksówkę i po chwili wznosił się w powietrze, medytując.

W końcu za pomocą systemu wideofonicznego taksówki połączył się z Ziemią, z Felixem Blau.

— Cieszę się, że cię widzę — powiedział Felix Blau, stwierdziwszy, z kim mówi. — Mamy tu organizację, która w dziwnych okolicznościach pojawiła się w Bostonie. Wygląda na to, że zjawili się tu z nieba. . .

— Co robią?

— Chcą coś rzucić na rynek. Puścili już w ruch całą machinę, w tym trzy satelity reklamowe podobne do twoich. Jeden przy Marsie, jeden przy Io i jeden krążący wokół Tytana. Plotka głosi, że zamierzają wejść na rynek z artykułem powszechnego użytku konkurencyjnym wobec twojego zestawu Perky Pat. Ma się to nazywać Connie-Towarzyszka.

Uśmiechnął się przelotnie.

— Czy to nie sprytne?

— A co z... no, wiesz. Dodatkiem? — zapytał Leo.

— Brak informacji. Zakładając, że jakiś jest, będą musieli rozprowadzać go poza legalnymi kanałami handlowymi. Czy zestaw bez... dodatku ma jakieś działanie?

— Nie.

— Zatem znasz odpowiedź na swoje pytanie.

— Zadzwoń do ciebie — zmienił temat — żeby dowiedzieć się, czy możesz załatwić mi rozmowę z Palmerem Eldritchem. Zlokalizowałem go tu, w bazie III na Ganimedzie.

— Przypominasz sobie mój raport o tym, że Eldritch sprowadził porost podobny do tego, który jest wykorzystywany do produkcji Can-D. A może ta firma w Bostonie należy do Eldritcha? Chociaż wydaje się, że upłynęło na razie za mało czasu. Mógł jednak nadać radiodepeszę do córki z dziesięcioletnim wyprzedzeniem.

— Teraz już na pewno muszę się z nim zobaczyć — stwierdził Leo.

— Zakładam, że chodzi o Szpital Weteranów. Podejrzewaliśmy, że może tam być. Przy okazji, czy słyszałeś kiedyś o człowieku nazywającym się Richard Hnatt?

— Nigdy.

— Reprezentant tej nowej firmy w Bostonie spotkał się z nim i zawarł jakąś umowę. Ten reprezentant, Icholtz...

— Co za galimatias — przerwał Leo. — A ja nawet nie mogę dostać się do Eldritch. Santana waruje przy drzwiach razem z tą lesbijową córką Palmera.

Doszedł do wniosku, że nikomu nie uda się przedrzeć przez tych dwoje.

Podał Blauowi adres hotelu w Bazie III, tego, w którym zostawił bagaż, a potem zakończył rozmowę.

Założę się, że to Palmer Eldritch jest tym konkurentem, pomyślał. Takie już mam szczęście. Muszę zajmować się akurat tym interesem, w który ma zamiar wejść powracający z Proximy Eldritch. Dlaczego nie robię systemów naprowadzających do raket, współzawodnicząc jedynie z General Electrics i General Dynamics?

Teraz naprawdę zastanawiał się, co to za porost przywiózł ze sobą Eldritch. Zapewne ulepszoną odmianę surowca do Can-D. Tańszą w uprawie, zdolną do

produktowania związku dającego przeniesienie o większej intensywności i dłuższym okresie trwania. Jezu!

Przyszła mu do głowy dziwna myśl. Niedawno w Zjednoczonej Republice Arabskiej powstała pewna organizacja; wyszkoleni zabójcy do wynajęcia. Małe szanse mieliby przeciw Palmerowi Eldritchowi. . . Taki człowiek jak on, kiedy już raz postanowi. . .

Jednak pozostawała jeszcze przepowiednia Rondinelli Fugate, że w przyszłości oskarżą go o zamordowanie Palmera Eldritch'a.

Najwidoczniej znajdzie jakiś sposób ominięcia przeszkód.

Miał przy sobie broń tak małą, tak niewyczuwalną, że nawet najdokładniejsza rewizja nie zdołałaby jej wykryć. Kiedyś, dawno temu, pewien chirurg w Waszyngtonie wszył mu ją w język: samonaprowadzająca się zatruta strzałka, wzorowana na sowieckich rakietach. . . ale niepomniernie ulepszona, ponieważ po spełnieniu zadania sama się niszczyła, nie zostawiając śladów w ciele ofiary. Trucizna też była specjalna; nie wpływała na akcję serca czy ciśnienie tętnicze; w rzeczy samej nie była to trucizna, lecz przesączamy wirus, który rozmnażał się we krwi ofiary, powodując śmierć w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Wirus był organizmem kancerogennym znalezionym na jednym z księżyców Urana i wciąż zasadniczo nie zbadany. Kosztował go majątek. Teraz wystarczyło tylko, by stanął o krok od tego, kogo zamierzał zabić, i nacisnął ręką nasadę języka wystawiwszy go jednocześnie w kierunku ofiary. Jeśli spotka się z Eldritch'em. . .

I lepiej by tak się stało, uświadomił sobie, zanim ta nowa korporacja w Bostonie rozpocznie produkcję. Zanim będzie w stanie funkcjonować bez Palmera Eldritch'a. Tak jak chwast należy go wyrwać wcześniej albo wcale.

Kiedy dotarł do swojego pokoju w hotelu, zamówił rozmowę z P. P. Layouts, aby dowiedzieć się, czy nadeszły jakieś ważne depesze lub wiadomości.

— Tak — powiedziała panna Gleason widząc go na ekranie. — Jest pilna rozmowa z panną Impatience White — o ile dobrze zrozumiałam. Oto jej numer. To na Marsie.

Na ekranie pojawił się notatnik.

Z początku Leo nie mógł sobie przypomnieć żadnej kobiety o nazwisku White. Później przypomniał sobie i wystraszył się. Po co dzwoniła?

— Dzięki — wymamrotał i natychmiast się rozłączył. Boże, jeśli sekcja prawna ONZ podsłuchiwała tę rozmowę. . . Działająca na Marsie Impy White była jednym z największych handlarzy Can-D.

Z ogromnymi oporami wykreślił numer.

Na ekranie wideofonu pojawiła się Impy White, kobieta o drobnej twarzy i ostrym spojrzeniu, na swój sposób ładna. Leo wyobrażał ją sobie jako bardziej malowniczą postać, jednak i tak wyglądała dość wojowniczo.

— Panie Bulero, kiedy już to panu powiem. . .

— Czy nie ma innych sposobów? Innych kanałów? Conner Freeman, szef operacji na Wenus, miał sposób, by się z nim skontaktować. Panna White powinna przekazać wiadomość przez Freemana, swojego zwierzchnika.

— Panie Bulero, dziś rano byłem w jednym z baraków na południu z dostawą. Koloniści nie chcieli niczego kupić. Twierdzili, że wydali wszystkie skóry na nowy produkt. Tego samego rodzaju co... ten, który my sprzedajemy. Chew-Z. I... — ciągnęła, ale Leo Bulero rozłączył się.

I siedział w milczeniu, wstrząśnięty.

Nie wolno mi pękać, pomyślał. Mimo wszystko jestem zewoluowaną odmianą człowieka. A więc to tak; to jest ten nowy produkt bostońskiej firmy. Wytwarzany z porostu Eldritch, jak sędzę. On sobie leży w szpitalnym łóżku o kilometr stąd i niewątpliwie wydaje polecenia przez Zoe, a ja nic na to nie mogę poradzić. Machina poszła w ruch i działa. Już jest za późno. Nawet ta strzałka w języku, uświadomił sobie z goryczą, na nic się nie zda.

Jednak wiedział, że coś wymyśli. Jak zwykle.

To jeszcze nie koniec P.P. Layouts.

Tylko co mógł naprawdę zrobić? Nie miał pojęcia, a to nie zmniejszało jego zdenerwowania.

No przychodzi, sztucznie przyspieszony w rozbudowanej korze mózgowej pomyśle, modlił się. Boże, pomóż mi pokonać wrogów, tych drani. Może gdybym użył moich jasnowidzów, Roni Fugate i Barneya... może oni by na coś wpadli. Szczególnie ten stary wyga Barney. Na razie wcale go nie wykorzystałem.

Ponownie zamówił rozmowę z P.P. Layouts na Ziemi. Tym razem zażądał połączenia z wydziałem Barneya Mayersona.

Nagle przypomniał sobie kłopoty Barneya z powołaniem, jego wysiłki w celu wytworzenia niezdolności do znoszenia stresu, aby nie skończyć w baraku na Marsie.

Pomogę mu w tym, myślał ponuro Bulero; dla niego niebezpieczeństwo powołania do służby już minęło.

Kiedy Bulero zadzwonił z Ganimeda, Barney Mayerson był sam w biurze.

Rozmowa nie trwała długo. Kiedy się skończyła i odwiesił słuchawkę, spojrzął na zegarek i zdziwił się. Pięć minut. Wydawało mu się, że rozmowa trwała całe życie.

Wstał i przycisnąwszy przycisk interkomu, powiedział:

— Proszę przez chwilę nikogo nie wpuszczać. Nawet... a szczególnie panny Fugate.

Podszedł do okna i stał spoglądając na gorącą, jasną, pustą ulicę.

Leo zwał cały problem na jego głowę. Po raz pierwszy widział swojego pracodawcę załamanego. Wyobraźcie sobie, myślał, Leo Bulero zbity z tropu — po raz pierwszy napotyka konkurencję. On po prostu nie był do tego przyzwyczajony. Istnienie tej nowej firmy z Bostonu całkowicie, jak na razie, zbiło go z tropu.

Był bezradny jak dziecko.

W końcu Leo otrząsnie się z szoku, ale tymczasem... Co mogę z tego mieć? — zapytywał sam siebie Barney Mayerson i nie potrafił znaleźć niezwłocznej odpowiedzi. Mogę pomóc Leo... lecz co właściwie Leo może zrobić dla mnie? To pytanie jest bardziej istotne. Właściwie musiał w ten sposób myśleć. Nauczył go tego sam Leo w ciągu długich lat pracy. Jako pracodawca nie życzyłby sobie innego podejścia.

Przez jakiś czas siedział medytując, a potem, tak jak polecił Leo, skierował myśli ku przyszłości. Będąc w niej jeszcze raz spróbował wejrzeć w sprawę swojego powołania. Chciał wiedzieć, jak rozwiąże się ten problem.

Jednak fakt ten był zbyt mało istotny, aby odnotowały go środki masowego przekazu. Nie mógł go szukać w nagłówkach wideogazet, w wiadomościach dziennika... Lecz w przypadku Leo było zupełnie inaczej. Widział liczne artykuły w gazetach odnoszące się do Leo i Palmera Eldritch. Oczywiście wszystko było niewyraźne i różne wersje tworzyły istny kłęb chaosu. Leo spotka się z Palmerem Eldritch, Leo nie spotka się. Albo ta... Leo zaaranżował morderstwo Palmera Eldritch. Wielki Boże, co to ma znaczyć?

To oznaczało, jak odkrył po dokładniejszym zbadaniu sprawy dokładnie to, co myślał. A gdyby Leo Bulero został aresztowany, osądzony i skazany, mogłoby to oznaczać koniec P.P. Layouts jako źródła zarobku. A także koniec kariery, dla której już poświęcił wszystko, swoje małżeństwo i kobietę, którą — jeszcze teraz! — kochał.

Najwidoczniej ostrzeżenie Leo będzie dlań korzystne, a nawet konieczne. Nawet taką wiadomość mógłby obrócić na swoją korzyść.

Zadzwoił do Leo.

— Mam te wiadomości.

— Świetnie — rozpromienił się Leo. Na jego rumianej, wydłużonej twarzy odmalowała się ulga. — Mów, Barney.

— Niebawem wydarzy się coś, co może pan wykorzystać — powiedział Mayerson. — Uda się panu zobaczyć z Eldritch. Nie tam w szpitalu, ale gdzieś indziej. Na jego własne żądanie zostanie przeniesiony z Ganimeda.

Ostrożnie mówił dalej, starając się nie zdradzić wszystkiego, czego się dowiedział:

— Dojdzie do nieporozumień między nim a ONZ. Teraz kiedy jest unieruchomiony, wykorzystuje ich jako ochronę. Jednak kiedy poczuje się lepiej...

— Szczegóły — zażądał natychmiast Leo czujnie nadstawiając ucha.

— Chciałbym coś w zamian.

— Za co? — zmodyfikowane czoło Leo zachmurzyło się.

— Za to, że podam panu dokładną datę i miejsce, gdzie uda się panu dotrzeć do Palmera Eldritch — powiedział Barney.

— A czego chcesz? — warknął Leo.

Spoglądał na Barneya ze źle ukrytym lękiem. Terapia E nie pomagała pozbyć się obaw.

— Jedną czwartą procent pańskich zysków. Z P.P. Layouts... z wyłączeniem wpływów z innych źródeł.

To znaczy sieci plantacji na Wenus, gdzie uzyskiwano Can-D.

— Boże na niebiosach! — wysapnął Leo.

— To nie wszystko.

— Co jeszcze? Przecież będziesz bogaty!

— Chcę jeszcze, by przeprowadził pan reorganizację w dziale Prekognicji Mody. Każdy zostanie na swoim stanowisku sprawując te same funkcje co dotychczas, ale z jednym wyjątkiem. Wszystkie ich decyzje będą kontrolowane przeze mnie i mój głos będzie decydujący. Tak więc nie będę już reprezentował jednego regionu. Może pan oddać Nowy Jork Roni, gdy tylko...

— Żądza władzy — powiedział Leo chrapliwie.

Barney wzruszył ramionami. Kogo to obchodzi, jak to nazywać? To był kulminacyjny punkt w jego karierze. Tylko to się liczyło. I wszyscy muszą to zrozumieć, włącznie z Leo. On przede wszystkim.

— W porządku — rzekł Leo, kiwając głową. — Możesz sobie być wodzem innych konsultantów, to mnie nie obchodzi. Teraz powiedz mi, jak, kiedy i gdzie...

— Może pan spotkać się z Palmerem Eldritchem za trzy dni. Jeden z jego własnych statków, nie oznakowany, zabierze go pojutrze z Ganimeda do jego posiadłości na Lunie. Tam będzie się kurował dalej, ale na terytorium nie należącym do ONZ. Frank Santina nie będzie miał tam nic do gadania, więc może pan o nim zapomnieć. Dwudziestego trzeciego Eldritch przyjmie reporterów i poda im swoją wersję tego, co zdarzyło się w czasie podróży. Będzie w dobrym nastroju, a przynajmniej tak podadzą w gazetach. Cały, zadowolony z powrotu i stopniowo wracający do zdrowia... Opowie im długą historię o...

— Powiedz mi tylko, jak się tam dostać. Będzie miał własną obstawę.

— P.P. Layouts — odparł Barney — cztery razy w roku wydają swój własny magazyn fachowy: Miniaturyzator. To przedsięwzięcie na tak niewielką skalę, że zapewne nie wie pan, że coś takiego istnieje.

— Chcesz powiedzieć, że mam tam pójść jako reporter naszej gazety? — wytrzeszczył oczy Leo. — I na tej podstawie wejdę do jego posiadłości? — Skrzywił się z niesmakiem. — Do diabła. Nie musiałem godzić się na twoje warunki, żeby uzyskać tak bezwartościowe informacje. Ogłoszono by je w gazetach za dzień czy dwa... Przecież jeśli mają tam być reporterzy, to informacja taka musi się pojawić.

Barney wzruszył ramionami. Nie trudził się odpowiedzią.

— Chyba mnie załatwiłeś — powiedział Leo. — Zdaje się, że byłem zbyt niecierpliwy. No — dodał filozoficznie — może mógłbyś powiedzieć mi, jakie wyjaśnienie zamierza dać reporterom. Co znalazł w układzie Proximy? Czy wspomni

o porostach, które przywiózł ze sobą?

— Wspomni. Stwierdzi, że to nieszkodliwa forma życia, zaaprobowana przez Wydział Narkotyków ONZ, która zastąpi. . . — zastanowił się — pewne niebezpieczne, wywołujące uzależnienie preparaty będące obecnie w powszechnym użyciu. I. . .

— I - dokończył ponuro Leo — oznajmi fakt utworzenia firmy zajmującej się opychaniem tego nienarkotycznego produktu.

— Tak — rzekł Barney. — Nazywanego Chew-Z. Slogan reklamowy: „Bądź wybredny — żuj Chew-Z”.

— O rany. . . !

— Wszystko ustalono dużo wcześniej, drogą radiową. Jego córka pośredniczyła, a zaaprobowali to Santina i Lark z ONZ. Nawet sam Hepburn-Gilbert. Chcą w ten sposób skończyć z handlem Can-D.

Zapadło milczenie.

— W porządku — rzekł po dłuższej chwili Leo. — To wstyd, że nie przewidziałeś tego kilka lat temu, ale. . . do diabła, jesteś pracownikiem i nie otrzymałeś takiego polecenia.

Barney wzruszył ramionami.

Zasepiony Bulero rozłączył się.

A więc to tak, pomyślał Barney. Pogwałciłem pierwsze przykazanie karierowicza: nigdy nie mów zwierzchnikowi czegoś, czego on nie chce usłyszeć. Ciekawe, jakie będą konsekwencje.

Wideofon włączył się ponownie. Na ekranie jeszcze raz pojawiła się rozmazana twarz Leo.

— Słuchaj, Barney. Właśnie coś mi przyszło do głowy. To ci nie poprawi samopoczucia, więc przygotuj się.

— Jestem gotowy — odparł Barney.

— Zapomniałem, a powinienem o tym pamiętać, że rozmawiałem wcześniej z panną Fugate i ona wie. . . o pewnych wydarzeniach w przyszłości dotyczących mnie i Palmera Eldritch. Wydarzeniach, które — gdyby poczuła się zagrożona, a na pewno by się poczuła, gdybyś zaczął ją rozstawiać po kątach — mogłaby ujawnić i sprawić nam kłopoty. Prawdę mówiąc zaczynam podejrzewać, że wszyscy moi konsultanci mogli uzyskać te informacje i pomysł zrobienia cię kierownikiem wszystkich jasnowidzów. . .

— Te „wydarzenia” — przerwał mu Barney — dotyczą oskarżenia pana o morderstwo pierwszego stopnia dokonane na osobie Palmera Eldritch, prawda?

Leo chrząknął, sapnął i spojrzał na niego ponurym wzrokiem. Wreszcie, po chwili wahania, skinął głową.

— Nie mam zamiaru pozwolić panu wycofać się z umowy, którą dopiero co zawarliśmy — rzekł Barney. — Poczynił pan pewne obietnice i oczekuję, że. . .

— Jednak — bąknął Leo — ta głupia dziewczyna. . . Ona jest nieobliczalna, gotowa polecieć do glin ONZ. Przyparła mnie do muru, Barney!

— Ja też — stwierdził spokojnie Mayerson.

— Tak, ale ciebie znam od lat. — Leo wydawał się szybko wracać do siebie. Oceniał sytuację swoim, jak często i z satysfakcją podkreślał, „zewoluowanym umysłem drugiej generacji”. — Jesteśmy kolegami. Nie zrobiłbyś tego, do czego ona jest zdolna. W każdym razie wciąż zgadzam się na ten procentowy udział w zyskach firmy. W porządku?

Spoglądał na Barneya niespokojnie, ale ze zdecydowaniem.

— Zawrzemy umowę?

— Zawarliśmy już wcześniej.

— Przecież ci mówię, cholera, że zapomniałem. . .

— Jeżeli się pan nie zgodzi — powiedział Barney — zrezygnuję z pracy. I udam się gdzie indziej.

Zbyt wiele lat czekał, by tracić taką okazję.

— Tak? — rzekł z niedowierzaniem Leo. — Rozumiem, nie chodzi ci tylko o pójście do policjantów ONZ. Mówisz o. . . o przejściu do Palmera Eldritch!

Barney nic nie odpowiedział.

— Nędzny zdrajco — rzekł Leo. — Oto co się dzieje z ludźmi, którzy za wszelką cenę próbują się utrzymać na powierzchni. Słuchaj, wcale nie jestem pewny, że Palmer by cię przyjął. Prawdopodobnie ma już własny zespół konsultantów. A jeżeli wie już o tym, że ja. . . — urwał. — Tak, zaryzykuję, myślę, że cierpisz na przerost ambicji. Jak nazywali to starożytni Grecy? Hubris? Szatańska pycha idąca zbyt daleko. Więc idź, Barney. Rób, co chcesz. Nic to mnie nie obchodzi. Życzę szczęścia, chłopie. Napisz, jak ci poszło, a następnym razem, zanim zaczniesz kogoś szantażować. . .

Barney przerwał połączenie. Ekran poszarzał. Szary, pomyślał Mayerson, jak moje myśli i cały świat, jak rzeczywistość. Wstał i z rękami w kieszeniach zaczął chodzić po pokoju.

Najlepszym pociągnięciem w tej chwili, doszedł do wniosku, będzie połączenie sił z Roni Fugate. Ponieważ to jej boi się Leo Bulero i nie bez powodu. Musi być miliard rzeczy, do których ona jest zdolna, a ja nie. I Leo o tym wie.

Ponownie usadowiwszy się w fotelu wezwał przez interkom Roni Fugate, która zjawiała się po dłuższej chwili.

— Hej — powiedziała wesoło. Miała na sobie barwną sukienkę z Pekinu odsłaniającą piersi. — O co chodzi? Próbowałam się z tobą połączyć minutę temu, lecz. . .

— Ty chyba nigdy — stwierdził — nigdy nie jesteś całkiem ubrana. Zamknij drzwi.

Zamknęła.

— Jednak — dodał — trzeba ci przyznać, że zeszłej nocy byłeś bardzo dobra w łóżku.

— Dziękuję.

Jej młoda twarz o czystych rysach promieniała.

— Czy jesteś naprawdę pewna, że twój pracodawca zamorduje Palmera Eldritch'a? Czy też masz jakieś wątpliwości?

Przełknęła ślinę, pochyliła głowę i mruknęła:

— Po prostu tryskasz talentem.

Usiadła i założyła nogę na nogę. Zauważył, że nie nosiła pończoch.

— Oczywiście, że mam wątpliwości. Przede wszystkim byłoby to zupełnym idiotyzmem ze strony pana Bulero, ponieważ byłby to koniec jego kariery, rzecz jasna. Gazety nie podają... nie podadzą jego motywów, więc nie wiem, o co chodzi. To musi być coś zupełnie dużego i okropnego, prawda?

— Koniec jego kariery — rzekł Barney — a także twojej i mojej.

— Nie — powiedziała Roni. — Nie sądzę, mój drogi. Zastanówmy się przez chwilę. Pan Palmer Eldritch zamierza przejąć rynek miniaturowych zestawów. Czy to nie jest prawdopodobny motyw? I czy nic nam to nie mówi o przyszłej rzeczywistości ekonomicznej? Nawet jeśli pan Eldritch zginie, może się okazać, że jego organizacja...

— A więc przechodzimy do Eldritch'a? Tak po prostu? Zmarszczywszy w skupieniu brwi, Roni powiedziała z namysłem:

— Nie całkiem to miałam na myśli. Jednak powinniśmy uważać, by nie przegrać razem z panem Bulero. Nie chcemy pójść razem z nim na dno... Ja mam przed sobą jeszcze lata pracy i to samo — w nieco mniejszym stopniu — dotyczy ciebie.

— Dzięki — rzekł kwaśno.

— Musimy teraz dobrze wszystko zaplanować. A jeśli jasnowidz nie potrafi zaplanować, to...

— Przekazałem Leo informację, która doprowadzi do jego spotkania z Eldritch'em. Czy przyszło ci do głowy, że oni dwaj mogą utworzyć syndykat?

Przyglądał się jej bacznie.

— Nie... Niczego takiego nie przewiduję. Nie ma żadnego doniesienia na ten temat.

— Boże — powiedział krzywiąc się — przecież tego nie podadzą w gazetach.

— Och! Chyba masz rację — odparła skruszona.

— A gdyby tak się stało — powiedział — to opuszczenie Leo i przejście do Eldritch'a nic by nam nie dało. Przyjąłby nas z powrotem dyktując swoje warunki. Równie dobrze moglibyśmy całkiem się przekwalifikować.

To było dlań oczywiste i po wyrazie twarzy Roni Fugate widział, że dla niej też.

— Jeżeli pójdziemy do Palmera Eldritch'a...

— „Jeżeli”? Musimy to zrobić.

— Nie, nie musimy — rzekł Barney. — Możemy trzymać się tego, co mamy. Możemy zostać przy Leo Bulero, obojętnie czy pójdzie na dno, wygrzebie się, czy nawet zupełnie zniknie, pomyślał.

— Powiem ci, co jeszcze możemy zrobić. Pójdziemy do wszystkich pozostałych prognostyków zatrudnionych w P. P. Layouts i utworzymy nasz własny syndykat.

To był pomysł, który Barney od lat pragnął zrealizować.

— Byłaby to jakby gildia mająca monopol. Wtedy moglibyśmy dyktować warunki zarówno Leo, jak i Eldritchowi.

— Tylko że Eldritch najwidoczniej ma już swoich własnych konsultantów — Roni uśmiechnęła się. — Niezbyt dobrze wiesz, co robić, prawda Barney? Rozumiem. Jaka szkoda. Tyle lat pracy.

Ze smutkiem potrząsnęła głową.

— Teraz rozumiem — powiedział — dlaczego Leo nie chciał cię denerwować.

— Dlatego że mówię prawdę w oczy? — Podniosła brwi. — Tak, chyba tak — dodała. — Wszyscy boją się prawdy. Na przykład ty. Nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że powiedziałeś „nie” temu biednemu sprzedawcy garnków tylko dlatego, aby dokuczyć kobiecie, która...

— Zamknij się — rzekł z wściekłością.

— Wiesz, gdzie zapewne jest teraz ten sprzedawca garnków? U Palmera Eldritch'a. Oddałeś jemu — i swojej byłej żonie — przysługę. Podczas gdy wydając pozytywną opinię przykułeś go do upadającej firmy odbierając im obojgu szansę na... — Urwała. — To, co mówię, wprawia cię w przygnębienie.

Machnął ręką i powiedział:

— To nie ma nic wspólnego z tym, po co cię wezwałem.

— Zgadza się. — Skinęła głową. — Wezwałeś mnie, żebyśmy razem obmyślili sposób zdradzenia Leo Bulero.

— Słuchaj — zaczął z zakłopotaniem.

— Przecież to prawda. Nie możesz sobie z tym poradzić; jestem ci potrzebna. Nie powiedziałam nie. Uspokój się. Jednak nie sądzę, że to jest odpowiednia chwila i miejsce, aby o tym dyskutować. Zaczekajmy, aż wrócimy do mieszkania. W porządku?

Rzuciła mu promienny, niezwykle ciepły uśmiech.

— W porządku — zgodził się. Miała rację.

— Czy to nie byłoby przykre — powiedziała — gdybyś miał tu założony podsłuch? Może pan Bulero dostanie taśmę z nagraniem całej naszej rozmowy.

Jej uśmiech nie przygasł, a nawet poszerzył się. Barney był oszołomiony. Zdał sobie sprawę, że ta dziewczyna nie obawia się nikogo i niczego na świecie.

Chciałby, żeby z nim też tak było. Niepokoił go bowiem pewien poważny problem, kwestia, o której nie mówił ani z Leo, ani z nią, chociaż sprawa ta nie-

wątpliwie dręczyła Bulero... i powinna dręczyć Roni, jeśli dziewczyna naprawdę jest tak rozsądna, jak na to wyglądało.

Trzeba było jeszcze ustalić, czy to, co wróciło z układu Proximy, ten człowiek lub stwór, który rozbił się w katastrofie statku na Plutonie, był naprawdę Palmerem Eldritchem.

Rozdział 5

Ustawiony finansowo przez kontakt z ludźmi od Chew-Z, Richard Hnatt zamówił rozmowę z jedną z klinik doktora Willy'ego Denkmala w Niemczech. Wybrał główną, w Monachium, i zamówił miejsca dla siebie i Emily.

Dorównam wielkim, wmawiał sobie, czekając razem z żoną w szykownym saloniku kliniki ozdobionym skórami gnoffów. Doktor Denkmal, jak to miał w zwyczaju, chciał przeprowadzić wstępną rozmowę osobiście, chociaż, rzecz jasna, same zabiegi miały być przeprowadzone przez jego personel.

— To mnie peszy — szepnęła Emily. Położyła na kolanach magazyn, ale nie była w stanie go czytać. — To takie. . . nienaturalne.

— Do diabła — rzekł energicznie Hnatt — wcale nie, to przyspieszenie naturalnego procesu ewolucji, który toczy się i tak, tylko tak wolno, że nie jesteśmy w stanie tego uchwycić. Na przykład spójrz na naszych przodków jaskiniowców: byli cali porośnięci włosami, nie mieli podbródków, a ich mózgi miały bardzo słabo rozwinięte płaty czołowe. Ich zęby trzonowe były wielkie i zrośnięte, co umożliwiało im przeżuwanie surowych nasion.

— Dobrze — powiedziała Emily kiwając głową.

— Im bardziej się od nich oddalimy, tym lepiej. W każdym razie musieli ewoluować, aby przetrwać epokę lodową, my musimy ewoluować, żeby przetrwać epokę ognia. Tak więc potrzebujemy tej chitynowej skóry, tego czuba i zmodyfikowanego metabolizmu umożliwiającego spanie w dzień, polepszającego oddychanie i. . .

Z przyległego biura wyłonił się dr Denkmal, mały, okrągły człowieczek o białej czuprynie i wąsach Alberta Schweitzera. Obok niego siedł inny człowiek i Richard Hnatt po raz pierwszy ujrzał z bliska efekt Terapii E. To nie wyglądało tak jak na zdjęciach w rubryce towarzyskiej. Wcale nie.

Głowa mężczyzny przypominała Hnattowi fotografię widzianą w podręczniku: podpis pod nią głosił „wodogłowie”. To samo rozcięcie nad linią brwi, kopulaste i o dziwnie kruchym wyglądzie. Natychmiast zrozumiał, dlaczego te dobrze sytuowane osoby, które zewoluowały, powszechnie nazywano baniogłowymi. To wygląda, jakby zaraz miało pęknąć, pomyślał. I ten masywny. . . czub. Włosy zo-

stały zastąpione ciemniejszą, bardziej zwartą warstwą chitynowej skorupy. Banio-
głowi? Raczej orzechogłowi.

— Pan Hnatt — powiedział dr Denkmal do Richarda przystając. — I pani
Hnatt także. Zajmę się państwem za moment.

Odwrócił się do stojącego obok mężczyzny.

— To czysty przypadek, panie Bulero, że udało nam się wcisnąć pana na dzi-
siaj poza kolejnością. W każdym razie nic pan nie stracił, a raczej zyskał.

Jednak pan Bulero nie słuchał go. Patrzył na Richarda Hnatta.

— Gdzieś słyszałem już pańskie nazwisko. Ach, tak. Wspominał o panu Felix
Blau. — Niezwykle inteligentne oczy pociemniały nagle. — Czy podpisał pan
niedawno umowę z bostońską firmą pod nazwą... — Wydłużona twarz, jakby na
stałe odbita w krzywym lustrze, skrzywiła się lekko. — ...Chew-Z Manufactu-
rers?

— Nnic to pana nie obchodzi! — wyjąkał Hnatt. — Pańscy konsultanci od-
rzucili nasze wyroby.

Leo Bulero zmierzył go spojrzeniem, po czym wzruszywszy ramionami od-
wrócił się do doktora Denkmała.

— Zobaczymy się za dwa tygodnie.

— Dwa! Ale... — Denkmal wykonał gwałtowny gest protestu.

— Nie mogę tu być w przyszłym tygodniu; nie będzie mnie na Ziemi.

Bulero jeszcze raz rzucił przeciągłe spojrzenie na Richarda i Emily Hnatt, po
czym wyszedł z sali.

Patrząc, jak odchodzi, dr Denkmal powiedział:

— Wysoce zewoluowany jest ten człowiek. Zarówno fizycznie, jak i duchowo.
Witamy w Eichenwaldzie — rzekł do Hnattów. Uśmiechnął się.

— Dziękujemy — odparła nerwowo Emily. — Czy to... boli?

— Nasza kuracja? — dr Denkmal zachichotał, ubawiony. — Nawet w naj-
mniejszym stopniu, chociaż z początku może wywołać szok — w przenośnym
znaczeniu tego słowa. Kiedy poczujecie państwo, jak rozrasta się wasza kora mó-
zgowa. Przyjdzie państwu do głowy wiele nowych i podniecających pomysłów,
szczególnie religijnej natury. Och, gdybyż tylko Luter i Erazm z Rotterdamu ży-
li dzisiaj; ich wątpliwości można by tak łatwo wyjaśnić dzięki Terapii E. Obaj
dostrzegliby prawdę, *zum Beispiel*, co do przemienienia — państwo wiecie, *Blut
und...* — przerwał i odkaslnął. — Po angielsku to krew i opłatek w czasie Mszy.
Podobnie jak u zażywających Can-D. Zauważyliście państwo tę zbieżność? Ale
chodźmy, zaczniemy.

Klepnął Richarda Hnatta w plecy i poprowadził ich do swojego gabinetu rzu-
cając Emily spojrzenia, które Hnatt uznał za mało uduchowione.

Niebawem znaleźli się w olbrzymim laboratorium pełnym naukowych instru-
mentów. Stały tam dwa stoły, jakby w całości wzięte z filmu o Frankensteinie,

wyposażone w jarzma na ręce i nogi. Na ten widok Emily jęknęła i cofnęła się o krok.

— Nie ma się czego obawiać, Frau Hnatt. To tak jak wstrząs elektryczny. Powoduje pewną reakcję mięśni, odruch, rozumie pani? — Denkmal zachichotał. — Teraz muszą państwo, no, zdjąć ubrania. Każde z państwa osobno, oczywiście. Później założycie państwo szlafroki i *auskommen*. . . rozumiecie? Pielęgniarka pójdzie z panią. Mamy już karty zdrowia państwa nadesłane z *Nord Amerika*; wiemy wszystko. Oboje zupełnie zdrowi, dobrzy obywatele *Nord Amerika*.

Zaprowadził Richarda Hnatta do bocznego pomieszczenia oddzielonego kotarą, tam go zostawił i wrócił do Emily. Richard słyszał, jak dr Denkmal przemawia do Emily uspokajającym, a jednocześnie rozkazującym tonem. To było mistrzowskie połączenie i Hnatt poczuł ukłucie zazdrości i podejrzania, a później smutku. Nie całkiem tak to sobie wyobrażał; nie dość elegancko, by go zadowolić.

Jednak Leo Bulero wyszedł z tego pokoju, co dowodziło, że było tu wystarczająco elegancko. Leo Bulero zawsze miał to, co najlepsze.

Podbudowany, zaczął się rozbierać.

Gdzieś obok rozległ się pisk Emily.

Szybko ubrał się i opuścił boczny pokój, poważnie zaniepokojony o żonę. Jednak zobaczył doktora Denkmała siedzącego za biurkiem, czytającego kartę Emily. Żona wyszła już z pielęgniarką, więc wszystko było w porządku.

Psiakrew, pomyślał, rzeczywiście jestem spięty. Ponownie znalazłszy się w pokoiku rozebrał się; stwierdził, że trzęsą mu się ręce.

W końcu leżał przywiązany do jednego z dwóch stołów; Emily do drugiego. Ona też wyglądała na wystraszoną; była blada i cicha.

— Wasze gruczoły — wyjaśniał dr Denkmal jowialnie zacierając dłonie i bezwstydnie gapiąc się na Emily — zostaną pobudzone; szczególnie gruczoł Kresy'ego stymulujący proces ewolucji, *nicht wahr*. Tak, wiecie o tym; każde dziecko to wie, ponieważ w szkołach uczą o tym, co tu odkryliśmy. To co dziś odczuwacie, to nie utrata paznokci u rąk i nóg lub wyrastanie chitynowej skorupy czy powiększenie czaszki, lecz — i założę się, że tego państwo nie wiedzieliście! — zaledwie nieznaczna, ale bardzo, bardzo istotna zmiana w płatach czołowych. . . będziecie mądrzejsi.

Znów zachichotał. Richard Hnatt czuł się podle. Niczym spętane zwierzę czekał na to, co dla niego szykowali. Ładny sposób pięcia się w górę, pomyślał żałośnie i zamknął oczy.

Obok niego pojawił się technik, blondyn nordyckiej urody wyglądający na pozbawionego wszelkiej inteligencji.

— Puszczamy uspokajającą *Musik* — powiedział dr Denkmal naciskając guzik. Ze wszystkich stron zaczęły się sączyć polifoniczne dźwięki mdłej aranżacji jakiejś popularnej włoskiej opery, Pucciniego lub Verdiego; Hnatt nie miał pojęcia jakiej. — Teraz *höre*, Herr Hnatt.

Denkmal nachylił się nad nim i rzekł poważnie:

— Chcę, żeby pan to zrozumiał. Od czasu do czasu terapia... jak wy to mówicie? Odpala.

— Nie wypala — powiedział chrapliwie Hnatt. Spodziewał się tego.

— Jednak przeważnie odnosimy sukcesy. W przypadku gdy nie wypala, Herr Hnatt, obawiam się, że zamiast zewoluować, gruczoł Kresy'ego... no, ulega regresowi. Czy to poprawnie po angielsku?

— Tak — wymamrotał Hnatt. — Jak duży może to być regres?

— Niewielki. Jednak bywa nieprzyjemny. Oczywiście zaraz byśmy to zauważyli i zaprzestali terapii. To zazwyczaj zatrzymuje proces regresji. Jednak... nie zawsze. Czasami raz pobudzony gruczoł Kresy'ego... — Zrobił niewyraźny gest. — To idzie dalej. Powinienem to panu powiedzieć na wypadek, gdyby chciał się pan wycofać. I co?

— Zaryzykuję — powiedział Richard Hnatt. — Tak sędzę. Wszyscy to robią, no nie? W porządku, zaczynajcie.

Wykręcił głowę i zobaczył Emily, jeszcze bledszą niż przedtem. Niemal nieodróżalnie skinęła głową. Oczy miała szkliste.

Prawdopodobnie okaże się, pomyślał fatalistycznie, że zewoluuje tylko jedno z nas — pewnie Emily — a ja cofnę się do poziomu sinantropusa. Z powrotem do zrosniętych trzonowców, małego mózdzku, ugiętych nóg i skłonności ludożerczych. Przy takim wyglądzie będzie mi cholernie trudno sprzedawać garnki.

Dr Denkmal przekręcił kontakt pogwizdując wesoło do wtóru muzyce.

Hnattowie rozpoczęli Terapię E.

Wydawało mu się, że traci wagę, nic więcej. Później głowa rozboleła go tak, jakby walił w nią młot. Za tym bólem niemal natychmiast przysłała świadomość faktu, że podjęli ogromne ryzyko i że nie powinien narażać na to Emily. Ona nie miała ochoty; a jeśli cofnie się w rozwoju i straci swój talent? Oboje byliby zrujnowani. Jego kariera zależała od tego, czy dopilnuje, aby Emily pozostała jedną z najlepszych projektantek ceramiki na planecie.

— Stać — powiedział głośno, lecz dźwięk, zdawało się, nie wychodził z jego gardła; nie słyszał go, chociaż jego aparat głosowy chyba funkcjonował. Czuł, jak jego język formułuje słowa. Nagle zrozumiał. Ewoluuował. To działało! Te wrażenia wiązały się ze zmianą metabolizmu. Jeżeli z Emily wszystko było w porządku, to wszystko było w porządku.

Zrozumiał też, że dr Willy Denkmal był małym, nędznym szarlatanem żerującym na próżności śmiertelników pragnących być czymś więcej, niż mieli prawo być, i to na swój ziemski, marny sposób. Do diabła z interesami, z kontaktami handlowymi. Cóż one znaczyły w porównaniu do możliwości ewolucji ludzkiego mózgu i osiągnięcia nowych granic koncepcji? Na przykład...

Poniżej rozciągał się świat zmarłych, niezmienny świat przyczyny i skutku. Pośrodku rozciągała się warstwa człowieczeństwa, ale w każdej chwili człowiek mógł runąć, pójść na dno jak tonący, w piekielną głębię poniżej. Albo mógł wznieść się do świata eterycznego, będącego trzecią z warstw. Człowiek trwający w środkowej warstwie zawsze był zagrożony utonięciem. A jednak miał szansę osiągnięcia wyżyn. Każdy wariant rzeczywistości mógł zaistnieć w każdej chwili. Piekło i niebo, nie po śmierci, lecz teraz! Depresja, każda choroba psychiczna oznaczała utonięcie. A to drugie... jak to osiągnąć?

Przez empatię. Chwyciwszy się kogoś, nie fizycznie, lecz duchowo. Na przykład czy kiedykolwiek widział w naczyniach Emily coś więcej niż towar, na który jest popyt? Nie. A powinien w nich widzieć, zdał sobie sprawę, zamysł artystyczny, duszę, którą ona wkładała w zdobienie.

I ta umowa z Chew-Z Manufacturers; uświadomił sobie, że podpisał ją bez porozumienia z żoną. Jak bardzo można się wyzbyć skrupułów! Związałem ją z firmą, której ona może sobie nie życzyć jako producentów jej ceramiki... Nie wiemy, ile są warte ich komplety. Mogą być tandetne. Poniżej normy. Jednak teraz jest już za późno: droga do piekła jest wybrukowana spóźnionymi żałami. Mógł też się związać z nielegalnym producentem narkotyku przenoszącego. To wyjaśniałoby nazwę Chew-Z... podobną do Can-D. Jednakże fakt, że nie kryją się z nazwą swego produktu, sugeruje, że nie robią niczego nielegalnego.

Nagle, w jednym gwałtownym błysku intuicji, zrozumiał wszystko: ktoś wynalazł środek przenoszący, który zadowolił Wydział Narkotyków ONZ. Dali zgodę na wprowadzenie go na rynek. I tak po raz pierwszy środek przenoszący będzie osiągalny na starannie pilnowanej Ziemi, a nie tylko w odległych, pozbawionych policji koloniach.

A to oznaczało, że zestawy Chew-Z — w przeciwieństwie do Parky Pat — będą sprzedawane na Ziemi, razem z narkotykiem. I w miarę jak z upływem lat pogoda będzie się pogarszać, a rodzinna planeta stanie się niemieszkalna, komplety będą się sprzedawać coraz lepiej. Rynek kontrolowany przez Leo Bulero był żałośnie mały w porównaniu z tym, który w przyszłości opanuje firma z Bostonu.

Mimo wszystko zatem podpisał dobry kontrakt. I nic dziwnego, że Chew-Z Manufacturers zapłacili mu tak dobrze. Byli wielką firmą, mieli wielkie plany; mieli też, najwidoczniej, nieograniczone zasoby finansowe.

Skąd je wzięli? Nie znaleźli ich na Ziemi, to również wiedział intuicyjnie. Zapewne od Palmera Eldritch, który wrócił do Układu Słonecznego połączywszy się ekonomicznie z Proxami. To oni stali za Chew-Z. I tak, w celu zniszczenia Leo Bulero, ONZ pozwoliła obcej rasie działać w Układzie Słonecznym.

Ta decyzja była błędna, może nawet fatalna.

Następne, co poczuł, to lekkie uderzenia w policzek. Dr Denkmal nachylał się

nad nim, pytając:

— I jak było? Wiele myśli dotyczących głębokich problemów?

— T-tak — powiedział i usiadł z trudem. Nie był już przywiązany.

— Nie mamy zatem się czego obawiać — rzekł Denkmal i rozpromienił się. Białe wąsy nastroszył niczym czułki. -Teraz porozmawiamy z Frau Hnatt.

Techniczka już odpinała pasy; Emily usiadła niepewnie i ziewnęła. Dr Denkmal wyraźnie się zdenerwował.

— Jak się pani czuje, Frau? — pytał.

— Świetnie — mruknęła Emily. — Miałam masę pomysłów na garnki. Jeden po drugim. — Zerknęła wstydliwie najpierw na doktora, a potem na męża. — Czy to coś oznaczał

— Papier — powiedział dr Denkmal wyciągając szkicownik. — Ołówek. Proszę utrwalić te pomysły, Frau.

Drżącą ręką Emily naszkicowała wzory naczyń. Chyba ma trudności z utrzymaniem ołówka, zauważył Hnatt. Jednak to pewnie przejdzie.

— Świetnie — rzekł dr Denkmal, kiedy skończyła. Pokazał szkice Richardowi. — Wysoko zorganizowana aktywność kory mózgowej. Niezwykła pomysłowość, prawda?

Naszkicowane naczynia były z pewnością dobre, może nawet wspaniałe. Ale Hnatt czuł, że coś jest nie tak. Coś z tymi szkicami. Jednak dopiero kiedy opuścili klinikę i stali razem pod antytermiczną osłoną przed budynkiem czekając na ekspresot, zrozumiał, o co chodziło.

Pomysły były dobre — ale Emily już je wykorzystwała. Wiele lat temu, kiedy zaprojektowała swoje pierwsze naczynia na profesjonalnym poziomie; pokazała mu swoje szkice, a później same naczynia, jeszcze zanim się pobrali. Czyżby tego nie pamiętała? Najwyraźniej nie.

Zastanawiał się, dlaczego nie pamiętała i co to oznaczało. Poczł głęboki niepokój.

Od chwili poddania się pierwszej Terapii E był wciąż niespokojny. Najpierw martwił się o ludzkość i cały Układ Słoneczny, a teraz o swoją żonę. Może to tylko symptom tego, co Denkmal nazywa „wysoko zorganizowaną aktywnością kory mózgowej”, pomyślał. Stymulacja metabolizmu mózgu.

A może nie...?

Przybywszy na Lunę Leo Bulero okazał swoją legitymację prasową dziennikarza czasopisma P. P. Layouts i znalazł się w tłumie reporterów wideogazet w samobieżnym pojeździe jadącym po pylistej powierzchni Księżyca do posiadłości Palmera Eldritch.

— Pańskie dokumenty — uzbrojony strażnik, nie noszący jednak munduru ONZ, warknął, gdy Leo zamierzał wyjść na parking. Leo utkwiał w przejściu. Za

jego plecami prawdziwi reporterzy cisnęli się i niecierpliwili, domagając się, by dał im przejść.

— Panie Bulero — powiedział spokojnie strażnik oddając mu legitymację — pan Eldritch oczekuje pana. Proszę za mną.

Natychmiast zastąpił go inny strażnik, który zaczął sprawdzać dokumenty dziennikarzy.

Zdenerwowany Bulero ruszył za pierwszym strażnikiem, idąc hermetycznym i przyjemnie ogrzanym tunelem w kierunku siedziby Palmera Eldritch.

Nagle wyrósł przed nim kolejny umundurowany strażnik i podniósł rękę kierując w stronę Leo coś małego i błyszczącego.

— Hej — zaprotestował słabo Bulero, stając jak wryty. Obrócił się na pięcie, pochylił głowę i zrobił kilka niepewnych kroków z powrotem.

Strumień jakiegoś nie znanego mu promieniowania trafił go w plecy; Leo runął jak długi próbując złagodzić upadek wyciągniętymi rękami.

Kiedy odzyskał przytomność, stwierdził, że jest — zupełny absurd! — przywiązany do krzesła stojącego w pustym pokoju. Szumiało mu w głowie. Powiódłszy wokół tęym wzrokiem zobaczył tylko mały stolik, na którym znajdowało się jakieś elektroniczne urządzenie.

— Wypuście mnie stąd — powiedział Leo.

— Dzień dobry, panie Bulero — odpowiedziało natychmiast urządzenie. — Jestem Palmer Eldritch. Chciał mnie pan widzieć, jak sądzę.

— Co za okrutne traktowanie — rzekł Bulero. — Ogłuszono mnie i związano.

— Proszę się poczęstować cygarem.

Elektroniczne urządzenie wyciągnęło w jego stronę uchwyt, w którym tkwiło długie zielone cygaro. Koniec cygara rozjarzył się ogniem i wydłużona nibymacka podała mu je.

— Zabrałem dziesięć skrzynek takich cygar z Proximy, ale tylko jedna ocalała z katastrofy. To nie jest tytoń; to znacznie lepsze od tytoniu. No, o co chodzi, Leo? Czego chcesz?

— Jesteś tu, w tym pudełku, Eldritch? — zapytał Bulero. — Czy też jesteś gdzieś indziej, a to tylko przekazuje twoje słowa?

— Podelektuj się — powiedział głos z metalowego pudełka stojącego na stoliku, które wciąż wyciągało uchwyt z zapalonym cygarem. Po chwili cofnęło go, zgasiło cygaro i bez śladu wchłonęło szczątki. — Chciałbyś może obejrzeć kolorowe prezycza z mojego pobytu w układzie Proximy?

— Chyba żartujesz.

— Nie — odparł Palmer Eldritch. — Dałoby ci to pewne pojęcie, na co się tam natknąłem. To trójwymiarowe zdjęcia robione na czas, bardzo dobre.

— Nie, dziękuję.

— Znaleźliśmy tę strzałkę zaszytą w twoim języku — powiedział Eldritch — i usunęliśmy ją. Jednak podejrzewamy, że możesz mieć coś jeszcze w zanadru.

— Zadajecie sobie wiele trudu — powiedział Leo. — Więcej, niż na to zasługuję.

— Przez te cztery lata na Proximie sporo się nauczyłem. Sześć lat podróży, cztery pobytu. Proxi zamierzają zaatakować Ziemię.

— Żarty sobie stroisz — rzekł Leo.

— Rozumiem twoją reakcję — powiedział Eldritch. — ONZ, a szczególnie Hepburn- Gilbert też tak zareagowali. Jednak to prawda. Nie w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa, rzecz jasna, ale w głębszy bardziej wyrafinowany sposób, którego nie mogę pojąć, chociaż przebywałem wśród nich tak długo. To może być związane z ocieplaniem się klimatu Ziemi, o ile wiem. A może będzie jeszcze gorzej.

— Porozmawiajmy o tych porostach, które przywiozłeś ze sobą.

— Zdobyłem je nielegalnie; Proxi nic o tym nie wiedzieli. Oni też je stosują podczas orgii religijnych. Tak jak nasi Indianie używali meskaliny i peyotlu. Czy to dlatego chciałeś się ze mną widzieć?

— Jasne. Wchodzisz mi w drogę. Wiem, że już utworzyłeś konkurencyjną korporację, prawda? Co za bzdura o Projach atakujących Układ Słoneczny: to ty mi zagrozasz tym, co robisz. Nie możesz znaleźć jakiejś innej dziedziny handlu oprócz zestawów?

Pokój zawirował mu przed oczami. Zalało go oślepiająco białe światło i Leo zamknął powieki. Jezu, pomyślał. I tak nie wierzę w tych Proxów; on po prostu usiłuje odwrócić naszą uwagę od tego, o co mu naprawdę chodzi. To jest jego strategia, moim zdaniem.

Otworzył oczy i stwierdził, że siedzi na trawiastej skarpie. Obok jakaś dziewczynka bawiła się jo-jo.

— Ta zabawka — powiedział Leo Bulero — cieszy się popularnością w układzie Proximy.

Odkrył, że ręce i nogi ma wolne. Wstał niepewnie i poruszył kończynami.

— Jak masz na imię? — zapytał.

— Monika — odparła dziewczynka.

— Proxi — rzekł Leo — a przynajmniej ci humanoidalnego typu, noszą peruki i sztuczne szczęki.

Chwycił za kosmyk puszystych blond włosów i pociągnął.

— Auu! — wykrzyknęła dziewczynka. — Jesteś złym człowiekiem.

Puścił ją. Cofnęła się nie przestając bawić się jo-jo i spoglądając na niego nieufnie.

— Przepraszam — wymruczał. Te świetliste włosy były prawdziwe. Może nie znajdował się w układzie Proximy. W każdym razie, obojętnie gdzie był, Palmer Eldritch próbował mu coś powiedzieć. — Czy zamierzacie napaść na Ziemię? — zapytał Leo dziewczynkę. — Chcę powiedzieć, że nie wygląda mi na to.

Czy Eldritch mógł się mylić? — zastanawiał się. Źle zrozumieć Proxów? Mimo wszystko, o ile wiedział, Palmer Eldritch nie ewoluował i nie posiadał potężnego, rozbudowanego umysłu będącego efektem Terapii E.

— Moje jo-jo — powiedziało dziecko — jest zaczarowane. Mogę zrobić wszystko, co chcesz. Co byś chciał? Powiedz mi, wyglądasz na miłego człowieka.

— Zaprowadź mnie do swojego wodza — powiedział. — To stary dowcip, nie zrozumiesz. Sprzed stu lat.

Rozejrzał się wokół i nie dostrzegł żadnych śladów ludzkiej obecności, tylko trawiastą równinę. Za zimno na Ziemię, uświadomił sobie. Niebieskie niebo nad głową. Dobre powietrze, pomyślał. Gęste.

— Czy współczujesz mi — zapytał — dlatego że Palmer Eldritch wpycha się na mój rynek, a kiedy mu się uda, będę zrujnowany? Muszę zawrzeć z nim jakąś umowę.

Jednak wygląda na to, pomyślał pośpiesznie, że nie uda mi się go zabić.

— Tylko że nie mogę wymyślić żadnej umowy, którą on mógłby zaakceptować. Zdaje się, że trzyma wszystkie karty w ręku. Na przykład zobacz, jak mnie tu sprowadził. Nawet nie wiem, gdzie jestem.

Co i tak nie ma znaczenia. Gdziekolwiek by to było, na pewno jest to miejsce kontrolowane przez Eldritch.

— Karty — powiedziało dziecko. — Mam talię kart w walizce.

Nie widział żadnej walizki.

— Gdzie?

Kłękawszy dziewczynka dotknęła trawy tu i tam. Natychmiast fragment murawy rozsunał się bezszelestnie; mała sięgnęła do otworu i wyciągnęła walizeczkę.

— Chowam ją tu — wyjaśniła — przed sponsorami.

— Co to znaczy: „sponsorami”?

— No, żeby tu być, musisz mieć sponsora. Każdy z nas go ma. Myślę, że oni płacą za wszystko, dopóki nie wyzdrowiejemy. Wtedy możemy wracać do domu, jeżeli go mamy.

Usiadła obok walizki i otworzyła ją, a raczej próbowała otworzyć. Zamek się nie poddawał.

— Do licha — powiedziała. — To nie ta. To dr Smile.

— Psychiatra? — spytał z nagłym zainteresowaniem Leo. — Z jednej z tych wielkich mieszkalni? Czy to działa? Włącz go.

Dziewczynka posłusznie włączyła psychiatrę.

— Cześć, Monika — powiedziała metalicznym głosem walizka. — Witam, panie Bulero.

Źle wymawiała jego nazwisko kładąc akcent na ostatniej sylabie.

— Co pan tu robi, proszę pana? Jest pan o wiele za stary, aby tu być. Hi-hi! Czy też może uległ pan regresowi w wyniku niewłaściwie przeprowadzonej, tak zwanej Terapii E... phr-ghrr!

Mechanizm szumiał chwilę.

— ... w Monachium? — dokończył.

— Czuję się świetnie — zapewnił go Leo. — Słuchaj, Smile, czy znasz kogoś, kto mógłby mnie stąd wydostać? Podaj jakieś nazwisko. Nie mogę tu dłużej zostać, rozumiesz?

— Pan Bayerson — powiedział dr Smile. — Prawdę mówiąc, właśnie u niego jestem, w jego biurze, oczywiście w postaci przenośnego terminalu.

— Nie znam nikogo nazwiskiem Bayerson — powiedział Leo. — Co to za miejsce? Zdaje się, że to jakiś obóz dla chorych dzieci albo sierot czy coś takiego. Podejrzałem, że to może być w układzie Proximy, ale skoro ty tu jesteś, to musi być gdzie indziej. Bayerson! — Uświadomił sobie nagle. — Do diabła, masz na myśli Mayersona. Barneya. Z P. P. Layouts.

— Tak, zgadza się — rzekł dr Smile.

— Skontaktuj się z nim — powiedział Leo. — Powiedz mu, żeby natychmiast porozmawiał z Felixem Blau z Trójplanetarnej Agencji Policyjnej, czy jak się tam oni nazywają. Niech Blau zajmie się tym i dowie się, gdzie właściwie jestem, po czym przyśle tu statek. Zapamiętałeś?

— W porządku — powiedział dr Smile. — Zaraz zwrócę się do pana Mayersona. Właśnie konferuje z panną Fugate, swoją asystentką, która jest także jego kochanką i ma dziś na sobie... hmm. Właśnie w tej chwili o panu mówią. Jednak, rzecz jasna, nie mogę panu powiedzieć co. Obowiązuje mnie tajemnica lekarska, pan rozumie. Ona ma na sobie...

— No dobrze, kogo to obchodzi? — przerwał zirytowany Leo.

— Proszę mi wybaczyć — powiedziała walizka. — Muszę się na moment wyłączyć.

Wydawała się obrażona. Zapadła cisza.

— Mam dla ciebie złe wiadomości — powiedziało dziecko.

— Jakie?

— Żartowałam. To nie jest naprawdę dr Smile. Tylko tak udaje, żebyśmy nie czuli się samotni. Działa, lecz nie jest połączony z nikim i niczym. Nazywają to obwodem wewnętrznym.

Wiedział, co to oznaczało: urządzenie było autonomiczne. Ale w jaki sposób mogło wiedzieć o Barneyu i pannie Fugate, znać szczegóły ich życia osobistego? Wiedzieć nawet, co ona ma na sobie? Dzieciak najwidoczniej nie mówił prawdy.

— Kim jesteś? — spytał ostro. — Monika... a jak dalej? Chcę znać twoje nazwisko.

Wydawało mu się, że ją zna.

— Wróciłem — oznajmiła nagle walizka. — No, panie Bulero...

Znów źle wymówił nazwisko.

— Omówiłem pański dylemat z panem Mayersonem, który skontaktuje się z Felixem Blau, tak jak pan żądał. Pan Mayerson sądzi, że przypomina sobie ja-

kiś artykuł z prasy ONZ mówiący o obozie bardzo podobnym do tego, gdzieś w pobliżu Saturna, dla dzieci opóźnionych w rozwoju. Może...

— Do diabła — rzekł Leo — ta dziewczynka nie jest opóźniona w rozwoju.

Jeżeli już, to raczej przedwcześnie rozwinięta. Nie miało to sensu. Jedyna sensowna rzecz w tym wszystkim to to, że Palmer Eldritch chciał coś od niego i nie chodziło tylko o to, by usunąć Leo z drogi. Chciał go upokorzyć.

Na horyzoncie pojawił się jakiś ogromny, szary kształt; pędził na nich z rykiem. Miał paskudnie nastroszone wąsy.

— To szczur — powiedziała spokojnie Monika.

— Taki wielki? — spytał Leo. Na żadnej planecie Układu Słonecznego, na żadnym z księżyców nie istniało tak ogromne dzikie zwierzę. — Czego on od nas chce? — spytał, zastanawiając się, dlaczego ona się nie boi.

— Och — odparła — myślę, że chce nas zabić.

— I to cię nie przeraża? — Usłyszał swój głos wznoszący się do krzyku. — To znaczy, że chcesz umrzeć w taki sposób i to teraz? Pożarta przez szczura wielkości...

Jedną ręką chwycił dziewczynkę, a drugą złapał walizkę z doktorem Smile'em i zaczął umykać przed szczurem.

Ten dopadł ich, przeleciał nad nimi i umknął; szary cień szybko zniknął w od dali.

— Przestraszył cię — zachichotała nieprzyjemnie dziewczynka. — Wiedziałam, że nas nie zobaczy. One nas nie widzą. Są ślepe na naszą obecność.

— Ach, tak?

Teraz już wiedział, gdzie się znajduje. Felix Blau go nie odnajdzie. Nikt go nie odnajdzie, nawet gdyby szukali całą wieczność.

Eldritch wstrzyknął mu dożylnie narkotyk przenoszący, na pewno Chew-Z. To był nie istniejący świat, analogiczny do nierealnej „Ziemi”, na którą przenosili się koloniści żujący jego własny produkt, Can-D.

A szczur — w przeciwieństwie do wszystkiego innego — był prawdziwy. Nie tak jak oni: on i dziewczynka też nie byli realni. Przynajmniej nie tu. Ich puste, nieruchome ciała leżały gdzieś jak stare worki, pozbawione na razie duchowej zawartości. Ich ciała zostały niewątpliwie gdzieś w księżycowej posiadłości Palmera Eldritch.

— Ty jesteś Zoe — powiedział. — Prawda? Taka, jaką chcesz być; małą dziewczynką w wieku około ośmiu lat. Zgadza się? Z długimi, jasnymi włosami.

A nawet, uświadomił sobie, z innym imieniem.

Dziewczynka powiedziała chmurnie:

— Nie ma tu nikogo o imieniu Zoe.

— Nikogo oprócz ciebie. Twoim ojcem jest Palmer Eldritch, prawda?

Dziewczynka ogromnie niechętnie skinęła głową.

— Czy to jest twoje specjalne miejsce? — pytał. — Często tu przychodzisz?
— To m o j e miejsce — powiedziała dziewczynka. — Nikt tu nie przychodzi bez mojego pozwolenia.

— Dlaczego zatem pozwoliłaś mi tu przyjść?

Wiedział, że go nie lubiła. Od początku.

— Ponieważ — odparła — sądzimy, że może uda ci się powstrzymać Proxów przed zrobieniem tego, co zamierzają.

— Znów to samo — powiedział nie wierząc jej. — Twój ojciec. . .

— Mój ojciec — przerwało mu dziecko — próbuje nas uratować. Nie chciał sprowadzać tu Chew-Z, ale mu kazali. Chew-Z jest czynnikiem, dzięki któremu nas opanują. Rozumiesz?

— Jak?

— Ponieważ oni kontrolują te obszary. Takie jak ten, do których się udajesz po zażyciu Chew-Z.

— Nie wyglądasz tak, jakby opanowały cię jakieś obce istoty. Przecież mówisz mi to wszystko.

— Niedługo mnie opanują — powiedziała dziewczynka. — Tak jak opanowały mojego ojca. Wrócił taki z Proximy; tam brał to latami. Dla niego jest już za późno i on dobrze o tym wie.

— Udowodnij mi to — powiedział Leo. — Udowodnij choćby jeden fakt. Daj mi coś, na czym mógłbym się oprzeć.

Walizeczka, którą wciąż trzymał, powiedziała:

— To, co mówi Monika, to prawda, panie Bulero.

— Skąd wiesz? — dopytywał się rozzłoszczony Leo.

— Ponieważ — odparła walizka — ja też znajduję się pod wpływem Proxów, to dlatego. . .

— Nic nie zrobiłeś — przerwał mu Leo. Postawił walizkę. — Niech szlag trafi ten Chew-Z — powiedział do obojga, do dziewczynki i walizki. — Wszystko pokręcił. Nie wiem, co się dzieje. Ty nie jesteś Zoe, nie wiesz nawet, kim ona jest. A ty. . . ty nie jesteś dr Smile i nie rozmawiałeś z Barneyem, a on nie naradzał się z Roni Fugate. To wszystko narkotyczne halucynacje. To wracają do mnie moje własne lęki związane z Palmerem Eldritchem, te bzdury o tym, że znajduje się pod wpływem Proxów i ty też. Kto to słyszał, żeby walizka została zdominowana przez umysły z innego układu?

Odszedł, urażony.

Wiem, co się dzieje, pomyślał. W ten sposób Palmer usiłuje zdominować mój umysł. To odmiana tego, co kiedyś nazywali praniem mózgu. Udało mu się mnie przestraszyć. Szedł dalej, starannie odmierzając kroki i nie oglądając się za siebie.

To był błąd niemal fatalny w skutkach. Coś — dostrzegł kątem oka niewyraźny kształt — chciało ugryźć go w nogę. Uskoczył unikając ukąszenia, lecz to „coś” natychmiast odkręciło się i znów obrało go na swoją ofiarę.

— Szczury cię nie widzą — zawołała dziewczynka — ale gluki tak! Lepiej uciekaj!

Nie czekając dłużej — widział już dosyć — uciekł.

I za to, co widział, nie mógł winić Chew-Z. Ponieważ to nie było złudzenie ani wynalazek Palmera Eldritch, aby go przerazić. Gluk, czymkolwiek był, z pewnością nie zrodził się na Ziemi ani nawet w umyśle Ziemianina.

Dziewczynka pobiegła za nim zostawiając walizkę.

— A co ze mną? — pytał niespokojnie dr Smile.

Nikt mu nie odpowiedział.

Felix Blau mówił z ekranu wideofonu:

— Zająłem się materiałem, który mi pan dał, panie Mayerson. Wynika z niego jasno, że pański pracodawca, pan Bulero, który jest również moim klientem, znajduje się obecnie na małym sztucznym satelicie krążącym wokół Ziemi, zarejestrowanym jako Sigma 14-B. Sprawdziłem księgi własności i zdaje się, że należy on do producenta paliwa raketowego z St. George w stanie Utah.

Zajrzał do papierów leżących przed nim.

— Robard Lethane Sales. Lethane to nazwa firmowa ich. . .

— W porządku — przerwał mu Barney Mayerson. — Skontaktuję się z nimi. Jak, na Boga, Leo się tam znalazł?

— Jest jeszcze jedna informacja, która może mieć znaczenie. Firma Robard Lethane Sales została zarejestrowana tego samego dnia cztery lata temu, co Chew-Z Manufacturers z Bostonu. Wydaje mi się, że to coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności.

— A co z zabraniem Leo z satelity?

— Mógłby pan wnieść pozew do sądu żądając. . .

— Zajmie zbyt wiele czasu — rzekł Barney.

Miał głębokie, nieprzyjemne przeświadczenie, że osobiście odpowiada za wszystko, co się zdarzyło. Najwidoczniej Palmer Eldritch zwołał konferencję prasową tylko po to, aby zwabić Leo do swojej posiadłości, a on, jasnowidz Barney Mayerson, człowiek, który potrafi przepowiadać przyszłość, został wykiwany i odegrał w tym rolę przeznaczoną mu przez Eldritch.

— Mogę oddać do pana dyspozycji blisko stu ludzi z różnych wydziałów mojej agencji. Powinien pan zebrać jeszcze pięćdziesięciu w P. P. Layouts. Mógłby pan opanować satelitę.

— I znaleźć trupa.

— Racja. — Blau wydał wargi. — No, mógłby pan pójść do Hepburn-Gilberta i poprosić o pomoc ONZ. Albo spróbować skontaktować się — co byłoby jeszcze trudniejsze do przeknięcia — z Palmerem Eldritchem czy tym, co podszywa się pod niego, i dojść do porozumienia. Zobaczyć, czy nie dałoby się wykupić Leo.

Barney rozłączył się i niemal natychmiast wykręcił kierunkowy międzyplanetarny, mówiąc:

— Dajcie mi Palmera Eldritch na Lunie. To błyskawiczna. Niech się pani pospieszy, panienko.

Kiedy czekał na połączenie, z drugiego końca pokoju odezwała się Roni Fugate:

— Zdaje się, że nie będziemy mieli czasu, by przejść do Eldritch.

— Na to wygląda.

Jakże zrećźnie zostało to obmyślane. Eldritch pozwolił, by przeciwnik wykonał za niego całą robotę. I my też, uświadomił sobie, Roni i ja. Nas zapewne też podszedł w podobny sposób. Faktycznie to Eldritch mógł naprawdę czekać na to, byśmy polecili na satelitę. To wyjaśniałoby, dlaczego dostarczono Leo walizczkę z doktorem Smile'em.

— Zastanawiam się — powiedziała Roni bawiąc się zatrzaskiem bluzki — czy chcielibyśmy pracować dla tak sprytnego człowieka, jeżeli to w ogóle jest człowiek. Coraz bardziej mi się wydaje, że to nie jest Palmer, ale jeden z nich. Myślę, że będziemy musieli to zaakceptować. Następną rzeczą, jakiej możemy oczekiwać, to Chew-Z zalewający rynek. Z aprobatą ONZ — mówiła z goryczą. — A Leo, który przynajmniej jest jednym z nas i chce tylko zarobić parę skinów, będzie martwy lub zrujnowany. . .

Z wściekłością wbiła wzrok w przestrzeń.

— To patriotyzm — powiedział Barney.

— Instykt samozachowawczy. Nie chcę obudzić się pewnego ranka żując namiętnie to świństwo, robiąc to, co się robi, kiedy żuje się to zamiast Can-D. Przenosząc się. . . nie do krainy Perky Pat, to pewne.

Wideofonistka powiedziała:

— Mam na linii pannę Zoe Eldritch, proszę pana. Chce pan z nią mówić?

— Tak — odparł zrezygowany.

Elegancko ubrana kobieta o przenikliwym spojrzeniu i włosach upiętych w ciężki kok spojrzała na niego z ekranu.

— Tak?

— Mówi Mayerson z P. P. Layouts. Co mamy zrobić, żeby dostać z powrotem Bulero? — spytał i czekał na odpowiedź. Nie otrzymał jej. — Pani wie, o czym mówię, prawda?

Po chwili powiedziała:

— Pan Bulero przybył do naszej posiadłości i rozchorował się. Leży w naszym szpitalu. Kiedy poczuje się lepiej. . .

— Czy mogę przysłać lekarza firmy, aby go zbadał?

— Oczywiście — Zoe Eldritch nawet nie mrugnęła okiem.

— Czemu nas nie powiadomiono?

— To stało się niedawno. Mój ojciec miał właśnie dzwonić. Wydaje się, że to nic poważnego, zwykła reakcja na zmianę ciężenia. To nawet dość częste u starszych osób, które tu przyjeżdżają. Nie utrzymujemy tu grawitacji podobnej do ziemskiej, tak jak to robi pan Bulero na swoim satelicie „Chatka Puchatka”. Widzi pan więc, że wyjaśnienie jest bardzo proste. — Uśmiechnęła się lekko. — Będziecie go mieli z powrotem najpóźniej dziś po południu. Czyżbyście podejrzewali coś innego?

— Podejrzewam — powiedział Barney — że Leo nie przebywa już na Lunie. Myślę, że jest na satelicie Ziemi nazywanym Sigma 14-B, który należy do jednej z waszych firm w St. George. Czyż nie tak? A to, co znajdziemy w szpitalu na waszej posiadłości, to nie będzie Leo Bulero.

Roni wytrzeszczyła oczy.

— Zapraszamy. Może pan przylecieć i zobaczyć — odparła niewzruszona Zoe. — To jest Leo Bulero, o ile wiemy. Ten, który przybył tu z reporterami wideogazet.

— Polecę tam — powiedział Barney. Wiedział, że popełnia błąd. Mówił mu to jego zmysł jasnowidzenia. Na drugim końcu pokoju Roni Fugate zerwała się na równe nogi; ona również to przewidziała. Wyłączywszy wideofon odwrócił się do niej i powiedział:

— Pracownik P. P. Layouts popełnia samobójstwo. Zgadza się? Albo coś w tym rodzaju. Gazety jutro rano.

— Dokładnie to brzmi. . .

— Nic mnie nie obchodzi dokładne brzmienie.

Wiedział jednak, że będzie to porażenie słoneczne. Ciało mężczyzny znalezione na chodniku. Śmierć na skutek nadmiernej dawki promieniowania słonecznego. Gdzieś w śródmieściu Nowego Jorku. Tam gdzie zostawią go ludzie z organizacji Eldritch.

To mógł przewidzieć bez uciekania się do pomocy zdolności jasnowidzenia. Zresztą wcale nie zamierzał się na niej opierać.

Najbardziej wzburzyło go zdjęcie na pierwszej stronie, zbliżenie jego spalonego przez słońce ciała.

Stał przy drzwiach biura i nie poszedł dalej.

— Nie możesz tam lecieć — powiedziała Roni.

— Nie.

Nie po tym, jak widział to zdjęcie. Zrozumiał, że Leo będzie musiał sam o siebie zadbać. Powrócił za biurko i znów usiadł.

— Jedyne problem w tym — powiedziała Roni — że jeśli on wróci, trudno mu będzie wszystko wyjaśnić. Dlaczego nic nie zrobiłeś.

— Wiem.

Jednak nie był to jedyny problem; prawdę mówiąc ten był najmniej istotny.

Ponieważ Leo najpewniej nie wróci.

Rozdział 6

Gluk złapał go za kostkę i próbował wyssać. Wkłuł mu się przez skórę małymi rurkami nibyczułków. Leo Bulero krzyknął — i nagle, niespodziewanie, stał przed nim Palmer Eldritch.

— Myliłeś się — rzekł. — Nie znalazłem Boga w układzie Proximy. Jednak znalazłem coś lepszego.

Dźgnął gluka laseczką. Ten niechętnie cofnął nibyczułki i skurczył się w sobie tak, że przestał dotykać Leo. Ponaglany szturchnięciami przez Eldritch'a stwór opadł w trawę i oddalił się.

— Bóg — powiedział Eldritch — obiecuje życie wieczne. Ja mogę zrobić coś lepszego: m o g ę j e d a ć.

— W jaki sposób?

Dygoczący i osłabły Leo osunął się na trawiastą ziemię, usiadł i zaczął z trudem łapać oddech.

— Dzięki porostom, które sprzedajemy pod nazwą Chew-Z — odparł Eldritch. — W bardzo niewielkim stopniu przypominają twój produkt, Leo. Can-D jest przestarzały, bo co on ludziom daje? Kilka chwil ucieczki, nic prócz fantazji. Komu to potrzebne? Komu to będzie potrzebne, gdy ode mnie będą mogli dostać coś prawdziwego. Sam to teraz czujesz — dodał.

— Tak przypuszczałem — rzekł Leo. — I jeśli wyobrażasz sobie, że ludzie będą płacić za takie przeżycia...

Wskazał gestem gluka, który wciąż czał się w pobliżu, mając oko zarówno na Palmera, jak i na Leo.

— Straciłeś nie tylko ciało, ale i rozum.

— To szczególny przypadek. Chciałem ci udowodnić, że to wszystko prawda. A do tego celu nic nie nadaje się lepiej jak ból i strach. Gluki udowodniły ci ponad wszelką wątpliwość, że t o n i e j e s t halucynacja. Mogły cię nawet zabić. I gdybyś tu zginął, to umarłbyś naprawdę. Nie tak jak po Can-D, prawda? — Eldritch wyraźnie bawił się sytuacją. — Kiedy odkryłem ten porost w układzie Proximy, nie mogłem uwierzyć swojemu szczęściu. Leo, przeżyłem już w układzie Proximy sto lat, zażywając go pod kierunkiem ich medyków. Brałem go do-

ustnie, dożylnie, w czopkach... Palilem go i wdychalem dym, robilem z niego rozpuszczalny w wodzie roztwor i wachalem pare gotujac go. Zazywalem go na wszelkie mozliwe sposoby i nic mi sie nie stalo. Na Proxow porost dziala slabo, nie ma porownania z tym, co wyprawia z nami. Dla nich to stymulant slabszy od ich najlepszego tytoniu. Chcesz uslyszec wiecej?

— Niespecjalnie.

Eldritch usiadl obok, oparl swoja sztuczna reke na kolanach i w zadumie kotsal w reku lase, bacznie przygladajac sie glukowi, ktory jeszcze nie odszedl.

— Kiedy powrocimy do dawnych ciat — zauwaz, ze uzywam slowa „dawnych”, czego nie zrobilbym w przypadku Can-D. Robie to nie bez powodu, bo kiedy wrócisz, stwierdzisz, że czas zatrzymał się w miejscu. Moglibyśmy zostać tu przez pięćdziesiąt lat i byłoby tak samo. Wyłoniłibyśmy się w mojej posiadłości na Lunie i znaleźli wszystko nie zmienione, a obserwujący nas ludzie nie zauważyliby u nas utraty przytomności, jaka następuje po zażyciu Can-D, żadnego transu czy apatii. Och, może trwające ułamek sekundy migotanie powiek. I tylko to.

— Co determinuje czas pobytu tutaj? — spytał Leo.

— Nasze nastawienie. Nie wielkość dawki. Możemy powrócić w każdej chwili. Tak więc ilość narkotyku pozostaje...

— To nieprawda. Ja już od dłuższego czasu chcę się stąd wydostać.

— Ale to nie ty — powiedział Eldritch — stworzyłeś to... środowisko. Ja to zrobiłem i należy do mnie. Ja stworzyłem gluki, ten krajobraz... — Zrobił gest laską. — Każdą cholerną rzecz, jaką widzisz, włącznie z twoim ciałem.

— Moim ciałem?

Leo przyjrzał się sobie. To było niewątpliwie jego stare, znajome ciało, znane mu w najintymniejszych szczegółach. Jego, nie Eldritch.

— Życzyłem sobie, abyś wyłonił się tu dokładnie taki sam, jaki jesteś w swoim Wszechświecie — wyjaśnił Eldritch. — Widzisz, właśnie to przemówiło do Hepburn- Gilberta, który jest oczywiście buddystą. Reinkarnacja w każdej postaci, jaką sobie wybierzesz albo jaka ci zostanie wybrana — tak jak w tym wypadku.

— A więc to dlatego ONZ dała się złapać na przynętę — powiedział Leo. To bardzo wiele wyjaśniało.

— Za pomocą Chew-Z człowiek może wieść życie za życiem, być owadem, nauczycielem fizyki, jastrzębiem, pierwotniakiem, małżem, ulicznicą w Paryżu w roku 1904 lub...

— Glukiem — odpowiedział Leo. — Który z nas jest tu glukiem?

— Powiedziałem ci: stworzyłem go z części siebie. Ty też mógłbyś coś ukształtować. No, dalej — nadaj fragment własnego ja. Samo przybierze materialną postać. To, czego dostarczasz, to logos. Zapamiętasz?

— Zapamiętam — odparł Leo.

Skoncentrował się i po chwili opodal zmaterializowała się skomplikowana masa drutów, krat i połączeń.

— Co to jest, do diabła? — pytał Eldritch.

— Pułapka na gluki.

Eldritch odrzucił głowę w tył i roześmiał się.

— Bardzo dobrze. Tylko proszę, nie rób pułapki na Palmera Eldritch. Jest jeszcze kilka spraw, o których chciałbym ci powiedzieć.

Razem z Leo patrzył, jak gluk, podejrzliwie węsząc, zbliża się do pułapki. Wszedł do środka i pułapka zamknęła się z głośnym traskiem. Gluk został schwytany i unicestwiony. Krótki syk, mała chmurka dymu i zniknął.

Powietrze przed Leo zadrgało i z rozbłysku wyłoniła się czarna książka, którą wziął w ręce, przekartkował i z zadowoleniem położył na kolanach.

— Co to? — spytał Eldritch.

— Biblia króla Jakuba. Myślałem, że może mnie ochronić.

— Nie tu — rzekł Eldritch. — To moje królestwo.

Zrobił gest i biblia zniknęła.

— Mógłbyś jednak mieć swoje własne i zapełnić je bibliami. Każdy będzie mógł. Jak tylko ruszymy z interesem. Będziemy robili zestawy, oczywiście, ale to dopiero później, kiedy zaczniemy działalność na Ziemi. To zresztą i tak formalność, rytuał ułatwiający przeniesienie. Can-D i Chew-Z będą rozprowadzane na tej samej zasadzie, w wolnej konkurencji. Nie powiemy, iż Chew-Z ma jakieś własności, których nie ma Can-D. Nie chcemy odstraszyć ludzi; religia stała się drażliwym tematem do dyskusji. Zresztą po pierwszych kilku próbach zdadzą sobie sprawę z dwóch rzeczy: braku wpływu czasu i tego drugiego, może jeszcze istotniejszego. Że to nie jest halucynacja, że naprawdę przenoszą się do innego Wszechświata.

— Wiele osób odczuwa to po Can-D — zauważył Leo. — Oni naprawdę wierzą, że przenoszą się na Ziemię.

— Fanatycy — powiedział Eldritch z niesmakiem. — To zwyczajne złudzenie, ponieważ nie istnieje Perky Pat ani Walter Essex, a ich wyimaginowany świat ogranicza się do artefaktów, z jakich składa się zestaw. Nie mogą używać automatycznej zmywarki do naczyń, jeżeli jej miniatura nie została uprzednio zainstalowana w kuchence. A osoba, która nie uczestniczy w seansie, lecz tylko obserwuje, widzi, że obie lalki nigdzie się nie przenoszą. Nikt się w nie nie wciela. Można udowodnić...

— Jednak będziesz miał trochę kłopotów z przekonaniem tych ludzi — rzekł Leo. — Pozostaną wierni Can-D. Tak naprawdę to nie ma niezadowolonych z zestawów Perky Pat. Dlaczego mieliby rezygnować...

— Powiem ci — odparł Eldritch. — Ponieważ choćby wcielanie się w Perky Pat i Walta było nie wiem jak cudowne, w końcu trzeba wracać do baraku. Czy wiesz, jak to smakuje, Leo? Spróbuj kiedyś. Obudź się w baraku na Ganimedzie

po dwudziestu, trzydziestu minutach wolności. To doświadczenie, którego nigdy nie zapomnisz.

— Hmm.

— I jest coś jeszcze — ty wiesz co. Kiedy ten krótki okres wolności się skończy i kolonista wraca... nie jest w stanie podjąć normalnego, codziennego życia. Jest zdemoralizowany. Ale gdyby zamiast Can-D zażył...

Urwał. Leo nie słuchał, był zajęty tworzeniem czegoś nowego.

W powietrzu przed nim pojawiły się krótkie schody prowadzące do świetlistego obłoku. Koniec schodów ginał w poświacie.

— Dokąd one prowadzą? — spytał ostro Eldritch. Jego twarz wyrażała irytację.

— Do Nowego Jorku — rzekł Leo. — Wrócę tędy do P. P. Layouts.

Wstał i podszedł do schodów.

— Mam wrażenie, Eldritch, że coś jest nie w porządku z tym Chew-Z. I że nie odkryjemy tego w porę.

Zaczął wchodzić po schodach i nagle przypomniał sobie dziewczynkę, Monikę. Zastanowił się, czy będzie jej tu dobrze, w świecie Palmera Eldritch.

— A co z dzieckiem? — Zatrzymał się. W dole dostrzegł małą postać Eldritch, wciąż siedzącego na trawie z laską w ręku. — Gluki jej nie schwytały, co?

— Ja byłem tą małą dziewczynką — odparł Eldritch. — Właśnie to usiłuję ci wyjaśnić. To dlatego twierdzę, iż Chew-Z oznacza prawdziwą reinkarnację, triumf nad śmiercią.

Leo zamrugał i rzekł:

— A więc to dlatego wydawała mi się znajoma... Urwał i popatrzył jeszcze raz.

Eldritch zniknął. Zamiast niego na trawie siedziała mała Monika trzymająca w ręku walizkę doktora Smile'a. Teraz wszystko było jasne.

Mówił — mówiła, mówili — prawdę.

Leo powoli zszedł po schodach na trawiastą równinę.

— Cieszę się, że pan nie odchodzi, panie Bulero — powiedziała Monika. — Miło się rozmawia z kimś tak sprytnym i zewoluowanym, jak pan.

Poklepała walizkę stojącą obok niej.

— Wróciłam i zabrałam go. Śmiertelnie bał się gluków. Widzę, że znalazł pan coś, co się z nimi rozprawi. — Skinęła głową w kierunku jego pułapki na gluki czekającej na nową ofiarę. — To bardzo pomysłowe. Nie przyszło mi to do głowy. Po prostu uciekałam, gdzie pieprz rośnie. Diencefaliczny objaw paniki.

— Jesteś Palmerem, prawda? — powiedział do niej Leo po krótkim wahaniu. — To znaczy tam w głębi. Tak?

— Weźmy na przykład średniowieczną doktrynę pozorów i istoty rzeczy — powiedziała łagodnie Monika. — Pozornie jestem dzieckiem, lecz w istocie, tak

samo jak w przypadku opłatka i wina w przeistoczeniu.

— W porządku — rzekł Leo. — Jesteś Eldritchem, wierzę ci. Jednak dalej nie podoba mi się to miejsce. Te gluki. . .

— Nie obwiniaj o to Chew-Z — powiedziało dziecko. — To moja wina. Są produktem mojego umysłu, nie porostów. Czy każdy Wszechświat musi być ładny? Mnie podobają się gluki; mają w sobie coś pociągającego.

— Załóżmy, że chciałbym stworzyć własny Wszechświat — rzekł Leo. — Może i we mnie też tkwi jakieś zło, jakiś aspekt mojej osobowości, o którym nic nie wiem. To spowodowałoby, że wytworzyłbym coś jeszcze paskudniejszego niż to, co ty powołałeś do życia.

Z zestawami Perky Pat było się przynajmniej ograniczonym do tego, co umieściło się w nich wcześniej, jak to stwierdził sam Eldritch. I dlatego były bezpieczniejsze.

— Cokolwiek by to było, zostałyby usunięte — powiedziało obojętnie dziecko — gdybyś stwierdził, że ci się nie podoba. A gdyby ci się spodobało. . . — Wzruszyła ramionami. — Wtedy to zatrzymasz. Czemu nie? Komu to szkodzi? Jesteś sam w swoim. . . — Urwała i zatkała sobie usta dłonią.

— Sam — powiedział Leo. — Chcesz powiedzieć, że każdy przenosi się do innego Wszechświata? A więc to nie tak jak w przypadku zestawów, gdzie każdy w grupie zażywających Can-D przenosi się do świata zestawu; mężczyźni stają się Waltem, kobiety Perky Pat. Jednak to znaczy, że ciebie tu nie ma.

Albo, pomyślał, że mnie tu nie ma. Jednak w tym przypadku. . .

Dziewczynka przyglądała mu się uważnie, próbując ocenić, ile wie.

— Nie zażyliśmy Chew-Z — rzekł spokojnie Leo. — To wszystko rezultat hipnozy. Całkowicie wyimaginowane pseudośrodowisko. Nie ruszyliśmy się nawet na krok z punktu wyjścia. Nadal jesteśmy w waszej posiadłości na Lunie. Chew-Z nie kreuje żadnego nowego świata i ty dobrze o tym wiesz. Nie powoduje żadnej prawdziwej reinkarnacji. To jedna wielka halucynacja.

Dziecko milczało, jednak nie odrywało oczu od Leo. Te oczy patrzyły bez mrugnięcia, zimne i jasne, palące.

— No, dalej, Palmer — powiedział Leo. — Jak naprawdę działa Chew-Z?

— Mówiłem ci — odparło chrapliwym głosem dziecko.

— To jeszcze mniej realne niż świat Perky Pat po zażyciu naszego narkotyku. I pozostaje jeszcze sprawą otwartą, co jest lepsze — czy autentyczność przeżyć, czy też złożoność halucynacji. Sądzę, że bezdyskusyjnie to pierwsze.

— To nie halucynacja — powiedziało dziecko. — I lepiej w to uwierz, w przeciwnym wypadku nie wydostaniesz się z tego świata żywy.

— Nie można umrzeć w wymyślonym świecie — powiedział Leo. — Tak samo, jak nie można się powtórnie narodzić. Wracam do P. P. Layouts.

Ponownie zaczął wchodzić na schody.

— No, idź — odezwała się dziewczynka za jego plecami. — Zobaczysz, czy mnie to obchodzi. Poczekaj tylko, a zobaczysz, do czego to doprowadzi.

Leo wszedł po schodach i przeszedł przez świetlisty obłok.

Zalał go potop oślepiającego, wściekle gorącego słonecznego światła; umknął z ulicy w cień najbliższej bramy.

Dostrzegła go odrzutowa taksówka i spłynęła z dachu pobliskiego wieżowca.

— Jedziemy, proszę pana? — zapytał automat. — Lepiej się schować. Już prawie południe.

Spazmatycznie łapiąc powietrze, bliski uduszenia Leo powiedział:

— Tak, dzięki. Zabierz mnie do P. P. Layouts.

Z trudem wszedł do taksówki i natychmiast wyciągnął się jak długi w fotelu, delektując się chłodem zapewnianym przez osłonę termiczną pojazdu.

Taksówka ruszyła i po chwili wylądowała na wydzielonym lądowisku głównego budynku jego firmy.

Dotarłszy do sekretariatu powiedział panie Gleason:

— Proszę natychmiast połączyć się z Mayersonem i dowiedzieć się, dlaczego nic nie zrobił, żeby mnie uratować.

— Uratować pana? — spytała skonsternowana panna Gleason. — O co chodzi, panie Bulero?

Poszła za nim do jego gabinetu.

— Gdzie pan był i w jaki sposób... .

— Proszę mi ściągnąć Mayersona.

Z ulgą zasiadł za swoim biurkiem. Do diabła z Palmerem Eldritchem, pomyślał i sięgnął do szuflady po ulubioną angielską brejerkę oraz półfuntową puszkę tytoniu.

Kiedy był zajęty zapalaniem fajki, otworzyły się drzwi i stanął w nich Barney Mayerson, zmęczony i lekko ogłupiały.

— No? — powiedział Leo energicznie pykając z fajki.

— Ja... . — zaczął Barney i odwrócił się do panny Fugate, która właśnie za nim weszła. Zrobił niewyraźny gest, znów odwrócił się do Leo i powiedział: — W każdym razie wrócił pan.

— Oczywiście, że wróciłem. Wybudowałem sobie schody. Czy nie zamierzasz mi powiedzieć, dlaczego nie kiwnąłeś palcem? Myślę, że nie. Jednak, jak mówisz, obeszło się bez twojej pomocy. Teraz już wiem co nieco o tym nowym produkcie, Chew-Z. Jest zdecydowanie gorszy od Can-D. Mogę to oznajmić z czystym sumieniem. Bez żadnych wątpliwości można stwierdzić, że doznaje się halucynacji. Teraz do rzeczy. Eldritch przekonał ONZ do Chew-Z, twierdząc, że powoduje on prawdziwą reinkarnację, co potwierdza przekonania religijne ponad połowy członków Zgromadzenia Generalnego, włącznie z tym hinduskim śmierzdem Hepburn-Gilbertem. To oszustwo, ponieważ Chew-Z nie ma takiego działania. Jednak najgorszą właściwością Chew-Z jest jego solipsyzm. Biorąc Can-D ma się

doznania międzyludzkie, które dzieli się z innymi. . . — Urwał i rzekł z irytacją: — Co tam, panno Fugate? Na co wytrzeszcza pani oczy?

— Przepraszam, panie Bulero — mruknęła Roni Fugate — ale pod pana biurkiem jest jakieś stworzenie.

Leo schylił się i zajrzał pod biurko.

Coś wypęzło ze szpary między podstawą biurka a podłogą i spojrzało na niego nieruchomymi, zielonymi ślepiami.

— Wynoś się stąd — warknął Leo i rzekł do Barneya: — Znajdź jakąś linijkę lub szcztokę, coś, czym mógłbym to szturchnąć.

Barney opuścił gabinet.

— Niech to szlag, panno Fugate — powiedział Leo gwałtownie ssąc fajkę. — Nie chcę nawet myśleć, co to może być. I co oznacza.

Ponieważ mogło to oznaczać, że Eldritch — w osobie małej Moniki — miał rację, gdy powiedziała: „Zobaczysz, czy mnie to obchodzi. Poczekaj tylko, a zobaczysz, do czego to doprowadzi”.

To coś wypęzło spod biurka i pomknęło do drzwi. Przecisnęło się przez szparę w progu i znikło.

Było jeszcze gorsze niż gluk. Leo spojrzał tylko raz i miał dosyć.

— No i już — powiedział. — Przykro mi, panno Fugate, ale może pani wrócić do siebie. Nie ma sensu dyskutować o tym, jakie działania należy podjąć wobec nieuniknionego pojawienia się Chew-Z na rynku. Ponieważ w istocie z nikim nie rozmawiam; siedzę tu gadając do siebie.

Był przygnębiony. Eldritch miał go w rękę i właśnie zademonstrował realną, a przynajmniej pozorną wartość Chew-Z. Sam Leo wziął halucynacje za rzeczywistość. Tylko koszmarny owad stworzony przez Palmera Eldritch'a — celowo — objawił mu prawdę.

Gdyby nie to, uświadomił sobie Leo, mógłbym w tym tkwić na zawsze.

Spędzić wiek, jak powiedział Eldritch, w tej namiastce Wszechświata.

Jezu, pomyślał, pokonał mnie.

— Panno Fugate — powiedział — proszę tu nie stać. Niech pani wraca do swojego pokoju.

Wstał, podszedł do chłodziarki i do papierowego kubka nalał wody mineralnej. Nierealne ciało pijące nierealną wodę, powiedział sobie. Na oczach nierealnej pracownicy.

— Panno Fugate — powiedział — czy naprawdę jest pani kochanką Mayer-sona?

— Tak, panie Bulero — powiedziała panna Fugate kiwając głową. — Już panu mówiłam.

— I nie chce pani być moją — Leo potrząsnął głową. — Ponieważ jestem zbyt stary i zbyt zewoluowany. Wie pani co. . . a raczej nie wie pani, że w tym Wszechświecie mam pewną moc. Mógłbym zmienić swoje ciało, uczynić się młodym.

Albo, pomyślał, zrobić cię starą. Jak by ci się to podobało? — zastanawiał się. Wypił wodę i cisnął kubek do otworu na śmieci. Nie patrząc na pannę Fugate, pomyślał: Jest pani w moim wieku, panno Fugate. Nawet starsza. No tak, ma pani teraz około dziewięćdziesięciu dwóch lat. Przynajmniej w tym świecie. Postarzałaś się tu... czas pobiegł dla ciebie szybciej, ponieważ mi odmówiłaś, a ja nie lubię, by mi odmawiano. Masz nawet więcej niż sto lat, pomyślał dalej, i jesteś stara, pomarszczona, chuda, bezzębna i ślepa. Jesteś potworem.

Za plecami usłyszał cichy, chrapliwy jęk. Drżący, piskliwy głosik, niczym krzyk przestraszonego ptaka:

— Och, panie Bulero...!

Zmieniłem zdanie, pomyślał Leo. Jesteś taka jak przedtem, cofam wszystko, w porządku? Odwrócił się i zobaczył Roni Fugate, a raczej coś stojącego w miejscu, gdzie ostatnio ją widział. Pajęczna sieć splątanych, szarych pasm tworzących kruchą, chwiejącą się postać... dostrzegł głowę, zapadnięte policzki i oczy niczym dwie grudki białego śluzu. sączące lepkie, gumowate łzy — oczy, które próbowały błagać, lecz nie mogły, ponieważ nie były w stanie dostrzec, gdzie on jest.

— Jesteś z powrotem taka, jaka byłaś — powiedział ochryple Leo i zamknął oczy. — Powiedz mi, kiedy będzie po wszystkim.

Kroki. Męskie. Barney, wracający do gabinetu.

— Jezu — powiedział Barney i stanął.

— Czy ona jeszcze nie jest taka jak przedtem? — spytał Leo nie otwierając oczu.

— Ona? Gdzie jest Roni? Co to jest?

Leo otworzył oczy.

To nie była Roni Fugate ani nawet jej wiekowy wizerunek. To była kałuża czegoś, co nie było wodą. Kałuża żyła swoim życiem i pływały w niej jakieś ostre, szare odłamki.

Gęsta, ciągnąca się maź powoli uformowała wypustkę, po czym zadrgała i skurczyła się w sobie. W jej środku kawałki twardej, szarej substancji skupiły się tworząc kuliste wybrzuszenie ze splątanymi, zlepionymi pasmami włosów na czubku. Utworzyły się niewyraźne zarysy oczodołów — pustych. Powstawała czaszka czegoś, co dopiero miało stać się żywym stworzeniem. Nieświadome pragnienie Leo, by dziewczyna doświadczyła najgorszego aspektu procesu ewolucji, powołało do życia tę potworną istotę.

Szczęki kłapnęły, otwierając się i zamykając, jakby pociągały nimi niewidoczne sznurki. Pływając sobie po powierzchni kałuży, wyrzeźbiły:

— Widzi pan, panie Bulero, ona tak długo nie żyła. Zapomniał pan o tym.

Chociaż słabo go przypominał, głos należał niewątpliwie nie do Roni Fugate, lecz do Moniki; dobiegał jakby zza grubego muru.

— Kazał jej pan przekroczyć setkę, a ona dożyje tylko siedemdziesiątki. Tak więc była już martwa od trzydziestu lat, tyle że pan kazał jej żyć. Tego pan chciał. A co gorsza... — Bezzębne szczęki kłapnęły, a pozbawione oczu oczodoły patrzyły nań nieruchomo — ... ona zewolowała nie za życia, lecz w ziemi.

Czaszka przestała mówić, po czym stopniowo rozpuściła się; jej części znów pływały po kałuży.

Po dłuższej chwili Barney powiedział:

— Zabierz nas stąd, Leo.

— Hej, Palmer! — powiedział Leo. Nie panował nad swoim głosem; trząsał się ze strachu. — Hej, wiesz co? Poddaję się, naprawdę.

Chodnik w gabinecie zgnił pod jego stopami, zmienił w papkę, po czym wypuścił żywe, zielone pędy; Leo stwierdził, że to trawa. Ściany i sufit zapadły się i rozleciały w pył — deszcz bezgłośnie osypującego się popiołu. Nad głową Leo pojawiło się błękitne, spokojne niebo.

Siedząc na trawie, z laską w ręce i walizeczką — doktorem Smile'em — u boku, Monika powiedziała:

— Chciał pan może, żeby pan Mayerson został? Sądziłam, że nie. Pozwoliłam mu odejść razem z innymi, których pan stworzył. W porządku? — Uśmiechnęła się do niego.

— W porządku — przytaknął zduszonym głosem.

Spoglądając wokół widział teraz tylko zieloną równinę. Nawet pył, tworzący jeszcze niedawno P.P. Layouts, budynki firmy i jej personel, zniknął pozostawiając jedynie cienką warstwę na jego rękach i marynarce; strząsnął go w zadumie.

— Z prochu powstałeś, człowiecze — powiedziała Monika — i w proch... .

— W porządku! — rzekł głośno. — Rozumiem, nie trzeba mi tego wkładać łopatą do głowy. A więc to było nierealne — i co z tego? Udowodniłeś swoje, Eldritch, niech ci będzie; możesz tu zrobić wszystko, co chcesz, a ja jestem niczym, jestem tylko fantomem.

Poczuł głęboką nienawiść do Palmera Eldritch. Jeśli tylko uda mi się kiedyś stąd wydostać, pomyślał, jeżeli uda mi się uciec, ty skurwielu... .

— No, no — powiedziała dziewczynka z rozbieganym wzrokiem. — Nie będzie pan tu używał takich słów; nie, ponieważ nie pozwolę panu. Nie powiem nawet, co zrobię, jeśli pan nie przestanie, ale zna mnie pan, panie Bulero. Prawda?

— Prawda — odparł Leo.

Odszedł kilka kroków, wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła, karku, szyi i z zagłębienia poniżej jabłka Adama, które tak trudno było zawsze wygolić. Boże, pomyślał, pomóż mi. Pomożesz? Jeśli to zrobisz, jeśli zdołasz dotrzeć do tego świata, zrobię wszystko, cokolwiek zechcesz. Jestem wystraszony, jestem chory. To zabije moje ciało, nawet jeśli to tylko fantom ciała, wytwórz ektoplazmy.

Zgiął się w pól i zwymiotował na trawę. Trzymało go długo — wydawało się, że długo — a później poczuł się lepiej. Zdołał odwrócić się i podejść wolno do dziecka siedzącego obok walizki.

— Warunki — powiedziało obojętnie dziecko. — Opracujemy szczegółowy układ interesów między twoją firmą a moją. Potrzebujemy twojej wspaniałej sieci satelitów i systemu transportu złożonego z nowoczesnych statków międzyplanetarnych i twoich Bóg wie ilu plantacji na Wenus; chcemy wszystkiego, Bule-ro. Będziemy hodować porosty tam, gdzie teraz hodujesz Can-D, przewozić je w tych samych statkach, sprzedawać kolonistom przez tych samych doświadczonych handlarzy, których ty używasz, reklamować z pomocą profesjonalistów takich jak Allen i Charlotte Faine. Can-D i Chew-Z nie będą ze sobą konkurować, ponieważ będzie tylko jeden produkt — Chew-Z. Niedługo oznajmisz, że wycofujesz się z interesów. Rozumiesz mnie, Leo?

— Pewnie — powiedział Leo. — Nie jestem głuchy.

— Zrobisz to?

— Jasne — rzekł Leo.

I rzucił się na dziecko.

Chwycił ją za gardło i ścisnął. Patrzyła mu prosto w twarz; wydeła usta, ale nie powiedziała słowa, nie próbowała się wyrwać, drapać czy walczyć. Dusił ją tak długo, że wydawało się, iż ręce przyrosły mu do jej szyi na zawsze niczym powykrywane korzenie jakiejś starej, schorzałej, lecz wciąż żywej rośliny.

Kiedy ją wypuścił, była martwa. Jej ciało pochyliło się do przodu, po czym przekreśliło się i upadło na bok, by spocząć na murawie. Żadnej krwi. Nawet śladu walki oprócz ciemnoczerwonych plam na szyi.

Podniósł się myśląc: czy naprawdę to zrobiłem? Czy on — ona lub ono — cokolwiek to jest, umarło?

Jednak wymyślony świat istniał dalej. Leo spodziewał się, że zniknie wraz z jej — Eldritchą — śmiercią.

Zdziwiony, stał nie ruszywszy się na centymetr z miejsca, wężąc i słuchając świstu wiatru w oddali. Nic się nie zmieniło oprócz tego, że dziewczynka umarła. Dlaczego? Gdzie tkwił błąd w jego rozumowaniu? Nieprawdopodobne, ale mylił się.

Nachylił się i włączył doktora Smile'a.

— Wyjaśnij mi to — zażądał.

— Tutaj zabił go pan, panie Bulero — wyjaśnił posłusznie blaszany głos Smile'a. — Jednak w posiadłości na Lunie. . .

— Dobrze — przerwał mu szorstko Leo. — Powiedz mi, jak się stąd wydostać. Jak mam wrócić na Lunę i. . .

Wzruszył ramionami.

— Wiesz, o co mi chodzi. O powrót do rzeczywistości.

— W tej chwili — wyjaśnił dr Smile — Palmer Eldritch, chociaż niezwykle zdenerwowany i rozzłoszczony, podaje panu dożylnie środek znoszący działanie uprzednio podanego Chew-Z. Niedługo wróci pan do siebie.

Po chwili dodał:

— Oczywiście termin „niedługo” odnosi się do upływu czasu w pańskim świecie. Co do t e g o — zachichotał — może się to wydać dłuższym okresem.

— Jak długim?

— Och, to mogą być lata — rzekł dr Smile. — Jednak całkiem możliwe, że nie. Dni? Miesiące? Poczucie czasu jest subiektywne, więc zobaczymy, jak pan to odczuje.

Usadowiwszy się obok ciała dziecka Leo westchnął ze znużeniem, opuścił głowę kładąc brodę na piersi i przygotował się na długie czekanie.

— Dotrzymam panu towarzystwa — powiedział dr Smile — jeśli zdołam. Jednak obawiam się, że bez ożywczej obecności pana Eldritcha... — Leo uświadomił sobie, że metaliczny głos słabnie i mówi coraz wolniej.

— Nic nie utrzymuje tego świata — mówiła cicho walizeczka — oprócz pana Eldritcha. Tak więc obawiam się, że...

Głos umilkł.

Zapadła cisza. Ucichł nawet świst wiatru.

Jak długo? — zadawał sobie pytanie Leo. Później zastanowił się, czy tak jak przedtem, mógł coś zrobić.

Gestykulując niczym natchniony dyrygent, wymachując rękami, próbował stworzyć w powietrzu odrzutową taksówkę.

W końcu ukazały się niewyraźne zarysy pojazdu. Niematerialny, pozostał bezbarwny, niemal przezroczysty; Leo wstał, podszedł bliżej i raz jeszcze spróbował ze wszystkich sił. Przez moment taksówka, zdawało się, przybierała barwę i realną postać. Nagle wszystko ustało i niczym pusta, chitynowa skorupa rozprysła się w kawałki. Poszarpane, co najwyżej dwuwymiarowe szczątki pofrunęły na wszystkie strony. Leo odwrócił się i odszedł przygnębiony. Co za bagno, pomyślał z obrzydzeniem.

Szedł dalej, bez celu. W pewnej chwili zobaczył coś w trawie, coś martwego. Ostrożnie podszedł bliżej. Oto, pomyślał, ostateczny dowód na to, co zrobiłem.

Czubkiem buta kopnął martwego gluka. Noga przeszła mu na wylot i Leo cofnął się z odrazą.

Idąc dalej z rękami głęboko wbitymi w kieszeni, zamknął oczy i znów modlił się w duchu. Niewyraźne z początku życzenie zmieniło się w zdecydowaną chęć. Dostanę go w prawdziwym świecie, powiedział sobie. Nie tylko tutaj, ale tam, gdzie znajdzie się to w gazetach. Nie ze względu na siebie, nie dlatego, aby uratować P. P. Layouts i handel Can- D, ale... Wiedział dla kogo. Dla wszystkich ludzi. Ponieważ Palmer Eldritch jest intruzem, najeźdźcą i wszyscy tak skończymy,

w świecie martwych rzeczy, będących niczym więcej jak przypadkowo dobranymi fragmentami całości. Oto „reinkarnacja” obiecana Hepburn-Gilbertowi.

Przez jakiś czas wędrował tu i tam, stopniowo wracając do walizeczki będącej doktorem Smile'em.

Coś pochylało się nad walizką. Człowiek albo niby-człowiek.

Widząc Leo, wyprostowało się gwałtownie. Łysa głowa zalsniła, gdy stwór gapił się nań, zaskoczony. Później skoczył i uciekł pędem.

Prox.

Patrząc na uciekającą istotę Leo pomyślał, że kawałki łamigłówek ułożyły się wreszcie. Palmer Eldritch zaludnił swój świat takimi istotami. Wciąż był z nimi silnie związany, nawet teraz, po powrocie do ojczystego układu. To co pojawiło się teraz, pozwoliło wejrzeć w najgłębsze zakamarki duszy Eldritch, który mógł nie zdawać sobie sprawy, że zaludnił wymagowaną krainę Proxami, których obecność i dla niego mogła być niespodzianką.

Chyba że to był układ Proximy.

Może dobrze byłoby pójść za tym Proxem.

Ruszył w ślad za nim i szedł, zdawało mu się, przez długie godziny. Nie spostrzegł nikogo; trawiasta równina była pusta aż po horyzont. W końcu zobaczył przed sobą jakiś obiekt. Podążył ku niemu i nagle znalazł się przed zaparkowanym statkiem. Stał i spoglądał nań ze zdziwieniem. Z pewnością nie był to ziemski statek, ale nie był to też statek Proxów.

Po prostu nie pochodził z żadnego z tych układów.

Tak samo dwie wylegujące się obok istoty nie były ani Ziemiannami, ani Proxami; nigdy takich przedtem nie widział. Wysokie, smukłe, o patykowatych kończynach i groteskowych jajowatych głowach, które nawet z tej odległości wydawały się dziwnie delikatne. Wysoce rozwinięta rasa, ocenił Leo, a jednak spokrewniona z Ziemiannami — bardziej byli podobni do nich niż do Proxów.

Podszedł do nich z ręką podniesioną w powitalnym geście.

Jedna z dwóch istot odwróciła się w jego stronę. Spostrzegłszy go, rozdziawiła usta i trąciła łokciem towarzysza. Obie wybałuszyły oczy. W końcu ta pierwsza powiedziała:

— Mój Boże, Alec, to jedna z dawnych form. Wiesz, niedoczłowiek.

— Taak — przytaknęła druga.

— Czekaście — powiedział Leo. — Mówcie ziemskim językiem, angielszczyzną z dwudziestego pierwszego wieku — więc musieliście już wcześniej widzieć Ziemiannina.

— Ziemiannina? — zdziwił się ten, którego nazwano Alec. — My jesteśmy Ziemiannami. A kim, u diabła, ty jesteś? Wybrykiem przyrody, wymarłym przed wiekami, ot co. No, może nie przed wiekami, ale i tak dawno temu.

— Jakaś enklawa tych stworzeń musiała się tu gdzieś zachować — stwierdził pierwszy. Do Leo zaś rzekł: — Ilu takich pierwotnych ludzi żyje tu oprócz ciebie?

No chodź, koleś, nic ci nie zrobimy. Są jakieś kobiety? Możecie się reprodukować? — Następnie powiedział do drugiego: — To tylko wydaje się, że minęły stulecia. Po prostu trzeba pamiętać, że ewoluowaliśmy w tempie stu tysięcy lat na rok. Gdyby nie Denkmal, ci pierwotni ludzie wciąż. . .

— Denkmal — mruknął Leo. A więc taki był efekt finalny Terapii E. Dzieliły go od nich zaledwie dziesięciolecia, jednak podobnie jak im zdawało mu się, że to otchłań miliona lat. Wiedział, że to tylko złudzenie; on sam może tak wyglądać po zakończeniu terapii. Tyle że ci tu nie mieli chitynowej skóry będącej jedną z głównych cech zewoluowanych ludzi. — Bywam w jego klinice — rzekł do tamtych. — Raz na tydzień. W Monachium. Ewoluuje, kuracja idzie dobrze.

Podszedł bliżej i przyjrzał im się uważnie.

— A gdzie chitynowa skóra — spytał. — Aby chronić przed słońcem?

— Ach, ten okres fałszywego ocieplenia już się skończył — powiedział Alec. — To była wina Proxów współpracujących z Renegatem. No, wiesz. A może nie wiesz.

— Z Palmerem Eldritchem — rzekł Leo.

— Taak — pokiwał głową Alec. — Jednak dostaliśmy go. Właśnie tu, na tym księżycu. Teraz jest tu świątynia. . . Nie nasza, lecz Proxów. Przychodzą tu chyłkiem oddawać cześć. Widziałeś jakiegoś? Mamy rozkaz aresztować każdego, którego złapiemy. To terytorium należy do ONZ.

— Wokół jakiej planety krąży ten księżyc? — spytał Leo.

Obaj zewoluowani Ziemianie uśmiechnęli się.

— Wokół Ziemi — rzekł Alec. — To sztuczny księżyc. Zbudowany wiele lat temu i nazywany Sigma 14-B. Czyżby nie istniał w twoich czasach? Musiał już być. Jest naprawdę bardzo stary.

— Chyba był — powiedział Bulero. — A więc możecie mnie zabrać na Ziemię.

— Pewnie. — Obaj zewoluowani Ziemianie kiwnęli głowami. — Prawdę mówiąc, startujemy za pół godziny. Zabierzemy cię ze sobą — ciebie i resztę twojego szczepu. Tylko podaj nam lokalizację wioski.

— Jestem tu sam — rzekł rozdrażniony Leo — a i w innym przypadku nie byłbym członkiem szczepu. Nie pochodzę z czasów prehistorycznych.

Zastanawiał się, jak się tu znalazł, w przyszłości. A może to też było złudzenie stworzone przez mistrza iluzji, Palmera Eldritch'a? Czemu miałby uznać, że ci dwaj są bardziej realni niż mała Monika, gluki czy syntetyczne P. P. Layouts, które odwiedził — odwiedził i widział, jak rozsypało się w proch? To był Palmer Eldritch wyobrażający sobie przyszłość, wytwory jego błyskotliwego, twórczego umysłu, podczas gdy on, Leo, czekał w jego posiadłości na Lunie, aż minie efekt dożylniej iniekcji Chew-Z. Nic więcej.

Prawdę mówiąc nawet stojąc tam dostrzegł niewyraźną linię horyzontu za zaparkowanym statkiem, który był lekko przezroczysty, niewystarczająco mate-

rialny. A ci dwaj zewoluowani Ziemianie. . . Ich obraz był nieznacznie zniekształcony; przypominał mu okres, gdy cierpiał na astygmatyzm, zanim przeszczepiono mu zupełnie dobre oczy. Ci dwaj nie pasowali do tego miejsca. Wyciągnął rękę do pierwszego z Ziemian.

— Chciałbym ci uścisnąć dłoń — powiedział.

Ziemianin Alec również wyciągnął rękę i uśmiechnął się. Ręka Leo przeszła przez rękę Aleca jak przez powietrze.

— Hej — powiedział Alec, marszcząc brwi i błyskawicznie cofnął ramię. — Co się dzieje? Ten facet nie jest realny — rzekł do swego towarzysza — mogliśmy to podejrzewać. On jest. . . jak ich nazywano? Ze względu na żucie tego diabelskiego narkotyku, który Eldritch znalazł w układzie Proximy. A, tak: żuwacz. On jest złudzeniem.

Ze złością spoglądał na Leo.

— Naprawdę? — powiedział Leo słabym głosem, zdając sobie sprawę, że Alec miał racje. Ciało Leo Bulero zostało na Lunie, nie było go tu.

Ale kto w takim razie stworzył tych dwóch zewoluowanych Ziemian? Może nie zrobił tego umysł Eldritch. Alec przyglądał mu się uważnie.

— Wiesz co? — powiedział do swojego towarzysza. — Ten żuwacz wydaje mi się znajomy. Jestem pewien, że widziałem jego zdjęcie w gazetach. Jak się nazywasz, żuwaczu — zwrócił się do Leo, patrząc nań jeszcze groźniej i baczniej.

— Leo Bulero.

Obaj zewoluowani Ziemianie podskoczyli z wrażenia.

— Hej! — zakrzyknął Alec — nic dziwnego, że wydawał mi się znajomy. To ten gość, który zabił Palmera Eldritch! Jesteś bohaterem, koleś — rzekł do Leo. — Założę się, że nic o tym nie wiesz, ponieważ jesteś tylko żuwaczem, prawda? I wróciłeś tu, by straszyc w tym historycznym miejscu, gdzie. . .

— On nie wrócił — przerwał mu kompan. — On jest z przeszłości.

— Ale jeszcze może wrócić — rzekł Alec. — To jego drugie pojawienie się poza własnym czasem. Wrócił też. . . no dobrze, dasz mi powiedzieć? Wróciłeś tu, w to miejsce, ze względu na związek ze śmiercią Palmera Eldritch.

Odwrócił się i zaczął biec w kierunku zaparkowanego statku:

— Zawiadomię reporterów — wołał — może zrobią ci zdjęcia. Duch z Sigmy 14-B. Teraz turyści naprawdę zaczną tu przylatywać. Czeka! — gestykułował z ożywieniem — może duch Eldritch, jego żuwacz, też się tu pojawi. Żeby się zemścić.

Ta ostatnia myśl wyraźnie go nie uszczęśliwiła.

— Już wrócił — rzekł Leo.

Alec stanął, po czym wolno podszedł do niego.

— Naprawdę? — Rozglądał się wokół nerwowo. — Gdzie on jest? Gdzieś blisko?

— Nie żyje — odparł Leo. — Zabiłem go. Udusiłem.

Nie czuł nic, tylko straszliwe znużenie. Jak można się cieszyć z czyjejś śmierci, zwłaszcza ze śmierci dziecka?

— Muszą powtarzać to przez całą wieczność — szepnął Alec, spoglądając na niego z podziwem i zgrozą. Potrząsnął wielką, jajowatą głową.

— Niczego nie powtarzałem — rzekł Leo. — Zrobiłem to po raz pierwszy.

I pomyślał: to nie było naprawdę. Dopiero to zrobię.

— Chcesz powiedzieć — zaczął Alec — że...

— Muszę to dopiero zrobić — prychnął Leo. — Jednak jeden z moich konsultantów-jasnowidzów twierdzi, że dojdzie do tego niedługo. Prawdopodobnie.

Nie powinien zapominać o tym, że zdarzenie to nie jest nieuniknione. Eldritch też o tym wiedział, co całkowicie wyjaśniało jego wysiłki. W ten sposób zapobiegał — a przynajmniej taką miał nadzieję — własnej śmierci.

— Chodź za mną — powiedział Alec — i popatrz na pomnik upamiętniający to wydarzenie.

Leo niechętnie poszedł za Ziemianami.

— Proxi — rzucił mu przez ramię Alec — zawsze próbują... no, wiesz. Zbocześcić to.

— Zbocześcić — poprawił go towarzysz.

— Taak — skinął głową Alec. — To tutaj.

Stanął.

Przed nimi wznosiła się robiąca wrażenie imitacja granitowej kolumny. Na wysokości oczu przytwierdzono do niej mosiężną tablicę. Wiedząc, że popełnia błąd, Leo przeczytał napis.

W POBLIŻU TEGO MIEJSCA W ROKU 2016 WRÓG UKŁADU
SŁONECZNEGO PALMER ELDRITCH ZOSTAŁ ZABITY W UCZCIWEJ
WALCE PRZEZ BOHATERA NASZYCH DZIESIĘCIU PLANET, LEO
BULERO Z ZIEMI.

— Ole! — wykrzyknął Leo. Przeczytał jeszcze raz. I jeszcze. — Zastanawiam się — powiedział półgłosem — czy Palmer to widział.

— Jeśli jest zuwaczem — powiedział Alec — to pewnie tak. Produkowany przez Eldritch'a Chew-Z daje efekt nazywany przez niego „echem czasowym”. To dlatego tu jesteś; w punkcie odległym o lata od dnia twojej śmierci. Wydaje mi się, że ty już nie żyjesz. Leo Bulero już nie żyje, prawda? — spytał swojego kolegę.

— Jasne, cholera — odparł tamten. — Od kilkudziesięciu lat.

— Zdaje się, że czytałem... — zaczął Alec i urwał, spoglądając na coś za plecami Leo. Trącił łokciem kompana. Leo odwrócił się, by zobaczyć, co to takiego. Zbliżał się do nich wychudły, niemiło wyglądający biały pies.

— Twój? — zapytał Alec.

— Nie.

— Wygląda jak pies żuwacz — rzekł Alec. — Popatrz, jest nieco przezroczy-
sty.

Wszyscy trzej patrzyli na psa, który doszedł do nich, minął ich i podszedł do pomnika.

Podniósłszy kamień, Alec cisnął nim w psa. Pocisk przeleciał przez niego i wylądował w trawie. To był rzeczywiście pies żuwacz.

Na oczach całej trójki pies stanął przed pomnikiem, spoglądał, zdawało się, przez moment na mosiężną tablicę, po czym...

— Defekacja — wrzasnął Alec i twarz mu poczerwieniała z wściekłości. Podbiegł w kierunku psa, wymachując rękami i próbując go kopnąć. Później sięgnął po laserowy pistolet u pasa, ale w zdenerwowaniu nie mógł odpiąć kabury.

— Desakracja — poprawił go kolega.

— To Palmer Eldritch — powiedział Leo.

Eldritch okazywał swoją pogardę dla pomnika, brak lęku o przyszłość. Nigdy nie będzie takiego pomnika. Pies odszedł niespiesznie, żegnany wściekłymi przekleństwami obu zewoluowanych Ziemian.

— Jesteś pewny, że to nie twój pies? — dopytywał się podejrzliwie Alec. — O ile wiem, jesteś tu jedynym żuwaczem.

Zmierzył go spojrzeniem.

Leo próbował odpowiedzieć, wyjaśnić im, co się stało. To ważne, żeby zrozumieli. Nagle, bez najmniejszego uprzedzenia, obaj zewoluowani zniknęli; trawista równina, pomnik, odchodzący pies — wszystko przestało istnieć, jakby ktoś wyłączył urządzenie, które ich stworzyło i utrzymywało przy życiu. Widział tylko pustą białą przestrzeń, otchłań poświaty, jakby z projektora holograficznego usunięto przezrocze. To światło, pomyślał, które powoduje zjawisko nazywane przez nas „rzeczywistością”.

I nagle siedział w pustym pokoju w posiadłości Palmera Eldritch na Lunie, naprzeciw stołu i znajdującego się na nim elektronicznego urządzenia.

To urządzenie, aparat, czy cokolwiek to było, powiedziało:

— Tak, widziałem pomnik. Ma go czterdzieści pięć procent wariantów przyszłości. To mniej niż jedna szansa na dwie, więc niezbyt mnie to obchodzi. Po-
częstuj się cygarem.

Urządzenie jeszcze raz wyciągnęło uchwyt z cygarem.

— Nie — powiedział Leo.

— Zamierzam cię wypuścić — powiedziało urządzenie — na jakiś czas, powiedzmy dwadzieścia cztery godziny. Możesz wrócić do swojego gabineciku w swojej nędznej firmie na Ziemi, a kiedy tam będziesz, chcę, żebyś przemyślał sytuację. Poznałeś już siłę Chew-Z. Rozumiesz, że twój przedpotopowy produkt, Can-D, nie może się z nim równać. Co więcej...

— Gówno — odparł Leo. — Can-D jest o niebo lepszy.

— No, przemyśl to sobie — z przekonaniem oświadczył elektroniczny instrument.

— Dobrze — rzekł Leo.

Wstał z trudem. Czy naprawdę był na sztucznym satelicie Ziemi, nazywanym Sigma 14-B? To było zadanie dla Felixa Blau; zajmą się tym eksperci. Nie ma sensu martwić się tym teraz. Teraz miał inne problemy. Wciąż jeszcze nie udało mu się uwolnić z rąk Palmera Eldritch.

Mógł uciec tylko wtedy — jeśli w ogóle — kiedy Eldritch zechce go wypuścić. Taka była prawda, mimo że niezwykle trudna do zaakceptowania.

— Chciałbym zwrócić twoją uwagę na fakt — powiedziało urządzenie — że okazałem ci łaskę, Leo. Mogłem dodać... no, powiedzmy znacznie dłuższy wyrok do tego krótkiego czasu, w jakim zawiera się twoje życie. I mogę to zrobić w każdej chwili. Z tego względu spodziewam się — oczekuję — że bardzo poważnie rozważysz moją propozycję.

— Tak jak powiedziałem, przemyślę to — odparł Leo. Był rozdrażniony, jakby wypił zbyt wiele kubków kawy, i chciał wyjść jak najszybciej. Otworzył drzwi i znalazł się na korytarzu. Kiedy zaczął zamykać za sobą drzwi, elektroniczna zabawka powiedziała:

— Jeśli postanowisz nie przyłączać się do mnie, Leo, nie będę czekał. Zabiję cię. Muszę, żeby ocalić siebie. Rozumiesz?

— Rozumiem — odparł Leo i zamknął za sobą drzwi.

I ja też, pomyślał. Muszę cię zabić... Dlaczego nie możemy obaj użyć jakiegoś omówienia, na przykład wyrażenia używanego w stosunku do zwierząt: uśpić.

I będę musiał to zrobić nie tylko dlatego, by uratować siebie, ale wszystkich ludzi, i to jest moja laska, na której się oprę. Muszę to zrobić choćby dla tych dwóch zewoluowanych żołnierzy, których spotkałem przy pomniku. Żeby mieli czego pilnować.

Szedł wolno korytarzem. Na jego drugim końcu stała grupka reporterów wideogazet. A więc jeszcze nie odlecieli, nawet nie przeprowadzili jeszcze wywiadu — nie upłynęło wiele czasu. Tak więc w tym punkcie Palmer miał rację.

Dołączywszy do reporterów Leo rozluźnił się i poczuł znacznie lepiej. Może teraz uda mu się uciec. Może Palmer Eldritch naprawdę zamierza go wypuścić. Przeżyje i znów będzie wahał, widział i pił w prawdziwym świecie.

Jednak w głębi serca wiedział, że nie. Eldritch nigdy by go nie wypuścił; jeden z nich musi najpierw zginąć.

Miał nadzieję, że nie będzie to on. Jednak miał okropne przecucie, mimo widzianego pomnika, że może przegrać.

Rozdział 7

Drzwi do gabinetu Barneya Mayersona otworzyły się na oścież, ukazując Leo Bulero, przygarbionego ze zmęczenia i brudnego po podróży.

— Nie próbowałeś mi pomóc.

— Zgadza się — odparł po chwili Barney. Nie było sensu wyjaśniać dlaczego, nie dlatego, że Leo nie zdołałby zrozumieć czy uwierzyć, lecz ze względu na samą przyczynę. Była po prostu niewystarczająca.

— Jesteś zwolniony, Mayerson — powiedział Leo.

— W porządku.

Przynajmniej jestem żywy, pomyślał. A gdybym poleciał za Leo, już bym nie żył. Zdrętwiałymi palcami zaczął zbierać z biurka swoje rzeczy i wrzucać je do pustego pudełka po próbkach.

— Gdzie jest panna Fugate? — dopytywał się Leo. — Zajmie twoje miejsce. Podszedł bliżej Barneya i przeszył go spojrzeniem.

— Dlaczego nie przyleciałeś i nie uwolniłeś mnie? Podaj, do cholery, jakiś powód, Barney.

— Spojrzałem w przyszłość. Kosztowałoby to mnie zbyt wiele. Moje życie.

— Przecież nie musiałeś lecieć osobiście. To wielka firma. Mogłeś zebrać kilku ludzi, wysłać ich, a samemu zostać tutaj. Prawda?

To była prawda. A on nawet nie rozważył tej możliwości.

— Zatem — ciągnął Leo — musiałeś chcieć, żeby coś mi się stało. Inne rozwiązanie jest niemożliwe. Może zrobiłeś to podświadomie. Tak?

— Tak sędzę — przyznał Barney.

Ponieważ rzeczywiście sobie tego nie uświadamiał. W każdym razie Leo miał rację; czyż inaczej nie wziąłby na siebie odpowiedzialności, nie zadbał o to, aby — tak jak proponował Blau — wysłano na Lunę oddział uzbrojonych pracowników P. P. Layouts? Teraz to było jasne. Tak proste.

— Przeżyłem straszne rzeczy — powiedział Leo — w posiadłości Palmera Eldritch. To cholerny czarnoksiężnik, Barney. Wyprawiał ze mną takie rzeczy, o jakich ani tobie, ani mnie nigdy się nie śniło. Na przykład zamienił się w małą dziewczynkę, pokazał mi przyszłość — chociaż to mogło być nieumyślnie —

stworzył cały Wszechświat włącznie ze straszliwym zwierzęciem nazywanym gluk, iluzorycznym Nowym Jorkiem, tobą i Roni. Co za bagno. — Potrząsnął głową. — Dokąd zamierzasz pójść?

— Jest tylko jedno miejsce, gdzie się mogę udać.

— Gdzie? — spojrzał nań wyczekująco Leo.

— Tylko jednej osobie może się teraz przydać mój dar jasnowidzenia.

— A więc jesteś moim wrogiem!

— Tak. Możesz tak uważać.

Był skłonny zaakceptować zdanie Leo, jego ocenę swojej indolencji.

— Zatem ciebie też dostanę — rzekł Leo. — Razem z tym stukniętym czarodziejem, tak zwanym Palmerem Eldritchem.

— Dlaczego „tak zwanym”?

Barney spojrzał nań szybko, przestając się pakować.

— Ponieważ jestem coraz bardziej przekonany, że on nie jest człowiekiem. Nie widziałem go na oczy oprócz tych chwil, gdy byłem pod działaniem Chew-Z, a poza nimi zwracał się do mnie za pośrednictwem elektronicznego urządzenia.

— Interesujące — rzekł Barney.

— Prawda? A ty jesteś tak skorumpowany, że zamierzasz pójść i poprosić o pracę w jego firmie. Mimo że on może być parszywym Proxem albo czymś jeszcze gorszym, jakimś cholerstwem, które dostało się na jego statek, kiedy leciał do Proximy lub wracał, które zjadło go i zajęło jego miejsce. Gdybyś widział te gluki...

— A więc nie zmuszaj mnie do tego! — krzyknął Barney. — Nie wyrzucaj mnie.

— Nie mogę. Nie po tym, jak oblałeś swój test lojalności. — Leo odwrócił wzrok, gwałtownie przetykając ślinę. — Chciałbym nie odczuwać tej zimnej złości i żalu do ciebie, ale...

Bezsilnie zacisnął pięści.

— To było odrażające. Udało mu się mnie złamać. A potem wpadłem na tych dwóch zewoluowanych Ziemiaków i to mi pomogło. Aż do chwili, gdy Eldritch pojawił się w postaci psa, który nalał na pomnik. — Leo skrzywił się. — Muszę przyznać, że przekonująco zademonstrował swój stosunek do sprawy. Trudno było nie wyczuć jego pogardy.

I jakby do siebie, dodał:

— On wierzy, że wygra, że nie ma się czego obawiać, nawet po tym, jak widział napis na pomniku.

— Życz mi szczęścia — rzekł Barney.

Wyciągnął rękę. Wymienili krótki, rytualny uścisk dłoni i Barney wyszedł z gabinetu do sekretariatu, a potem na korytarz. Czuł się pusty, wypchany jakimś pozbawionym smaku i zapachu materiałem. Nic więcej.

Gdy stał czekając na windę, dogoniła go Roni Fugate, zdyszana, z twarzą ożywioną troską.

— Barney... wylał cię?

Kiwnął głową.

— Och, mój drogi — powiedziała. — I co teraz?

— Teraz — odparł — zmiana barw. Na dobre czy złe.

— Ale jak zdołamy żyć dalej razem, jeśli ja będę pracowała dla Leo, a ty...

— Nie mam zielonego pojęcia — powiedział Barney. Nadjechała samoczynna winda i wsiadł do niej. — Na razie — powiedział i nacisnął guzik; drzwi zamknęły się, zasłaniając mu Roni. Zobaczymy się w tym, co neochrześcijanie nazywają piekłem, pomyślał. Pewnie nie wcześniej. Chyba, że to już jest piekło, co bardzo prawdopodobne.

Zjechawszy na dół wyszedł z budynku P.P. Layouts i stanął pod osłoną przeciwcieplną czekając na taksówkę. Kiedy się pojawiła i ruszył ku niej, usłyszał głos wołający go po imieniu.

— Zaczekaj, Barney.

— Postradałaś zmysły — powiedział jej. — Wracaj. Nie porzucaj swojej obiecującej, wspaniałej kariery dla tego, co ze mnie zostało.

— Mielśmy pracować razem, pamiętasz? — powiedziała Roni. — Aby, jak to wyraziłam, zdradzić Leo. Dlaczego nie możemy dalej współpracować?

— Wszystko się zmieniło. Z powodu mojej paskudnej, zdeprawowanej niechęci czy niemożności, czy jak to nazwiesz, do udania się na Lunę i udzielenia mu pomocy.

Czuł obojętność w stosunku do swojej osoby, którą przestał widzieć w korzystnym świetle.

— Boże, przecież naprawdę nie chcesz ze mną zostać — powiedział dziewczynie. — Któregoś dnia możesz znaleźć się w tarapatkach i potrzebować mojej pomocy, a ja pewnie zrobię dokładnie to, co zrobiłem wobec Leo. Pozwolę ci utonąć nie kiwnąwszy palcem.

— Przecież chodziło o twoje...

— Zawsze o to chodzi — odparł — kiedy się coś robi. To tytuł komedii, w której gramy.

To go nie usprawiedliwiało, przynajmniej we własnych oczach. Wsiadł do taksówki, machinalnie podał adres mieszkalni i wyciągnął się w fotelu, podczas gdy pojazd wznosił się w rozpalone do białości niebo. Daleko w dole, pod osłoną przeciwcieplną stała Roni, osłaniając oczy dłonią, patrząc na odlatującą taksówkę. Niewątpliwie miała nadzieję, że zmieni zdanie i wróci.

Jednak nie zrobił tego.

Potrzeba odrobiny odwagi, myślał, aby spojrzeć sobie w twarz i powiedzieć: jestem zepsuty. Zrobiłem źle i zrobię znowu. To nie przypadek; to emanowało z mojego prawdziwego ja.

W końcu taksówka zaczęła się opuszczać. Sięgnął do kieszeni po portfel i stwierdził ze zdumieniem, że to nie jego mieszkalnia. W panice próbował się zorientować, gdzie jest. Nagle zrozumiał. To był budynek 492. Podał adres Emily.

Fiu! Z powrotem w przeszłość. Tam, gdzie rzeczy miały sens. Kiedy byłem na drodze kariery, pomyślał, kiedy wiedziałem, czego chcę, wiedziałem nawet w głębi serca, co jestem gotów porzucić, oddać, poświęcić... i za co. A teraz...

Teraz poświęcił swoją karierę, aby — jak sądził — ratować życie. Tak samo jak niegdyś poświęcił Emily, by ratować swoje życie — to było takie proste. Nic nie mogło być prostsze. To nie idealizm ani obowiązek płynący z purytańskiego, kalwińskiego przekonania. To tylko instynkt jak u najprymitywniejszego pełzającego robaka. Chryste! — pomyślał. Uczyniłem to; najpierw przedłożyłem siebie nad Emily, a teraz nad Leo. Co ze mnie za człowiek? A następna — i byłem na tyle uczciwy, by jej to powiedzieć — byłaby Roni. Nieuchronnie.

Może Emily zdoła mi pomóc, pomyślał. Może to dlatego tu jestem. Zawsze była sprytna w takich sprawach; przejrzała mnie przez mgłę samousprawiedliwień, jakimi się otaczałem, by nie dostrzegać przykrej rzeczywistości. Co, rzecz jasna, tylko skłaniało mnie, aby się jej pozbyć. Prawdę mówiąc, dla kogoś takiego jak ja, już to samo w sobie było wystarczającym powodem. Jednak może teraz będę w stanie to znieść.

W chwilę później był pod drzwiami Emily. Zadzwoił.

Jeśli uzna, że powinienem się przyłączyć do Palmera Eldritch, zrobię to, pomyślał. A jeśli nie, to nie. Jednak ona i jej mąż pracują dla Eldritch. Jak mogliby, zachowując lojalność, odwieść mnie od tego? A więc to z góry przesądzone. I może dobrze o tym wiedziałem.

Drzwi otworzyły się. Emily spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, zdziwiona. Miała na sobie niebieski kitel, poplamiony zaschniętą i mokrą gliną.

— Hej — odezwał się. — Leo mnie wylał.

Czekał chwilę, ale nic nie powiedziała.

— Mogę wejść? — spytał.

— Tak.

Wprowadziła go do mieszkania. Na środku pokoju, jak dawniej, stało ogromne koło garncarskie.

— Właśnie lepiłam. Miło cię widzieć, Barney. Jeśli chcesz filiżankę kawy, będziesz musiał...

— Przyszedłem tu prosić cię o radę — rzekł. — Jednak teraz doszedłem do wniosku, że to zbędne.

Podszedł do okna, postawił swoje wypchane pudło i wyjrzał na zewnątrz.

— Czy będzie ci przeszkadzało, jeśli wrócę do pracy? Miałam dobry pomysł, a przynajmniej wydawał mi się dobry. — Emily potarła czoło, a potem przyłożyła dłonie do oczu. — Teraz nie jestem już pewna... i jestem taka zmęczona. Zastanawiam się, czy to ma coś wspólnego z Terapią E.

— Terapia ewolucyjna? Poddałaś się jej?

Odwrócił się na pięcie i uważnie przyjrzał się Emily. Czy zmieniła się fizycznie?

Wydawało mu się — chociaż to pewnie dlatego, że tak długo jej nie widział — że rysy jej twarzy się pogrubily.

To wiek, pomyślał. Jednak...

— I jak ci idzie? — spytał.

— No, na razie miałam tylko jeden seans. Jednak wiesz, jestem taka przymulona. Nie mogę zebrać myśli; wszystkie pomysły płaczą mi się ze sobą.

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli zaniechasz tej terapii. Nawet jeśli to szczyt marzeń; nawet jeśli robi to każdy, kto jest kimś.

— Może masz rację. Ale oni są tacy zadowoleni. Richard i dr Denkmal. Znajomym sposobem zwiesiła głowę.

— Wiedzieliby, gdyby coś było nie tak, prawda?

— Tego nikt nie wie. To mało znane zjawisko. Skończ z tym. Zawsze pozwalałaś, by ludzie tobą dyrgowali.

Powiedział to rozkazującym tonem, jakiego używał niezliczone razy w czasie lat spędzonych razem i przeważnie z dobrym rezultatem, chociaż nie zawsze.

Tym razem nie udało mu się. Widział ten uparty wyraz jej oczu i lekkie zaciśnięcie szczęk.

— Myślę, że to zależy ode mnie — powiedziała z godnością. — I mam zamiar to kontynuować.

Wzruszył ramionami i zaczął krążyć po mieszkadle. Nie miał na nią wpływu i nie obchodziło go to. Czy to jednak prawda? Czy naprawdę go nie obchodziło? W myślach zobaczył Emily cofniętą w rozwoju... i próbującą lepić swoje naczynia, pracować twórczo. To było śmieszne... i okropne.

— Słuchaj — powiedział szorstko — gdyby ten facet naprawdę cię kochał...

— Przecież ci powiedziałam — odparła Emily. — To moja decyzja.

Wróciła do koła. Powstawał na nim wielki, wysoki garnek. Barney podszedł bliżej, żeby mu się przyjrzeć. Ładny, zdecydował. I jakby... znajomy. Czy nie zrobiła już kiedyś takiego? Jednak nic nie powiedział; stał tylko, przyglądając się.

— Co masz zamiar robić? — spytała Emily. — Dla kogo będziesz pracował?

Wydawało się, że mu współczuje. Przypomniał sobie, jak niedawno uniemożliwił jej sprzedaż garnków dla P.P. Layouts. Mogła być nastawiona do niego wrogo, lecz — co dla niej typowe — nie była. A z pewnością wiedziała, że to on odrzucił ofertę Hnatta.

— Mój los może już być przypieczętowany — powiedział. — Dostałem kartę powołania.

— To okropne. Ty na Marsie! Nie mogę sobie tego wyobrazić.

— Mogę żuć Can-D — rzekł. — Tylko...

Zamiast zestawu Perky Pat, pomyślał, może sprawię sobie zestaw Emily. I będę spędzał czas w marzeniach, z tobą. Będę wiódł życie, z którego rozmyślnie, głupio zrezygnowałem. Jedyny naprawdę dobry okres w moim życiu, kiedy byłem rzeczywiście szczęśliwy. Jednak, rzecz jasna, nie wiedziałem o tym, ponieważ nie miałem porównania. . . a teraz mam.

— Czy jest jakaś nadzieja — zapytał — że chciałabyś polecieć ze mną?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem; odwzajemnił jej się takim samym spojrzeniem. Oboje byli oszołomieni tą propozycją.

— Mówię poważnie — rzekł.

— Kiedy ci to przyszło do głowy?

— To nieważne — odparł. — Liczy się tylko to, co czuję.

— Liczy się też, co ja czuję — powiedziała cicho Emily. — A ja jestem bardzo szczęśliwa w małżeństwie z Richardem. Świetnie się rozumiemy.

Jej twarz była bez wyrazu; niewątpliwie naprawdę tak myślała. Był przeklęty, skazany, stracony w otchłań, którą sam wykopał. I zasłużył na to. Oboje to wiedzieli, nie potrzebowali nawet tego mówić.

— Myślę, że już pójdę — powiedział.

Emily nie powstrzymała go. Lekko skinęła głową.

— Mam głęboką nadzieję — rzekł — że się nie cofasz. Osobiście myślę, że jednak tak. Widzę to, na przykład po twojej twarzy. Spójrz w lustro.

Z tymi słowami wyszedł; drzwi same za nim zamknęły się. Natychmiast pożałował tego, co powiedział, chociaż mogło to przynieść dobry skutek. . . mogło jej pomóc. Ponieważ naprawdę tak było. A tego jej nie życzę, myślał. Nikt tego nikomu nie życzy. Nawet ten dupek, jej mąż, którego ona woli ode mnie. . . z powodów, których nie jestem w stanie zrozumieć, chyba że małżeństwo z nim traktuje jako swoje przeznaczenie. Jest skazana na życie z Richardem Hnattem, skazana na to, aby nigdy już nie być moją żoną; nie można odwrócić biegu czasu.

Można, jeśli się żuje Can-D, pomyślał. Albo ten nowy produkt, Chew-Z. Wszyscy koloniści to robią. Nie można go dostać na Ziemi, ale jest na Marsie czy Ganimedzie, na każdej z ziemskich kolonii.

Jeśli wszystko zawiedzie, pozostaje jeszcze to.

A może już zawiodło. Ponieważ. . .

Analizując wypadki stwierdził, że nie może pójść do Palmera Eldritch. Nie po tym, co tamten zrobił — czy też próbował zrobić — wobec Leo. Uświadomił to sobie stojąc przed budynkiem i czekając na taksówkę. Wokół powietrze drżało z gorąca i Barney pomyślał: wystarczyłoby zrobić kilka kroków. Czy ktoś znalazłby mnie, zanim bym umarł? Pewnie nie. To byłoby równie dobre rozwiązanie. . .

Tak więc koniec z wszelkimi nadziejami na pracę. Leo ubawiłby się, gdyby mnie spławili. Byłby zdziwiony i pewnie zadowolony.

Tak dla zabawy, postanowił, zadzwonię do Eldritch i zapytam, czy dałby mi pracę.

Znalazł budkę wideofonu i zamówił rozmowę z posiadłością Eldritch na Lunie.

— Tu Barney Mayerson — przedstawił się. — Były konsultant-prognostyk Leo Bulero. Właściwie byłem zastępcą dyrektora w P. P. Layouts.

Personalny Eldritch zmarszczył brwi i powiedział:

— Tak? Czego pan chce?

— Szukam u was pracy.

— Nie potrzebujemy prognostyków. Przykro mi.

— Czy mógłbym porozmawiać z panem Eldritchem?

— Pan Eldritch już wyraził swoją opinię w tej kwestii.

Barney odłożył słuchawkę i wyszedł z budki.

Nie był wcale zdziwiony.

Gdyby powiedzieli: proszę przylecieć na Lunę, na rozmowę, czy zrobiłbym to? Tak, uświadomił sobie. Poleciałbym, ale w pewnej chwili bym się wycofał. Kiedy już przekonałbym się, że dadzą mi pracę.

Wróciwszy do budki wykręcił numer swojej komisji poborowej.

— Mówi Barney Mayerson — rzekł i podał im swój kod identyfikujący. — Niedawno otrzymałem kartę powołania. Chciałbym przyspieszyć formalności. Chcę jak najszybciej wyemigrować.

— Nie można ominąć badań lekarskich — poinformował go urzędnik ONZ. — Przede wszystkim psychiatrycznych. Jednak jeśli pan chce, może pan przyjść w każdej chwili, nawet teraz, i poddać się obu.

— W porządku — rzekł. — Tak zrobię.

— A ponieważ zgłasza się pan na ochotnika, panie Mayerson, może pan wybrać sobie...

— Każda planeta czy księżyc mi odpowiada — powiedział Barney.

Rozłączył się, znalazł taksówkę i podał adres komisji poborowej w pobliżu swojej mieszkalni.

Kiedy taksówka z cichym pomrukiem leciała ku centrum Nowego Jorku, z dołu nadleciała inna i wysforowała się przed nią, kołyszącym ruchem poruszając stabilizatorami.

— Próbują się z nami porozumieć — poinformował go automatyczny kierowca. — Chce pan odpowiedzieć?

— Nie — odparł Barney. — Przyspiesz.

Nagle zmienił zdanie.

— Możesz ich zapytać, kim są?

— Spróbuję.

Przez chwilę w kabinie panowała cisza, po czym automat stwierdził:

— Mówią, że mają wiadomość dla pana od Palmera Eldritch. Chce panu powiedzieć, że przyjmie pana i niech pan...

— Powtórz to jeszcze raz — rzekł Barney.

— Pan Palmer Eldritch, którego reprezentują, zatrudni pana, tak jak pan chciał. Chociaż z zasady. . .

— Chcę z nimi pomówić — rzekł Barney.

Mikrofon przysunął mu się do ust.

— Kto tam? — spytał Barney.

Odezwał się nieznajomy głos:

— Mówi Icholtz. Z Chew-Z Manufacturers z Bostonu. Możemy wylądować i gdzieś przedyskutować sprawę pańskiego zatrudnienia w naszej firmie?

— Jestem w drodze do komisji poborowej. Sam się zgłosiłem.

— Na razie nie ma nic na piśmie? Nie podpisał pan?

— Nie.

— Dobrze. Zatem nie jest jeszcze za późno.

— Ale na Marsie będę mógł żuć Can-D — powiedział Barney.

— Dlaczego chce pan to robić, na Boga?

— Żeby być znów z Emily.

— Kim jest Emily?

— Moją była żoną. Odepchnąłem ją, ponieważ zaszła w ciążę. Teraz zdaje sobie sprawę, że to były jedyne szczęśliwe chwile w moim życiu. Prawdę mówiąc kocham ją teraz bardziej niż kiedykolwiek. To uczucie zamiast słabnąć z czasem, pogłębiło się.

— Niech pan słucha — powiedział Icholtz. — Możemy panu dostarczyć tyle Chew-Z, ile panu trzeba, a to jest jeszcze lepsze. Dzięki niemu będzie pan mógł żyć wiecznie w niezmiennie idealnym związku z pańską byłą żoną. Nie ma problemu.

— A może ja nie chcę pracować dla Palmera Eldritch.

— Przecież zgłosił się pan!

— Naszły mnie wątpliwości — powiedział Barney. — Poważne. Powiem wam coś; nie dzwońcie do mnie — sam do was zadzwonię. Jeżeli się nie zgłoszę na komisję.

Odsunął mikrofon.

— Proszę — rzekł do taksówki. — Dziękuję.

— To bardzo patriotyczne, zgłosić się na ochotnika — powiedziała taksówka.

— Pilnuj swoich spraw — rzekł Barney.

— Myślę, że robi pan słusznie — powiedziała mu mimo to.

— Gdybym tylko poleciał na Sigmę 14-B ratować Leo — mówił do siebie Barney. — Czy też na Lunę? Gdziekolwiek to było; już nie pamiętam. Wszystko wydaje się niewyraźnym snem. W każdym razie, gdybym poleciał, wciąż pracowałbym dla niego i wszystko byłoby w porządku.

— Wszyscy popełniamy błędy — rzekła współczująco taksówka.

— Ale niektórzy z nas — mruknął Barney — popełniają fatalne w skutkach.

Najpierw wobec tych, których kochamy, naszych żon i dzieci, a później w związku z naszymi pracodawcami, powiedział sobie.

Taksówka z cichym pomrukiem leciała dalej.

A w końcu, myślał Barney, popełniamy ten ostatni. Dotyczący naszego życia, podsumowujący je. Czy pójść pracować do Eldritch'a, czy się zaciągnąć. I cokolwiek wybierzemy, wiemy jedno:

To był zły wybór.

Godzinę później przeszedł badania lekarskie; został zakwalifikowany i poddany badaniom psychiatrycznym przez coś, co dość przypominało doktora Smile'a.

Także z pozytywnym rezultatem.

Jak w transie złożył przysięgę („Przysięgam, iż będę uważał Ziemię za matkę i uznawał jej przywódczą rolę”), po czym, z naręczem utrzymanych w radosnym tonie broszurek informacyjnych, został wysłany do swego mieszkadła, żeby się spakować. Miał dwadzieścia cztery godziny do odlotu... tam, dokąd leciał. Na razie jeszcze tego nie zdradzili. Zawiadomienie o miejscu przeznaczenia najprawdopodobniej zaczynało się słowami: „Mene, mene, tekel”. Przynajmniej powinno, zważywszy możliwe ewentualności.

Mam to za sobą, rozmyślał, czując wszelkie możliwe emocje: zadowolenie, ulgę, przerażenie i smutek płynący z dojmującego poczucia klęski. W każdym razie, myślał wracając do mieszkalni, to lepsze niż wyjście z gołą głową na słońce.

Czy na pewno?

Przynajmniej w o l n i e j s z e. Śmierć w ten sposób zabierze więcej czasu, może nawet pięćdziesiąt lat, i to bardziej przemawiało mu do przekonania. Dlaczego — nie wiedział.

Jednak zawsze mogę to przyspieszyć, pomyślał. W koloniach niewątpliwie będzie po temu równie wiele okazji co tu; może nawet więcej.

Kiedy pakował swoje rzeczy, po raz ostatni ukryty w swoim ukochanym mieszkadle, na które tak ciężko pracował, zadzwonił wideofon.

— Panie Bayerson... .

Dziewczyna, jakaś niższa urzędniczka jakiegoś mało ważnego wydziału kolonizacyjnego aparatu ONZ. U ś m i e c h n i ę t a.

— Mayerson.

— A, tak. Dzwonię po to, żeby podać panu miejsce pańskiego przeznaczenia i - ma pan szczęście, panie Mayerson! — będzie to żyzny rejon Marsa znany jako Fineburg Crescent. Jestem pewna, że się tam panu spodoba. No, do widzenia panu i życzę szczęścia!

Wciąż się uśmiechała, aż do chwili, gdy wyłączył obraz. Był to uśmiech kogoś, kto nie leci.

— Ja też ci życzę szczęścia — powiedział.

Fineburg Crescent. Słyszał o tym. Rzeczywiście, stosunkowo żyzny teren. W każdym razie koloniści mieli tam ogrody; nie było to, jak w niektórych in-

nych miejscach, pustkowie zmrożonego metanu i nieustannych, gwałtownych burz trwających miesiącami. Zapewne od czasu do — czasu będzie mógł wyjść z baraku na zewnątrz.

W rogu pokoju stała walizeczka zawierająca doktora Smile'a. Włączył ją i powiedział:

— Doktorze, trudno będzie panu w to uwierzyć, ale już nie potrzebuję pańskich usług. Do widzenia i życzę szczęścia, jak powiedziała dziewczyna, która nie leci. Zgłosiłem się na ochotnika — dodał tytułem wyjaśnienia.

— Bgrrr — zarzęził dr Smile, skrzypiąc trybikami w piwnicy mieszkalni. — Przecież przy pańskim charakterze... to po prostu niemożliwe. Jaki był powód, panie Mayerson?

— Pragnienie śmierci — powiedział i wyłączył psychiatrę. W milczeniu dokończył pakowania. Boże, myślał. A tak niedawno Roni i ja mieliśmy takie wielkie plany. Mieliśmy sprzedać Leo na wielką skalę i z ogromnym hukiem przejść do Eldritch. Co się stało? Powiem ci, co się stało, odpowiedział sam sobie. Leo zadziałał pierwszy.

I teraz Roni ma moje stanowisko. Dokładnie tak, jak chciała.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej był zły, w nieco zakłopotany sposób. Jednak nic na to nie mógł poradzić, przynajmniej nie na tym świecie. Może kiedy zażyje Can-D albo Chew-Z, może wtedy zamieszka we Wszechświecie, w którym...

Ktoś zapukał do drzwi.

— Hej! — powiedział Leo. — Mogę wejść?

Wszedł do środka ocierając złożoną chusteczką swoje olbrzymie czoło.

— Gorący dzień. W gazecie przeczytałem, że podniosło się o sześć dziesiątych...

— Jeśli przyszedłeś zaproponować mi powrót do pracy — rzekł Barney zaprzestając na chwilę pakowania — to spóźniłeś się, ponieważ zgłosiłem się na ochotnika. Jutro odlatuję do Fineburg Crescent.

To byłaby ironia losu, gdyby Leo chciał się pogodzić. Całkowity obrót koła fortuny.

— Nie zamierzam proponować ci powrotu do pracy. I wiem, że się zaciągnąłeś. Mam informatorów w wydziale mobilizacji, a poza tym dał mi znać dr Smile. Płaciłem mu — o czym, rzecz jasna, nie wiedziałeś — aby meldował mi o twoich postępach w zmniejszaniu odporności na stres.

— Czego więc chcesz?

— Chcę, żebyś zaczął pracować dla Felixa Blau — powiedział Leo. — Wszystko już obmyśliliśmy.

— Resztę życia — rzekł cicho Barney — spędzę w Fineburg Crescent. — Nie rozumiesz?

— Nie denerwuj się. Próbuję znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, także i dla ciebie. Obaj działaliśmy zbyt gwałtownie; ja wyrzucając cię, a ty poddając się tym wampirom z komisji poborowej. Myślę, Barney, że znam sposób, jak usidlić Palmera Eldritch. Pogadałem z Blauem i jemu podoba się ten pomysł. Będziesz udawał... a raczej żył jako kolonista — poprawił się Leo. — Staniesz się jednym z nich. Ktoregoś dnia, pewnie w przyszłym tygodniu, Eldritch zacznie sprzedawać Chew-Z w tej okolicy. Może zaproponują i tobie. Przynajmniej taką mamy nadzieję. Liczymy na to.

Barney wstał.

— I spodziewacie się, że rzucę się na tę propozycję.

— Zgadza się.

— Dlaczego?

— Złożysz skargę do ONZ. Nasi prawnicy napiszą ją za ciebie. Stwierdzisz, że to cholerne, nędzne, parszywe świństwo jest wysoce toksyczne i ma uboczne działanie; obojętnie jakie. Zrobimy z tego pokazową sprawę, zażądamy od ONZ, żeby zakazała produkcji Chew-Z jako środka szkodliwego, niebezpiecznego... Nie dopuścimy do obrotu nim na Ziemi. Doskonale się składa, że zrezygnowałeś z posady w P.P. Layouts i postanowiłeś się zaciągnąć. Nie mogłeś sobie wybrać lepszej pory.

Barney potrząsnął głową.

— Co to znaczy? — rzekł Leo.

— Nie idę na to.

— Dlaczego?

Barney wzruszył ramionami. Właściwie nie wiedział dlaczego.

— Po tym, jak cię zawiodłem... .

— Wpadłeś w panikę. Nie wiedziałeś, co robić. To nie twoja dziedzina. Powinienem kazać doktorowi Smile'owi skontaktować się z szefem straży naszej firmy, Johnem Seltzerem. W porządku. Popełniłeś błąd. Ale to przeszłość.

— Nie — odparł Barney.

Ze względu na to, czego dowiedziałem się o sobie, pomyślał, nie mogę o tym zapomnieć. Te ataki samokrytycyzmu najsilniej działają na serce. Skutki są nieodwracalne.

— Nie łam się, na litość boską. To już chorobliwe. Masz przed sobą całe życie, nawet jeśli spędzisz je w Fineburg Crescent. Myślę, że i tak pewnie zostałbyś powołany. Prawda? Zgadzasz się?

Leo, wzburzony, krążył po pokoju.

— Co za bagno. W porządku, nie pomagaj nam. Pozwól Eldritchowi i tym cholernym Proxom zrobić to, co chcą, opanować Układ Słoneczny albo jeszcze gorzej, cały Wszechświat, od nas począwszy.

Zatrzymał się i spojrzał z wściekłością na Barneya.

— Daj mi... . daj mi to przemyśleć.

— Zaczekaj, aż weźmiesz Chew-Z. Sam zobaczysz. To zatruje nas wszystkich, umysły i ciała, spowoduje zupełną dezorganizację.

Sapiąc gniewnie, Leo rozkaszłał się gwałtownie.

— Za dużo cygar — rzekł słabo. — Jezu.

Spojrzał na Barneya.

— Wiesz, że ten facet dał mi dwadzieścia cztery godziny? — Mam skapitulować albo... — Pstryknął palcami.

— Nie będę na Marsie w tak krótkim czasie — rzekł Barney. — Nie mówiąc już o wejściu w środowisko na tyle, by kupować Chew-Z od handlarza.

— Wiem o tym — rzekł twardo Leo. — Jednak nie uda mu się mnie zniszczyć tak szybko. To zajmie mu tygodnie, może nawet miesiące. A do tego czasu będziemy mieli kogoś w sądzie, kto udowodni szkodliwość Chew-Z. Wiem, że to wydaje się niemożliwe, ale...

— Skontaktuj się ze mną, kiedy już będę na Marsie — rzekł Barney. — W moim baraku.

— Zrobię to! Zrobię! — wykrzyknął Leo, po czym dodał półgłosem: — To da ci powód.

— Słucham?

— Nic takiego, Barney.

— Wyjaśnij.

Leo wzruszył ramionami.

— Do diabła, wiem, w co wdepnąłeś. Roni dostała twoją posadę. Miałaś rację. I kazałem cię śledzić; wiem, że prosto jak strzała pomknąłeś do swojej byleży. Wciąż ją kochasz, a ona nie chce z tobą lecieć, prawda? Znam cię lepiej niż ty sam. Wiem dobrze, dlaczego nie pojawiłeś się, żeby mnie wyciągnąć, kiedy złapał mnie Palmer. Przez całe życie zmierzałeś do tego, żeby zająć moje miejsce, a gdy teraz wszystko się zawaliło, musisz mieć jakiś nowy cel. Szkoda, ale sam to spowodowałeś. Przeliczyłeś się. Widzisz, ja nie zamierzam odejść, nigdy nie zamierzałem. Jesteś dobry, ale tylko jako konsultant prognostyk, nie jako szef. Na to jesteś zbyt mały. Pomyśl, jak odrzuciłeś naczynia Richarda Hnatta. W ten sposób zdradziłeś się, Barney. Przykro mi.

— W porządku — powiedział po chwili Barney. — Może masz rację.

— No, więc dowiedziałeś się sporo o sobie. I możesz zacząć od nowa, w Fineburg Crescent. — Leo poklepał go po plecach. — Możesz stać się szefem swojego baraku, tworzyć i produkować to, co się produkuje w barakach. I będziesz wywiadowcą Felixa Blau. To duża sprawa.

— Mogłem przejść do Eldritch — powiedział Barney.

— Taak, ale nie zrobiłeś tego. Kogo obchodzi, co mogłeś zrobić?

— Myślisz, że dobrze zrobiłem zgłaszając się na ochotnika?

— Chłopie, a co innego mogłeś zrobić? — rzekł cicho Leo.

Nie było na to odpowiedzi. I obaj o tym wiedzieli.

— Kiedy najdzie cię ochota — powiedział Leo — uzalania się nad sobą, pamiętaj jedno. P a l m e r E l d r i t c h c h c e m n i e z a b i ć... Jestem w o wiele gorszej sytuacji niż ty.

— Tak sędzę.

To brzmiało prawdziwie i Barney zrozumiał coś jeszcze. Z chwilą gdy złoży skargę przeciwko Palmerowi Eldritchowi, będzie w tej samej sytuacji co Leo.

Ta ewentualność wcale go nie cieszyła.

Tej nocy znalazł się na transportowcu ONZ lecącym na Marsa. W fotelu obok siedziała śliczna, wystraszona, lecz rozpaczliwie usiłująca zachować spokój brunetka o rysach twarzy tak regularnych jak modelka magazynu mody. Nazywała się, co powiedziała mu, gdy tylko statek osiągnął prędkość ucieczki — gorączkowo usiłowała rozładować napięcie rozmawiając z kimkolwiek na dowolny temat — nazywała się Anne Hawthorne. Mogła się uchylić od służby, stwierdziła nieco rzewnie, ale nie uczyniła tego. Wierzyła, że to jej patriotyczny obowiązek.

— Jak mogła pani tego uniknąć? — spytał z zaciekawieniem.

— Szmery w sercu — powiedziała Anne. — I arytmia, skurczowa tachykardia.

— A co z niemiarowością przedsionków i komór, przedsionkową tachykardią, migotaniem przedsionków, rzadko-skurczem i skurczeniu nocnym? — spytał Barney, który w swoim czasie — bez rezultatów — poszukiwał u siebie tych objawów.

— Mogłam okazać dokumenty ze szpitali, poświadczone przez lekarzy i towarzystwo ubezpieczeniowe.

Zmierzyła go spojrzeniem i dodała z zainteresowaniem:

— Wygląda na to, że pan mógł się wywinąć, panie Payerson.

— Mayerson. Zgłosiłem się na ochotnika, panno Hawthorne.

Nie mogłem się wywinąć, w każdym razie nie na długo, pomyślał.

— Ludzie w koloniach są bardzo religijni. Przynajmniej tak słyszałam. Jakiego jest pan wyznania, panie Mayerson?

— Hmm — rzekł zbity z tropu.

— Myślę, że powinien się pan namyślić, zanim się tam znajdziemy. Oni o to pytają i oczekują, że się będzie uczestniczyć w nabożeństwach. Głównie chodzi o ten narkotyk... no, wie pan. Can-D. Spowodował, że wielu nawróciło się na którąś z uznanych religii... Chociaż większość kolonistów znajduje w samym narkotyku wystarczającą ekstazę religijną. Mam krewnych na Marsie. Pisują do mnie, więc wiem. Lecę do Fineburg Crescent, a pan?

Ja pod prąd, pomyślał.

— Tak samo — rzekł głośno.

— Może znajdziemy się w tym samym baraku — powiedziała Anne Hawthorne z zamyślonym wyrazem ślicznej twarzy. — Należę do zreformowanego

odłamu Kościoła Nowoamerykańskiego, Nowochrześcijańskiego Kościoła Stanów Zjednoczonych i Kanady. Nasze tradycje sięgają daleko w przeszłość: w roku 300 nasi pradziadowie mieli biskupów, którzy uczestniczyli w synodzie we Francji. Nie odłączyliśmy się od innych kościołów tak późno, jak się uważa. Tak więc widzi pan, że mamy pochodzenie apostołskie.

Uśmiechnęła się do niego poważnie i przyjaźnie.

— Wierzę w to — rzekł Barney. — Naprawdę. Cokolwiek to znaczy.

— W Fineburg Crescent jest nowoamerykański kościół misyjny, a więc i proboszcz, ksiądz. Mam nadzieję, że będę mogła chodzić do komunii przynajmniej raz na miesiąc. I spowiadać się dwa razy do roku, jak powinniśmy, jak to robiłam na Ziemi. Nasz kościół uznaje wiele sakramentów... czy przyjął pan któryś z dwóch Najświętszych Sakramentów, panie Mayerson?

— Hmm... — zastanowił się Barney.

— Chrystus nakazał, abyśmy przestrzegali przyjmowania dwóch sakramentów — wyjaśniała cierpliwie Anne Hawthorne. — Chrztu z wody i Komunii Świętej. Tego ostatniego na Jego pamiątkę... a początek temu dała Ostatnia Wieczerza.

— Och. Ma pani na myśli chleb i wino.

— Wie pan, że zażycie Can-D powoduje przeniesienie — jak to nazywają — biorącego w inny świat. Oczywiście w pojęciu świeckim, ponieważ tylko czasowo i do świata fizycznego. Chleb i wino...

— Przykro mi, panno Hawthorne — rzekł Barney — ale nie wierzę w tę sprawę z ciałem i krwią. To dla mnie zbyt mistyczne.

Za bardzo oparte na nie dowiedzionych przesłankach, pomyślał. Jednak miała rację. Religia, dzięki Can-D, zyskała wielu wyznawców na skolonizowanych księżycach i planetach i z pewnością się z tym zetknie, tak jak powiedziała Anne.

— Zamierza pan spróbować Can-D? — spytała.

— Pewnie.

— Wierzy pan w to — powiedziała Anne. — A jednak wie pan, że Ziemia, na którą pana przenosi, nie jest prawdziwa.

— Nie chcę się spierać — powiedział — ale ma się wrażenie, że jest. To mi wystarczy.

— Tak samo realne są sny.

— Ale to jest od nich silniejsze — stwierdził. — Wyraźniejsze. I pomaga... — omal nie powiedział „komunikować”. — Pomaga porozumieć się z innymi, którzy też biorą narkotyki. A więc nie może to być tylko złudzenie. Sny są doznaniem jednostkowym; dlatego uważamy je za złudzenie. Jednak Perky Pat...

— Chciałabym dowiedzieć się, co o tym wszystkim myślą ludzie, którzy produkują zestawy Perky Pat — powiedziała w zadumie Anne.

— Mogę pani powiedzieć. Dla nich to tylko interes. Zapewne taki sam, jak produkcja wina mszalnego i opłatków dla...

— Jeśli zamierza pan spróbować Can-D — przerwała mu Anne — i pokładać w nim nadzieję nowego życia, to może zdołam pana namówić na chrzest i bierzmowanie w Nowoamerykańskim Kościele Chrześcijańskim? Tak, aby mógł pan stwierdzić, czy pańska wiara zasługuje na takie próby? A może wybierze pan Pierwszy Zreformowany Kościół Chrześcijański Europy, którego wyznawcy również uznają dwa Najświętsze Sakramenty. Jeśli raz przyjmie pan Komunię Świętą. . .

— Nie mogę — powiedział.

Wierzę w Can-D, pomyślał i - jeśli będzie trzeba — w Chew-Z. Możesz sobie wierzyć w coś, co liczy dwadzieścia jeden wieków. Ja będę się trzymał czegoś nowego. Tak to jest.

— Szczerze mówiąc — powiedziała Anne — zamierzam spróbować nawrócić jak najwięcej kolonistów zażywających Can-D na nasze tradycyjne praktyki chrześcijańskie. Oto główny powód, dla którego nie przedstawiłam komisji papierów, które zwolniłyby mnie z obowiązku służby.

Posłała mu miły uśmiech, który sprawił mu mimowolną przyjemność.

— Czy to źle? Powiem szczerze: myślę, że zażywanie Can-D jest u tych ludzi objawem pragnienia powrotu do tego, co my, wyznawcy. . .

— Myślę — powiedział łagodnie Barney — że powinna ich pani zostawić w spokoju.

I mnie też, pomyślał. I tak mam dosyć kłopotów. Nie pogarszaj sytuacji dodatkowo fanatyzmem religijnym. Jednak dziewczyna nie wyglądała tak, jak obrażał sobie religijną fanatyczkę, ani nie mówiła jak taka. Barney był zdziwiony. Gdzie nabrała takich silnych, trwałych przekonań? Mógł wyobrazić sobie, że spotyka się je w koloniach, gdzie ich potrzebowano, ale ona nabrała ich na Ziemi.

A więc istnienie Can-D, doświadczenia grupowego przeniesienia, nie wyjaśniały tego w pełni. Może, pomyślał, może to stopniowa zmiana Ziemi w piekielną, spaloną pustynię, zmiana, którą każdy z nich mógł przewidzieć — do diabła, nawet doświadczyć! — była tego powodem. Obudziła nadzieję nowego życia w innych warunkach.

Ja, myślał, jednostka, którą byłem, Barney Mayerson z Ziemi, który pracował dla P. P. Layouts i mieszkał w eleganckiej mieszkalni o nieprawdopodobnie niskim numerze 33. . . Ta osoba nie żyje, jest skończona, jakby starta gąbką z tablicy.

Czy mi się to podoba, czy nie, narodziłem się powtórnie.

— Życie kolonisty na Marsie — powiedział — nie będzie takie, jak życie na Ziemi. Może kiedy już tam będę. . .

Umilkł. Zamierzał powiedzieć: może wtedy będę bardziej zainteresowany dogmatami twojego kościoła. Jednak na razie nie mógł tego jeszcze powiedzieć, nawet jako przypuszczenia. Buntował się przeciw idei obcej jego dotychczasowym poglądom. A jednak. . .

— No, proszę — rzekła Anne Hawthorne. — Niech pan dokończy.

— Porozmawiamy o tym — rzekł Barney — kiedy już trochę pomieszkam w baraku na powierzchni obcej planety. Kiedy zacznę nowe życie, jeśli można to nazwać życiem, jako kolonista.

W jego głosie była gorycz. Zdziwiło go to. Ta gwałtowność... graniczyła z udręką, uświadomił sobie ze wstydem.

— Dobrze — powiedziała spokojnie Anne. — Będę rada.

Potem siedzieli obok siebie w milczeniu. Barney czytał gazetę, a Anne Hawthorne, fanatyczka i przysłała misjonarka na Marsie, czytała książkę. Barney zerknął na tytuł i stwierdził, że to publikacja Erica Ledermana traktująca o życiu w koloniach: *Pielgrzym bez drogi*. Bóg wie, gdzie udało się jej to dostać. Książka była zakazana przez ONZ i niezwykle trudna do zdobycia. I czytanie jej tu, na pokładzie statku ONZ, było aktem niezwyklej odwagi. Barney był pod wrażeniem.

Zerkając na dziewczynę stwierdził, że jest nieodparcie atrakcyjna, chociaż odrobinę zbyt szczupła, bez makijażu, a większość gęstych, ciemnych włosów zasłaniała okrągłym, białym czepkiem. Doszedł do wniosku, że wyglądała, jakby ubrała się na długą podróż, która ma zakończyć się w kościele. W każdym razie podobał mu się jej sposób mówienia, jej współczujący, modulowany głos. Może spotkają się jeszcze na Marsie?

Uświadomił sobie, że chce tego. Prawdę mówiąc — czy było to coś niewłaściwego? — miał nawet nadzieję, że będą kiedyś współuczestnikami ceremonii zażywania Can-D.

Tak, pomyślał, to niewłaściwe, ponieważ wiem, czego chcę, co oznaczałoby dla mnie wspólne z nią przeniesienie.

Mimo to miał nadzieję, że do tego dojdzie.

Rozdział 8

Wyciągając dłoń Norm Schein rzekł serdecznie:

— Cześć, Mayerson. Jestem przewodniczącym komitetu powitalnego z naszego baraku. Witamy... hmm... na Marsie.

— Ja nazywam się Fran Schein — powiedziała jego żona, również wymieniając z nim uścisk dłoni. — Mamy tu bardzo porządny, trwały barak. Myślę, że nie uzna pan go za wyjątkowo okropny.

I dodała do siebie:

— Tylko przeciętnie.

Uśmiechnęła się, ale Mayerson nie odwzajemnił się uśmiechem; był ponury, zmęczony i przygnębiony, jak większość kolonistów rozpoczynających życie, które — jak wiedzieli — było trudne i w zasadzie bezsensowne.

— Niech pan nie oczekuje, że zaczniemy wszystko wychwalać — oświadczyła. — To należy do ONZ. My tu jesteśmy tylko ofiarami, tak samo jak pan. Tyle że już tu trochę jesteśmy.

— Nie maluj tego w tak czarnych barwach — powiedział ostrzegawczo Norm.

— Przecież tak jest — zaprotestowała Fran. — Pan Mayerson widzi to; nie przełknie żadnych bajeczek. Prawda, panie Mayerson?

— Może w tej chwili przydałoby mi się trochę złudzeń — rzekł Barney siadając na metalowej ławce przy wejściu do baraku. Pług piaskowy, który go tu przywiózł, wyładowywał tymczasem jego rzeczy; spoglądał na to obojętnie.

— Przepraszam — powiedziała Fran.

— Można zapalić?

Barney wyjął paczkę ziemskich papierosów; Scheinowie spojrzeli na nie łaskomie, więc z poczuciem winy poczęstował ich.

— Przybył pan w trudnym okresie — wyjaśnił Norm Schein. — Właśnie byliśmy w trakcie debaty.

Spojrzał na pozostałych.

— Ponieważ jest pan już mieszkańcem baraku, nie widzę powodu, dlaczego nie miałby pan wziąć w niej udziału; w końcu pana to też dotyczy.

— Może on... — zaczął Tod Morris — no, wiesz. Wygada.

— Możemy zażądać, aby przyrzekł, że dochowa tajemnicy — powiedział Sam Regan, a jego żona Mary przytaknęła mu. — Nasza dyskusja, panie Geyerson. . .

— Mayerson — poprawił Barney.

— . . . dotyczy narkotyku Can-D, który jest naszym starym, sprawdzonym środkiem przenoszącym, i jego wartości wobec nowszego, nie wypróbowanego środka, czyli Chew-Z; zastanawialiśmy się, czy odrzucić Can-D na zawsze. . .

— Zaczekaj, aż będziemy na dole — rzekł Norm Schein marszcząc brwi.

Usadowiwszy się na ławce obok Barneya Mayersona, Tod Morris powiedział:

— Z Can-D koniec; zbyt trudno go dostać, kosztuje zbyt wiele skinów, a ośobiście jestem zmęczony Perky Pat: zanadto sztuczna, zanadto powierzchowna i materialistyczna. . . och, przepraszam, to nasze słowo na. . . — Próbował znaleźć odpowiednie wyjaśnienie. — No, te apartamenty, samochody, opalanie się na plaży, wystrzałowe ciuchy. . . cieszyły nas przez jakiś czas, ale to za mało w jakiś niematerialistyczny sposób. Rozumie pan to, Mayerson?

— W porządku, ale Mayerson nie ma o tym pojęcia — rzekł Norm Schein. — Nie ma jeszcze dosyć. Może zechce przejść przez to wszystko.

— Tak jak my — zgodził się Frank. — W każdym razie jeszcze nie głosowaliśmy; nie postanowiliśmy, co będziemy od tej pory kupować i zażywać. Myślę, że powinniśmy pozwolić panu Mayersonowi spróbować jednego i drugiego. A może już pan próbował, panie Mayerson?

— Próbowałem — rzekł Barney — ale dawno temu. Zbyt dawno, abym to dobrze pamiętał.

Dał mu to Leo obiecując mu więcej, dużo, ile zechce. Jednak Barney odmówił; nie zasmakował w tym.

— Obawiam się, że to dość niefortunne powitanie — rzekł Norm Schein. — Wplątujemy pana w nasze spory. Jednak skończyły nam się zapasy Can-D, musimy je odnowić albo przejść na Chew-Z. Oczywiście Impy White, dostarczająca Can-D, naciska nas, żebyśmy znów złożyli zamówienie u niej. . . do wieczora musimy coś postanowić. Decyzja będzie miała wpływ na nas wszystkich. . . na całe nasze życie.

— A więc może pan się cieszyć, że nie przybył pan jutro — powiedziała Fran — po głosowaniu.

Dodała mu otuchy uśmiechem, chcąc, by poczuł się swojsko; tak mało mieli mu do zaoferowania oprócz wzajemnej więzi, poczucia bliskości, które teraz rozciągało się i na niego.

Co za miejsce, myślał Barney Mayerson. Reszta mojego życia. . . wydawało się to niemożliwe, a jednak to co mówili, było prawdą. Przepisy ONZ nie przewidywały możliwości zwolnienia ze służby. I z tym faktem trudno było się pogodzić. Ludzie tu stanowili kolektyw, do którego on miał należeć. . . i wiedział, że mogło być gorzej. Dwie z kobiet były dość atrakcyjne i wydawało mu się, że okazywały, jak by to powiedzieć, zainteresowanie; wyczuwał skomplikowane zależności

wzajemnych stosunków, jakie wytworzyły się w zatłoczonym, ciasnym baraku. Jednak...

— Wydostać się — powiedziała doń cicho Mary Regan, siadając na ławce obok Toda Morrisa — można tylko dzięki jednemu lub drugiemu narkotykowi. W inny sposób, jak pan widzi — położyła mu rękę na ramieniu; pierwszy kontakt fizyczny — jest to niemożliwe. Skończylibyśmy zabijając się wzajemnie z powodu męki.

— Tak — powiedział. — Rozumiem.

Jednak nie dowiedział się tego po przybyciu na Marsa; jak każdy Ziemianin wiedział o tym od dawna, słyszał dość o życiu w koloniach, o zmaganiach z pokusą skończenia ze wszystkim.

Nic dziwnego, że tak zawzięcie opierano się poborowi do służby. To była walka o życie.

— Wieczorem — powiedziała mu Mary Regan — otrzymamy któryś z tych dwóch narkotyków; Impy będzie tu około siódmej czasu Fineburg Crescent. Do tej pory musimy się zdecydować.

— Myślę, że możemy już głosować — rzekł Norm Schein. — Widzę, że pan Mayerson, mimo iż dopiero co przybył, jest przygotowany. Mam rację, panie Mayerson?

— Tak — odparł Barney.

Ług piaskowy zakończył wyładunek jego rzeczy; leżały bezładnie na piasku, który już zaczął je zasypywać; jeśli nie zostaną szybko zniesione na dół, znikną niebawem pod warstwą pyłu. Do diabła, pomyślał, może i dobrze by było. Więzy z przeszłością...

Inni mieszkańcy baraku przyszli mu z pomocą, przekazując sobie walizki z ręki do ręki i kładąc na pas transmisyjny przenoszący bagaż pod powierzchnię. Nawet jeśli Barney nie był zainteresowany zachowaniem swoich rzeczy, oni byli; przewyższali go doświadczeniem.

— Musi pan się nauczyć żyć tu z dnia na dzień — powiedział doń współczująco Sam Regan. — Niech pan nigdy niczego nie planuje. Co najwyżej do pory obiadowej lub do wieczora; małe okresy czasu, małe obowiązki i przyjemności. Ucieczka od rzeczywistości.

Odrzucając papierosa Barney sięgnął po najcięższą ze swoich walizek.

— Dzięki.

To była cenna rada.

— Przepraszam — rzekł z uprzejmą godnością Sam Regan i podniósł niedopałek, by wypalić go do końca.

Zasiadłszy w sali na tyle dużej, aby ich wszystkich pomieścić, wszyscy mieszkańcy baraku, z Barneyem Mayersonem włącznie, szykowali się do głosowania.

Według czasu Fineburg Crescent była szósta. Wspólny — zgodnie ze zwyczajem — wieczorny posiłek właśnie się skończył; maszyna myła i suszyła naczynia. Barneyowi wydawało się, że nikt już nie ma nic do roboty; ciążyło im brzemie wolnego czasu.

Przeliczywszy głosy Norm Schein oznajmił:

— Cztery za Chew-Z, trzy za Can-D. Taka więc jest decyzja. Dobrze, kto weźmie na siebie przekazanie złych wiadomości Impy White? — rozejrzał się wokół. — Ona nie będzie zadowolona; musimy być na to przygotowani.

— Ja jej powiem — rzekł Barney.

Trzy pary zamieszkujące barak spojrzały na niego ze zdumieniem.

— Przecież nawet jej nie znasz — zaprotestowała Fran Schein.

— Powiem, że to moja wina — rzekł Barney — że to ja przeważyłem szalę na korzyść Chew-Z.

Wiedział, że mu pozwolą; zadanie było niewdzięczne.

Pół godziny później czekał w mroku u wylotu wejścia do baraku, paląc papierosa i wsłuchując się w obce odgłosy marsjańskiej nocy.

W oddali po niebie przemknął jakiś świecący obiekt, na moment zasłaniając gwiazdy. W chwilę później usłyszał silniki hamujące. Wkrótce, pomyślał; czekał z rękami założonymi na piersiach, mniej więcej rozluźniony, powtarzając w myślach to, co zamierzał powiedzieć.

W końcu pojawiła się przed nim przysadzista kobieta ubrana w ciężki kombinezon.

— Schein? Morris? A więc Regan? — Wyteżała wzrok, używając reflektora na podczerwień. — Nie znam cię!

Zatrzymała się w bezpiecznej odległości.

— Mam pistolet laserowy — ostrzegła, celując w Barneya. — Mów, o co chodzi.

— Odejdźmy dalej, tak żeby nie słyszano nas w baraku — rzekł Barney.

Impatience White poszła za nim zachowując ostrożność i groźnie mierząc w niego z pistoletu. Wzięła od niego kartę identyfikacyjną i przeczytała ją przy świetle reflektora.

— Pracowałeś u Bulero — powiedziała, przyjrzawszy mu się uważnie. — No więc?

— No więc — powiedział — mieszkańcy Chicken Pox Prospect przechodzą na Chew-Z.

— Dlaczego?

— Po prostu przyjmij to do wiadomości i nie naciskaj dalej. Możesz to sprawdzić z Leo w P.P. Layouts albo przez Connera Freemana na Wenus.

— Zrobię to — powiedziała Impatience. — Chew-Z to śmiecie; jest uzależniająco, toksyczny, a co najgorsze, wywołuje fatalne, eskapistyczne sny, nie o Ziemi, ale o... — Zrobiła gest uzbrojoną w pistolet ręką. — Groteskowe, wymyślne

koszmary infantylnego, całkowicie rozkojarzonego typu. Wyjaśnij mi powody tej decyzji.

Nic nie powiedział, wzruszył tylko ramionami. Jednak zainteresowało go jej oddanie dla Can-D; ubawiło go to. Pomyślał, że jej fanatyzm jest krańcowo przeciwny natury niż ten, który reprezentowała owa misjonarka na pokładzie transportowca Ziemia-Mars. Widocznie charakter przekonań nie ma wpływu na ich głębię; nigdy sobie tego nie uświadamiał.

— Zobaczmy się jutro o tej samej porze — zdecydowała Impy White. — Jeśli mówisz prawdę, to w porządku. Ale jeśli nie...

— A jeśli nie, to co? — spytał powoli, z naciskiem. — Zmusisz nas do zażywania twojego produktu? Koniec końców jest zakazany; moglibyśmy poprosić ONZ o ochronę.

— Jesteś tu nowy. — Zmarszczyła się groźnie. — ONZ zdaje sobie doskonale sprawę z rozmiarów handlu Can-D w tym rejonie; płacę im regularnie, żeby mi nie przeszkadzali. A jeśli chodzi o Chew-Z... — Znów wykonała gest ręką uzbrojoną w pistolet. — Jeśli ONZ ma zamiar ich chronić i przejąć nasz rynek...

— Wtedy przejdziesz do nich — rzekł Barney.

Nie odpowiedziała; odwróciła się i odeszła. Jej niska postać niemal natychmiast wtopiła się w marsjańską noc. Barney pozostał tam, gdzie był; dopiero po chwili wrócił do baraku, orientując się według zaparkowanej w pobliżu ogromnej maszyny nakrytej pokrowcem i najwyraźniej od dawna nie używanej.

— Tak? — spytał Norm Schein, który, ku jego zdziwieniu, czekał nań przy wejściu. — Przyszedłem zobaczyć, ile dziur wywierciła panu w czaszce.

— Przyjęła to filozoficznie.

— Impy White? — zaśmiał się Norm Schein. — Ona kieruje interesem wartym miliony skinów. „Filozoficznie”. Gówno prawda. Co się naprawdę stało?

— Wróci, kiedy dostanie instrukcje z góry — odparł Barney.

Zaczął schodzić na dół.

— Taak, to brzmi rozsądnie; ona jest tylko płotką. Leo Bulero, na Ziemi...

— Wiem — przerwał mu Barney. Nie widział powodu, by ukrywać swoje dotychczasowe zajęcia; i tak był dobrze znany, więc koloniści prędzej czy później na to wpadną. — Byłem jego konsultantem-prognostykiem na Nowy Jork.

— I głosował pan za przejściem na Chew-Z? — spytał z niedowierzaniem Norm Schein. — Poróżnił się pan z Bulero, prawda?

— Kiedyś panu opowiem.

Doszedł do końca rampy i wszedł do sali, w której czekali inni.

— Jednak nie przysmażyła pana tym laserowym pistolecikiem, którym wciąż wymachuje — powiedziała z ulgą Fran Schein. — Musiał pan zrobić na niej dobre wrażenie.

— Czy pozbyliśmy się jej? — spytał Tod Morris.

— Dowiemy się jutro wieczorem — rzekł Barney.

— Uważamy, że jest pan bardzo odważny — powiedziała mu Mary Regan. — Będzie pan dobrym nabytkiem dla naszego baraku, Mayerson. Chciałam powiedzieć — Barney. Mówiąc metaforycznie, będziesz ożywczym podmuchem dla naszego zatęchłego morale.

— No, no — zakpiła Helen Morris — czy nie jesteśmy trochę nieelegancy w tym gorączkowym dążeniu, by wyrzucić wrażenie na naszym nowym obywatelu?

— Wcale nie zamierzałam wywierać na nim wrażenia — powiedziała Mary Regan, czerwieniąc się.

— A więc pochlebić mu — powiedziała łagodnie Fran Schein.

— Ty też — powiedziała Mary ze złością. — Ty pierwsza rzuciłaś się na niego, jak tylko tu przyszedł; w każdym razie miałaś na to ochotę i zrobiłabyś to, gdyby nas tu nie było. Szczególnie gdyby nie było tu twojego męża.

Norm Schein odezwał się, chcąc zmienić temat rozmowy:

— Szkoda, że nie możemy się dziś przenieść, skorzystać po raz ostatni z zestawu starej, dobrej Perky Pat. Barneyowi mogłoby się to spodobać. Przynajmniej wiedziałby, przeciw czemu głosował.

Obrzucił ich znaczącym spojrzeniem, przypatrując się każdemu z osobna.

— No już... na pewno k t o ś z was ma trochę schowanego Can-D, wepchniętego w szparę w ścianie albo pod zbiornik z wodą. No, bądźcie szczodrzy dla nowego obywatela, pokażcie mu, że...

— W porządku — wybuchła Helen Morris, zarumieniona ze złości. — Mam trochę, wystarczy na trzy kwadransy. Jednak to wszystko, co mam, a jeśli Chew-Z nie będzie tak od razu rozprowadzany na naszym obszarze?

— Przynieś swój Can-D — powiedział Norm. I rzucił za odchodzącą: I nie martw się; Chew-Z będzie sprzedawany. Dzisiaj, kiedy odbierałem worek soli z tego ostatniego zrzutu ONZ, spotkałem handlarza. Dał mi tę kartę.

Pokazał ją zebrany.

— Wystarczy, że o wpół do ósmej wieczorem wystrzelimy zwykłą racę z azotanu strontu, a natychmiast przylecą tu z satelity...

— Z satelity! — rozległ się chór zdumionych głosów.

— A więc — powiedziała podekscytowana Fran — muszą mieć aprobatę ONZ. Może mają już wytwórnię i prezynterzy reklamują już z satelity ich zestawy?

— Nie wiem — przyznał Norm.- Chcę powiedzieć, że na razie panuje ogólne zamieszanie. Zaczekajmy, aż kurz opadnie.

— Tu, na Marsie — powiedział tępo Sam Regan — kurz nigdy nie osiada.

Siedzieli kołem. Przed nimi zestaw Perky Pat, skomplikowany i zapraszający; wszyscy czuli jego zew i Norm Schein pomyślał, że to szczególna okazja, po-

nieważ już nigdy nie będą tego robić... chyba, żeby użyli zestawu Perky Pat po zażyciu Chew-Z. Zastanawiał się, jaki byłby rezultat. Ciekawe...

Miał dziwne wrażenie, że nie byłoby to to samo.

I że rezultat mógłby się im nie spodobać.

— Rozumiesz — powiedział Sam Regan do nowego członka społeczności, Barneya Mayersona — zamierzamy spędzić okres przeniesienia słuchając i patrząc w animator książek... no, wiesz, to urządzenie niedawno sprowadzone z Ziemi... Z pewnością znasz się na tym lepiej niż my, Barney, więc może mógłbyś to nam wytłumaczyć.

Barney zaczął posłusznie:

— Wkłada się jedną z książek, na przykład „Moby Dicka”, do zasobnika. Później nastawia się kontrolki na czas długi lub krótki. Potem wersję; śmieszna, taką samą jak w książce lub smutną. Następnie nastawia się wskaźnik podziałki na nazwisko wielkiego artysty — klasyka, w którego stylu chcecie ożywić książkę. Dali, Bacon, Picasso... średniej klasy animator ma zakres możliwości sięgający od komiksu do kilkunastu uznanych artystów; wybieracie ich sobie, kiedy kupujecie urządzenie. Istnieje też możliwość późniejszego rozbudowania animatora.

— Niesamowite — rzekł Norm Schein promieniejąc entuzjazmem. — A więc można sobie zapewnić rozrywkę na cały wieczór, na przykład smutną wersję *Komedii pomyłek* w stylu Jacka Wrighta. Hej!

Fran powiedziała z rozmarzonym westchnieniem:

— Jaki wpływ na twoją duszę musiało wyrzucić to, że do tak niedawna żyłeś na Ziemi. Wydaje się, że wciąż tym emanujesz.

— O rany, odczujemy to samo — rzekł Norm Schein — kiedy się przeniesiemy.

Niecierpliwie sięgnął po skąpy zapas Can-D.

— Zaczynamy — powiedział i wzięwszy swój kawałek zaczął go energicznie żuć. — Książką, którą mam zamiar ożywić jako pełnometrażową, śmieszna wersja rysunkowa w stylu De Chirico, będzie... — zawahał się — ...hmm, *Medytacje Marka Aureliusza*.

— Bardzo pomysłowe — przycięła mu Helen Morris. — Zamierzałam zaproponować *Wyznanie* świętego Augustyna w stylu Lichtensteina... oczywiście w zabawnej wersji.

— Mówię poważnie! Wyobraź sobie: surrealistyczny krajobraz, opuszczone, zrujnowane budynki z doryckimi kolumnami leżącymi na bruku, głowy...

— Lepiej żeby wszyscy zaczęli już żuć — poradziła Fran biorąc swój kawałek — żebyśmy przenieśli się jednocześnie.

Barney wziął swój kawałek. Koniec z tym, rozmyślał żując, w tym baraku zażywa się to po raz ostatni, a czym zostanie zastąpione? Jeśli Leo ma rację, to czymś o wiele gorszym, wręcz nieporównywalnie gorszym niż Can-D. Oczywiście, Leo z pewnością nie jest bezstronny. Jednak jest zewoluowany. I mądry.

Zminiaturyzowane przedmioty, które niegdyś zatwierdziłem, uświadomił sobie Barney. Za chwilę znajdę się w świecie złożonym z produktów P.P. Layouts i zmniejszę się do ich rozmiarów. I w przeciwieństwie do pozostałych kolonistów, będę mógł porównać swoje wrażenia z tym, co dopiero zostawiłem za sobą.

A niedługo, uświadomił sobie, będę musiał spróbować i z Chew-Z.

— Odkryjesz, że to dziwne uczucie — powiedział mu Norm Schein — znaleźć się w czyimś ciele razem z trzema innymi facetami; wszyscy musimy uzgodnić, co chcemy robić, a w każdym razie zdecydować większością głosów, inaczej ciało nie poruszy się nawet.

— Co się zdarza — rzekł Tod Morris. — Prawdę mówiąc, dość często.

Jeden po drugim pozostali zaczęli żuć swoje kawałki Can-D; Barney Mayer-son jako ostatni i nieco opornie. Ach, do diabła, pomyślał sobie nagle i przeszedłszy przez pokój wypluł nieprzeżutą porcję Can-D do zlewu.

Pozostali, siedząc wokół zestawu Perky Pat, już zapadli w trans i nikt nie zwracał na niego uwagi. Nagle został sam. Na jakiś czas barak należał do niego.

Krążył po pokoju, przytłoczony świadomością panującej wokół ciszy.

Po prostu nie mogę tego zrobić, uzmysłowił sobie. Nie mogę zażyć tego paskudztwa, tak jak oni. Przynajmniej jeszcze nie.

Nagle zadzwonił dzwonek.

Ktoś stał przed wejściem do baraku, prosząc o zezwolenie na wejście do środka; decyzja należała do Barneya. Ruszył do góry mając nadzieję, że dobrze robi, że nie jest to jedna z rutynowych kontroli ONZ; niewiele mógłby wtedy zrobić, aby nie dopuścić do odkrycia, w jakim stanie są pozostali mieszkańcy baraku, i zdemaskowania ich jako zażywających Can-D.

Przed wejściem, z latarką w ręce, stała młoda kobieta w grubym izotermicznym kombinezonie, do którego wyraźnie nie była przyzwyczajona; wydawała się skrępowana.

— Halo, panie Mayerson! — powiedziała. — Pamięta mnie pan? Wytropiłam pana, ponieważ czuję się po prostu okropnie samotna. Mogę wejść?

Była to Anne Hawthorne; spojrział na nią ze zdumieniem.

— Czy też jest pan zajęty? Mogę przyjść kiedy indziej.

Obróciła się, zamierzając odejść.

— Widzę — powiedział — że Mars był dla ciebie ogromnym szokiem.

— Wiem, że to grzech — odparła Anne — ale już go nienawidzę; naprawdę. Wiem, że powinnam się nauczyć cierpliwie znosić i tak dalej, ale... — Omiotła promieniem latarki piaski wokół baraku i drżącym, zrozpaczonym głosem powiedziała: — Pragnę teraz tylko znaleźć jakąś drogę powrotną na Ziemię; nie chcę nikogo nawracać i niczego zmieniać. Po prostu chcę się stąd wydostać.

I dodała ponuro:

— Jednak wiem, że to niemożliwe. Więc zamiast tego pomyślałam, że odwiedzę pana. Rozumie pan?

Wziąwszy ją za rękę sprowadził rampą na dół, do pomieszczenia, które mu przydzielono.

— Gdzie pozostali? — Rozejrzała się wokół.

— Nieobecni.

— Wyszli? — Otworzyła drzwi do salki i zobaczyła leżących wokół zestawu.

— Ach, tak. A pan się nie przyłączył.

Zamknęła drzwi i zmarszczyła brwi, wyraźnie zakłopotana.

— Zadziwia mnie pan. Ja czuję się tak, że chętnie zażyłabym trochę Can-D. A pan tak dobrze to znosi w porównaniu ze mną. Jestem taka... nieprzystosowana.

— Może mam lepszą motywację niż pani — powiedział Barney.

— Ja mam świetną motywację — Anne zdjęła niezgrabny kombinezon i usiadła, podczas gdy on zaczął robić kawę dla obojga. — Ludzie w moim baraku — to kilometr na północ stąd — też są nieobecni, w taki sam sposób. Czy pan wiedział, że jestem tak blisko? Szukałby mnie pan?

— Pewnie.

Znalazł plastikowe, paskudnie zdobione filiżanki i spodki, po czym postawił je na składanym stoliku i dosunął krzesła, również składane.

— Może — powiedział — Bóg nie sięga aż na Marsa. Może opuszczając Ziemię...

— Nonsens — powiedziała ostro Anne, na wpół podnosząc się z krzesła.

— Myślałem, że w ten sposób uda mi się panią rozzłościć.

— Oczywiście. On jest wszędzie. Nawet tu.

Zerknęła na jego częściowo rozpakowane rzeczy, na walizki i zapieczętowane kartony.

— Nie zabrał pan ze sobą wiele, prawda? Większość mojego bagażu jest jeszcze w drodze; przyleci automatycznym transportem.

Podeszła do sterty książek i zaczęła studiować tytuły.

— *De Imitatione Christi* — powiedziała ze zdumieniem. — Czytuje pan Tommasza á Kempisa? To wielka i wspaniała książka.

— Kupiłem ją — odrzekł — ale nigdy jej nie przeczytałem.

— A próbował pan? Założę się, że nie. Otworzyła ją na chybił trafił i zaczęła czytać.

— „Uznaj, iż nawet najmniejszy dar, który od niego jest dany, wielkim jest; a najgorsze z przypadków przyjmuj jako specjalne dary i oznaki jego miłości”. To dotyczyłoby też naszego życia tu, na Marsie, prawda? To nędzne życie, zamknięte w tych... barakach. Dobra nazwa, no nie? Dlaczego na miłość boską... — odwróciła się, patrząc na niego błagalnie — ...dlaczego to nie może być jakiś określony okres, po którym się wraca do domu?

— Zgodnie ze swą definicją — odparł Barney — kolonia musi być czymś stałym. Niech pani pomyśli o Roanoke.

— Tak — kiwnęła głową Anne. — Myślałam. Chciałabym, żeby Mars był jedną wielką wyspą Roanoke i wszyscy mogli wrócić do domu.

— Aby się wolno usmażyć.

— Możemy zewoluować, jak to robią bogaci; można by to zrobić na skalę masową.

Gwałtownie odłożyła książkę.

— Jednak tego też nie chcę; tej chitynowej skorupy i całej reszty. Czy jest jakieś wyjście? Wie pan co, neochrześcijanie uczą się wierzyć, że są podróżnymi w obcej krainie. Wędrowcami. Teraz naprawdę nimi jesteśmy; Ziemia przestaje być naszym naturalnym środowiskiem, a ten świat z pewnością nigdy się nim nie stanie. Zostaliśmy bez ojczyzny! — Spojrzała nań, jej nozdrza rozszerzyły się. — Nie mamy domu!

— No — rzekł niechętnie — zawsze pozostaje Can-D i Chew-Z.

— Ma pan trochę?

— Nie.

Pokiwała głową.

— Zatem z powrotem do Tomasza á Kempis.

Jednak nie wzięła książki do ręki; stała ze spuszczoną głową, pogrążona w ponurych myślach.

— Wiem co będzie, panie Mayerson. Barney. Nie nawrócę nikogo na neochrześcijaństwo; zamiast tego to oni nawrócą mnie na Can-D i Chew-Z i jakikolwiek inny nałóg, jaki będzie tu modny, byle tylko dawał możliwość ucieczki. Jak seks. Tu, na Marsie panują bardzo swobodne stosunki, wiesz? Wszyscy śpią ze wszystkimi. Spróbuję nawet tego; prawdę mówiąc, jestem gotowa zrobić to już teraz... Po prostu nie mogę znieść tego wszystkiego. Czy przyjrzałeś się dobrze okolicy przed zmrokiem?

— Tak.

Jednak nie przygnębiło go to aż tak bardzo, nawet widok zapuszczonych ogródków i zupełnie porzuconego sprzętu czy wielkich stert gnijących środków spożywczych. Z taśm edukacyjnych wiedział, że pogranicze zawsze tak wygląda, nawet na Ziemi; do niedawna Alaska też tak wyglądała, a Antarktyka, oprócz kurortów, wygląda tak nadal.

— Ci koloniści w tamtym pokoju, ze swoim zestawem — powiedziała Anne Hawthorne. — A gdybyśmy zabrali im teraz Perky Pat i rozbili ją na kawałki? Co by się z nimi stało?

— Dalej śniliby swój sen.

Sen już został ustalony; zestawy nie były niezbędne jako czynnik ogniskujący.

— Dlaczego chciałabyś to zrobić?

Był zaskoczony; taki pomysł miał zdecydowanie posmak sadystyczny, a jak do tej pory dziewczyna nie wyglądała mu na zdolną do okrucieństwa.

— Skłonności obrazoburcze — powiedziała Anne. — Mam chęć roztrzaskać ich idoli, którymi są Perky Pat i Walt. Chciałabym to zrobić, ponieważ... — Umilkła na chwilę. — Zazdroszczę im. To nie jest z mojej strony zapał religijny, tylko niskie, zwykłe okrucieństwo. Wiem. Jeśli nie mogę się do nich przyłączyć...

— Możesz. I przyłączysz się. I ja też. Jednak nie od razu.

Podał jej filiżankę kawy; przyjęła ją w zadumie. Bez ciężkiego kombinezonu wydawała się niezwykle szczupła. Barney zauważył, że była niemal równie wysoka jak on; w szpilkach mogła być nawet wyższa. Nos miała dziwny. Zakończony prawie kuliście, nie wyglądał śmiesznie, lecz... swojsko, doszedł do wniosku Barney. W jakiś sposób nasuwał myśl o Ziemi; o anglosaskich i normańskich rolnikach uprawiających swe poletka.

Nic dziwnego, że tak się jej nie podobało na Marsie; jej przodkowie niewątpliwie kochali starą Ziemię, jej smak i zapach, a nade wszystko pamięć minionych dni kryjących się w każdym zakątku, o stworzeniach, które po niej kroczyły i wymarły, by obrócić się — nie w proch, lecz w żyzny humus. No, może uda jej się założyć ogródek tu, na Marsie; może uda jej się zebrać plony tam, gdzie innym kolonistom się nie udało. Dziwne, że była tak okropnie przygnębiona. Czy nowo przybyli zawsze się tak zachowywali? On jakoś nie czuł żalu. Może gdzieś w głębi duszy był przekonany, że uda mu się wrócić na Ziemię. W takim razie to on był chory umysłowo, nie Anne.

— Mam trochę Can-D, Barney — powiedziała nagle Anne. Sięgnęła do kieszeni drelichowych spodni roboczych, model ONZ, i wyjęła małą paczuszkę. — Kupiłam ją niedawno, w moim baraku. Flax Black Spit, tak go nazywają. Kolonista, który mi to sprzedał, wiedział, że w porównaniu z Chew-Z jest bezwartościowe, więc nie wziął dużo. Próbowałam to zażyć... nawet wzięłam do ust. Jednak w końcu, tak samo jak ty, nie mogłam. Czy nędzna rzeczywistość nie jest lepsza od najbardziej interesującej iluzji? A może to jest właśnie iluzja, Barney? Nic nie wiem o filozofii; wyjaśnij mi to, ponieważ wszystko, co wiem, wypływa z moich przekonań religijnych, a to nie pomaga mi zrozumieć. Te narkotyki.

Otworzyła paczuszkę; drżały jej palce.

— Nie mogę dłużej, Barney.

— Zaczekaj — powiedział, odstawiając filiżankę i ruszając ku niej. Jednak było już za późno; już zażyła Can-D. — Nic dla mnie nie zostawiłaś? — spytał, rozbawiony. — Ominie cię najlepsze; nie będziesz miała towarzystwa w czasie przeniesienia.

Wziąwszy ją za ramię wyprowadził z pokoju i pospiesznie zaciągnął korytarzem do salki, w której leżeli tamci; sadzając ją obok zestawu rzekł ze współczuciem:

— W ten sposób będzie to wspólne przeżycie, a o ile wiem, to bardzo pomaga.

— Dzięki — powiedziała sennie.

Zamknęła oczy i ciało jej stopniowo zwiotczało.

Barney uświadomił sobie, że już stała się Perky Pat. W świecie bez kłopotów. Pochylił się i pocałował ją w usta.

— Jestem wciąż przytomna — wymruczała.

— I tak nie będziesz tego pamiętać — rzekł.

— Och, tak, będę — powiedziała słabym głosem Anne Hawthorne. Później odeszła; czuł, jak się oddala. Został sam z siedmioma ciałami i natychmiast wrócił do swojego pokoju, w którym parowały dwie filiżanki kawy.

Mógłbym się zakochać w tej dziewczynie, powiedział do siebie. Nie tak jak w Roni Fugate czy nawet jak w Emily, ale zupełnie inaczej. Lepiej? — zastanawiał się. Czy też kierowała nim po prostu rozpacz? Tak samo jak przed chwilą Anne, która zażyła Can-D, przełknęła go jednym haustem, ponieważ nie było dla niej nic tylko ciemność. To — lub otchłań. I nie na dzień czy tydzień — lecz na wieki. Tak więc muszę się zakochać w tej dziewczynie.

Siedział sam wśród swoich częściowo nie rozpakowanych rzeczy, pijąc kawę i medytując, aż w końcu usłyszał jęki i szmery w salce obok. Jego współmieszkańcy odzyskiwali przytomność. Odstawił filiżankę i poszedł do nich.

— Czemu się wycofałeś, Mayerson? — spytał Norm Schein; potarł czoło i zmarszczył brwi. — Boże, ale mnie boli głowa!

Nagle zauważył Anne Hawthorne; wciąż nieprzytomna, leżała oparta plecami o ścianę, z głową opuszczoną na piersi.

— Kim ona jest?

— Dołączyła do nas pod koniec — powiedziała Fran, niepewnie wstając z podłogi. — To znajoma Mayersona; poznali się w czasie lotu. Jest całkiem miła, tyle że ma religijnego bzika; sami zobaczycie.

Zmierzyła Anne krytycznym spojrzeniem.

— Całkiem niebrzydka. Bardzo byłam ciekawa, jak wygląda. Wyobrażałam sobie, że jest nieco... hmm... poważniejsza.

Podchodząc do Barneya Sam Regan powiedział:

— Namów ją, żeby się z tobą połączyła, Mayerson; z chęcią przegłosujemy przyjęcie jej do baraku. Mamy dużo miejsca, a ty powinieneś mieć — powiedzmy — żonę.

Również przyjrzał się Anne.

— Taak — rzekł. — Śliczna. Ładne, długie, czarne włosy. Podobają mi się takie.

— O, tak — powiedziała uszczypliwie Mary Regan.

— A tak; i co z tego? — Sam Regan odwzajemnił jej się gniewnym spojrzeniem.

— Oświadczyłem się jej — rzekł Barney.

Wszyscy spojrzeli na niego ciekawie.

— To dziwne — powiedziała Helen Morris — bo kiedy byliśmy razem przed chwilą, nic nam o tym nie powiedziała, i z tego, co wiemy, spotkaliście się tylko. . .

Przerywając jej, Fran Schein powiedziała do Barneya:

— Chyba nie chcesz żyć ze stukniętą neochrześcijką. Mamy przykre doświadczenia; w zeszłym roku wyrzuciliśmy taką parę. Tu, na Marsie, mogą sprawić wiele kłopotu. Pamiętaj o tym, że *d z i e l i ł y ś m y m y ś l i . . .* ona jest żarliwą wyznawczynią jakiejś religii, z wszelkimi sakramentami i rytuałami, przestarzonymi ideami; ona w to naprawdę wierzy.

— Wiem — wycedził Barney.

— To prawda, Mayerson, mówię ci — odezwał się spokojnie Tod Morris. — Żyjemy tu zbyt blisko siebie, żeby importować jakikolwiek rodzaj fanatyzmu z Ziemi. To się zdarzało w innych barakach; wiemy, co mówimy. Musimy stosować zasadę „żyj i daj żyć innym”, bez absolutystycznych dogmatów i przekonań; barak jest na to zbyt mały.

Zapalił papierosa i spojrzał na Anne.

— Dziwne, że taka ładna dziewczyna wyznaje takie poglądy. No, to może zdarzyć się każdemu.

Wyglądał na zdziwionego.

— Czy ona cieszyła się z przeniesienia? — zapytał Barney Helen Morris.

— Tak, do pewnego stopnia. Oczywiście, to ją rozstroiło. . . za pierwszym razem to naturalne; nie wiedziała, jak współdziałać w posługiwaniu się ciałem. Jednak bardzo chciała się nauczyć. Teraz ma wszystko dla siebie, więc z pewnością jest jej łatwiej. Nabierze doświadczenia.

Nachyliwszy się Barney Mayerson podniósł laleczkę, Perky Pat w jej żółtych szortach, podkoszulku w biało-czerwone paski i sandałkach. To jest teraz Anne Hawthorne, pomyślał. W pewnym sensie, którego nikt nie rozumie. A jednak mógł zniszczyć tę lalkę, zmiażdżyć ją, a Anne — w swoim wyimaginowanym świecie — nie doznałaby krzywdy.

— Chciałbym się z nią ożenić — rzekł nagle na głos.

— Z kim? — spytał Tod. — Z Perky Pat czy z tą nową dziewczyną.

— Chyba myśli o Perky Pat — powiedział Norm Schein, krzywiąc się szyderczo.

— Z pewnością nie — ucięła ostro Helen. — I myślę, że to dobre; byłyby nas cztery pary zamiast trzech i jednego samotnego, bezprzydziałowego mężczyzny.

— Czy można tu się upić? — spytał Barney.

— Pewnie — rzekł Norm. — Mamy co pić; co prawda tylko imitowany dżin, ale czterdziestoprocentowy; na pewno ci wystarczy.

— Dajcie mi trochę — rzekł Barney, sięgając po portfel.

— Jest darmo. Statki ONZ zrzucają go nam beczkami.

Norm podszedł do zamkniętej szafki, wyjął klucz i otworzył ją.

— Powiedz nam, Mayerson — zapytał Sam Regan — dlaczego chcesz się upić? Czy to przez nas? Przez barak? Przez Marsa?

— Nie.

Nie był to żaden z tych powodów; to miało coś wspólnego z Anną i rozpadem jej osobowości. Jej nagłe zażycie Can-D, będące objawem niezdolności do uwierzenia i pogodzenia się z sytuacją, jej poddanie się. To był omen, który wiązał się i z nim; widział w tym samego siebie.

Jeśli zdoła jej pomóc, może zdoła też pomóc sobie. A jeśli nie...

Miał przeczucie, że jeśli nie, to oboje będą skończeni. Mars, zarówno dla niego jak i dla Anne, będzie oznaczał śmierć. I to zapewne szybko.

Rozdział 9

Po powrocie ze świata Perky Pat do rzeczywistości Anne Hawthorne była milcząca i przygnębiona. To był zły znak; Barney domyślał się, że ona również miała podobne przeczucia. Jednakże nic nie mówiła; po prostu poszła do jego pokoju po swój niezgrabny kombinezon.

— Muszę wracać do Flax Black Spit — wyjaśniła. — Dzięki za to, że pozwoliliście mi skorzystać z waszego zestawu — powiedziała kolonistom, którzy stali tu i tam, patrząc jak się ubiera. — Przepraszam, Barney — powiedziała ze zwieszoną głową. — To było nieładne, zostawić cię tak, jak to zrobiłam.

Odprowadził ją do jej baraku; szli piaszczystą równiną, przez czerni nocy, nie rozmawiając, mając się na baczności, jak im zalecano, przed miejscowym drapieżnikiem, podobnym do szakala marsjańskim zwierzęciem obdarzonym telepatią. Jednak nie dostrzegli niczego.

— Jak było? — zapytał w końcu.

— Chodzi ci o to, jakie to uczucie być wysztafirowaną, lalkowatą blondynką ze wszystkimi jej przeklętymi ciuchami, chłopakiem, samochodem i... — Wzdrygnęła się. — Okropne. No, to nie tak. Po prostu... bezsensowne. Nic tam nie znalazłam. To było tak, jakbym znów miała kilkanaście lat.

— Taak — przytaknął. Tyle o Perky Pat.

— Barney — powiedziała cicho — muszę znaleźć coś innego, i to szybko. Możesz mi pomóc? Wydajesz się mądry, dojrzały i doświadczony. Przeniesienie mi nie pomoże... Chew-Z nie będzie lepszy, ponieważ coś we mnie buntuje się, nie będę go zażywała... rozumiesz? Tak, rozumiesz; wiem. Do diabła, ty nawet byś tego nie spróbował, więc musisz mnie rozumieć.

Mocno ścisnęła jego rękę i przywarła doń w ciemnościach.

— Wiem coś jeszcze, Barney. O n i t e ż m a j ą t e g o d o ś ć; jedyne co robili, kiedy byli... byliśmy tymi lalkami, to sprzeczały się. Nawet przez chwilę ich to nie bawiło.

— O rany — powiedział.

Świecąc wokół latarką, Anne powiedziała:

— To okropne, wołałabym, żeby było inaczej. Było mi bardziej żal ich niż...

— Urwała i przez chwilę szła milcząc, po czym powiedziała nagle: — Zmieniłam się, Barney. Czuję to. Chcę tu usiąść — gdziekolwiek jesteśmy. Ty i ja, sami w ciemności. A potem wiesz co... Nie muszę mówić, prawda?

— Nie — przyznał. — Chodzi jednak o to, że żałowałabyś tego później. I ja też, z powodu twojej reakcji.

— Może będę się modlić — powiedziała Anne. — To też trudne; trzeba wiedzieć jak. Nie modlisz się dla siebie, lecz dla innych; nazywamy to wstawienictwem. A ten, do którego się modlisz, nie jest Bogiem, który jest w niebiesiech, gdzieś w górze... jest Duchem Świętym; to zupełnie coś innego, to Paraklet. Czytałeś kiedyś świętego Pawła?

— Co?

— Nowy Testament. Na przykład jego listy do Koryntian czy Rzymian... no, wiesz. Paweł mówi, że naszym wrogiem jest śmierć; to nasz ostateczny wróg, więc myślę, że największy. Według Pawła, wszyscy jesteśmy zarażeni, nie tylko nasze dusze, lecz i nasze ciała; one muszą umrzeć, abyśmy mogli narodzić się znowu, w nowych ciałach — niematerialnych, niezniszczalnych. Widzisz? Wiesz co, kiedy przed chwilą byłam Perky Pat... miałam dziwne wrażenie, że... głupio to mówić lub w to wierzyć, lecz...

— Lecz — skończył za nią Barney — wydało ci się, że miałas przedsmak tego. Jednak spodziewałaś się, że tak będzie; wiedziałas, jakie to może być uczucie — sama mi o tym mówiłaś, na statku.

Wielu ludzi, pomyślał, też zdawało sobie z tego sprawę.

— Tak — przyznała Anne — ale nie uświadamiałam sobie, że...

Odwróciła się do niego; w ciemnościach ledwie mógł dostrzec jej twarz.

— **P r z e n i e s i e n i e j e s t t y l k o w s k a z ó w k ą , j a k ą m o ż e -**
m y o t r z y m a ć p o t e j s t r o n i e ś m i e r c i . A w i ę c t o t y l k o p o k u s a .
Gdyby nie ta okropna lalka, ta Perky Pat...

— Chew-Z — przypomniał jej Barney.

— Właśnie o tym myślę. Gdyby było tak, jak mówi święty Paweł, że człowiek śmiertelny uzyskuje w ten sposób postać nieśmiertelną... Nie zdołałabym się powstrzymać, Barney; musiałabym żuć Chew-Z. Nie potrafiłabym czekać do końca życia... co może oznaczać pięćdziesiąt lat na Marsie, pół wieku!

Zadrzała.

— Czemu miałabym czekać, gdybym mogła to mieć t e r a z ?

— Ostatnia osoba, z którą rozmawiałem na Ziemi — rzekł Barney — i która zażyła Chew-Z, powiedziała, że to było najstraszniejsze przeżycie w jej życiu.

To ją zaskoczyło.

— Jak to?

— Znalazł się we włościach kogoś lub czegoś, co uznał za wcielenie zła, co go przeraziło. Miał szczęście — i sam to przyznawał — że wy dostał się stamtąd.

— Barney — powiedziała — dlaczego znalazłeś się na Marsie? Nie mów, że zostałeś powołany; ktoś tak sprytny jak ty mógł pójść do psychiatry i...

— Jestem na Marsie — powiedział — ponieważ popełniłem błąd.

Używając twojej terminologii, pomyślał, nazywałoby się grzechem. W mojej terminologii też, zdecydował po namyśle.

— Zrobiłeś komuś krzywdę, prawda? — zapytała Anne.

Wzruszył ramionami.

— I teraz jesteś tu na resztę życia — powiedziała. — Barney, czy mógłbyś mi się postarać o Chew-Z?

— Bez problemu — odparł. Był pewien, że niedługo napotka któregoś z handlarzy Eldritch. Położywszy dłoń na jej ramieniu rzekł: — Sama możesz go zdobyć równie łatwo.

Przycisnęła się do niego, a on objął ją ramieniem; nie opierała się — nawet odetchnęła z ulgą.

— Barney, chcę ci coś pokazać. Ulotkę, którą dał mi jeden z ludzi w moim baraku; powiedział, że niedawno zrzucili im całą paczkę tego. To ci od Chew-Z.

Sięgnęła w zanadrze niezgrabnego kombinezonu i szukała chwilę; wreszcie w świetle latarki ujrzał zwinięty papier.

— Przeczytaj. Zrozumiesz, dlaczego tyle mówię o Chew-Z... i dlaczego to dla mnie taki problem.

Podniósłszy papier do światła przeczytał pierwszą linijkę; grube, czarne litery głośniły:

BÓG OBIECUJE ŻYCIE WIECZNE. MY JE DAJEMY.

— Widzisz? — powiedziała Anne.

— Widzę. — Nawet nie trudził się czytaniem reszty; złożył kartkę z powrotem i oddał jej. Było mu ciężko na sercu. — Niezły slogan.

— To prawda.

— To niecałkiem kłamstwo — rzekł Barney — lecz też namiastka wielkiej prawdy.

Zastanawiał się, co gorsze? Trudno powiedzieć. Najlepiej byłoby, gdyby Palmer Eldritch padł trupem z powodu bluźnierstwa krzykliwie ogłoszonego w ulotce, jednak najwidoczniej nie zanosilo się na to. Zło ucieleśnione w jakimś przybytku z układu Proximy, oferującym nam to, o co modliliśmy się przez dwa tysiące lat, myślał. A właściwie dlaczego czujemy, że to zło? Trudno powiedzieć, ale tak jest. Ponieważ może to oznaczać połączenie na zawsze z Eldritchem, jakiego doświadczył Leo; od tej pory Eldritch wciąż będzie z nami, przenikając nasze życie. A On, który chronił nas w przeszłości, po prostu będzie patrzył na to biernie.

Za każdym razem kiedy się przeniesiemy, myślał, spotkamy nie Boga, lecz Palmera Eldritch.

— A jeśli Chew-Z cię zawiedzie... — zaczął głośno.

— Nie mów tak.

— Jeśli zawiedzie cię Palmer Eldritch, to może... — Urwał. Zbliżali się do baraku Flax Back Spit; wśród marsjańskiej nocy jarzyło się słabe światło nad wejściem. — Jesteś już w domu.

Nie miał ochoty pozwolić jej odejść; trzymając rękę na jej ramieniu przytulił ją, myśląc o tym, co powiedział o niej swoim towarzyszom z baraku.

— Wróć ze mną — powiedział — do Chicken Pox Prospect. Tam pobierzemy się formalnie i legalnie.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem i zaczęła się śmiać.

— Czy to oznacza „nie”? — spytał drewnianym głosem.

— Co to takiego — spytała go — to Chicken Pox Prospect? Ach, rozumiem; to kryptonim waszego baraku. Przepraszam, Barney; nie chciałam cię urazić. Jednak odpowiedź oczywiście brzmi „nie”.

Odsunęła się od niego i otworzyła zewnętrzne drzwi prowadzące do przed-sionka baraku. Nagle odstawiła latarnię i podeszła do niego, wyciągając ramiona.

— Pokochaj się ze mną — powiedziała.

— Nie tu. Zbyt blisko wejścia — obawiał się Barney.

— Gdzie chcesz. Zabierz mnie dalej — mówiła, obejmując go za szyję. — Teraz. Nie zwlekaj.

Nie zwlekał.

Wziąwszy ją w ramiona zaniósł ją dobry kawałek od wejścia.

— O rany — powiedziała, gdy położył ją na piasku; potem jęknęła cicho, może z zimna, które ich nagle owiało, penetrując ciężkie kombinezony nie izolujące teraz przed wiatrem, lecz uniemożliwiające powstanie prawdziwego ciepła.

Jedno z praw termodynamiki, myślał. Wymiana ciepła; cząsteczki przechodzące między nami, między nią a mną, mieszające się w... entropii? Jeszcze nie, myślał.

— Och — powiedziała w ciemnościach.

— Zabolało?

— Nie. Przepraszam. Proszę.

Zimno odbierało mu czucie w plecach; promieniowało z czarnego nieba. Ignorował je jak mógł najlepiej, lecz wciąż myślał o kocu, o grubym wełnianym kocu... dziwne, myśleć o tym w takiej chwili. Zamiast mroźnego, rzadkiego powietrza, które zmuszało go do spazmatycznego łapania oddechu, jakby już kończył.

— Czy... umierasz? — spytała.

— Po prostu trudno mi oddychać. To powietrze.

— Biedny, biedny... o Boże! Zapomniałam jak masz na imię.

— To cholernie miłe.

— Barney!

Przycisnął ją mocno.

— Nie! Nie przestawaj!

Wyprężyła się. Szczękała zębami.

— Nie miałem zamiaru — rzekł.

— Oooh!

Roześmiał się.

— Proszę cię, nie śmieję się ze mnie.

— To nie było złośliwie.

Zapadła długa cisza.

— Uf — powiedziała potem.

Zerwała się, jakby wróciła jej utracona na chwilę przytomność, jakby kierowała nią jakaś siła. Nasunęło mu to myśl o delikatnym systemie nerwowym żaby, pobudzonym impulsami elektrycznymi. Ofiara biegu zdarzeń, nie próbująca się przeciwstawiać. Jego wysoka, blada, nieubrana własność. Jasna i realna. Tym razem gotowa.

— Wszystko w porządku?

— Tak — powiedziała. — Tak, Barney. Z całą pewnością. Tak!

Później, gdy powłócząc nogami wracał samotnie do swojego baraku, powiedział sobie: może wyręczam Palmera Eldritch. Łamię ją, demoralizuję... jak gdyby już nie była. Jakbyśmy wszyscy nie byli.

Coś zagroziło mu drogę.

Stanął sięgając po broń, jaką mu dano; oprócz groźnego telepatycznego szkala można tu było — szczególnie w nocy — napotkać i inne, jadowite i żarłoczne stworzenia. Ostrożnie zapalił latarkę, spodziewając się ujrzeć coś okropnego i wielorękiego, o ciele najpewniej ze śluzu. Zamiast tego ujrzał zaparkowany statek: mały i szybki, o niewielkiej masie; dysze wciąż jeszcze dymiły, więc musiał niedawno wylądować. Siadali bez silników, bo nie słyszał odgłosów hamowania.

Z wnętrza wygramolił się mężczyzna, włączył latarkę, dostrzegł Barneya Mayersona i powiedział, odchrząknawszy:

— Jestem Allen Faine. Wszędzie pana szukałem; Leo chce z panem utrzymywać kontakt za moim pośrednictwem. Będę przekazywał panu zaszyfrowane informacje w trakcie moich audycji; tu ma pan książkę kodową.

Podał Barneyowi cienki tomik.

— Wie pan, kim jestem, prawda?

— Prezenterem — odparł Barney. Upiorne, takie spotkanie w nocy, na marsjańskiej pustyni, między nim a człowiekiem z satelity P.P. Layouts; wydawało się to nierzeczywiste. — Dzięki — rzekł przyjmując książeczkę. — I co mam robić, zapisywać to co pan mówi, a potem deszyfrować to gdzieś w kącie?

— Będzie pan miał własny odbiornik TV w pokoju; udało nam się to załatwić na tej podstawie, że jako nowy na Marsie potrzebuje pan. . .

— W porządku — kiwnął głową Barney.

— A więc ma pan już dziewczynę — rzekł Faine. — Proszę mi wybaczyć, że użyłem podczerwieni. . .

— Nie wybaczam.

— Przekona się pan, że w tych sprawach na Marsie trudno zachować dyskrecję. To jakby małe miasteczko i wszyscy koloniści są spragnieni nowin, szczególnie typu skandalicznego. Ja to wiem. . . moja praca polega na nieustannym przekazywaniu. . . oczywiście wielu rzeczy nie wolno mi mówić. Kim była ta dziewczyna?

— Nie wiem — rzekł ironicznie Barney. — Było ciemno; nie widziałem.

Zaczął obchodzić zaparkowany statek, zamierzając odejść.

— Proszę zaczekać. Musi pan wiedzieć jeszcze coś. Na tym obszarze działa już handlarz Chew-Z i według naszych obliczeń jutro rano może się zjawić w waszym baraku. Niech pan będzie przygotowany. Proszę zatroszczyć się o to, by kupić towar w obecności świadków; powinni widzieć, jak zawiera pan transakcję, a także zaświadczyć, że zażył pan właśnie ten środek. Rozumie pan? — spytał Faine i dodał: — I niech pan spróbuje pociągnąć handlarza za język, skłonić go, żeby zagwarantował panu nieszkodliwość produktu. Niech się pan postara, żeby wciskał panu produkt, niech pan o niego *n i e p r o s i*. Dobrze?

— A co będę z tego miał? — spytał Barney.

— Słucham?

— Leo nie pofatygował się wyjaśnić. . .

— Powiem panu co — rzekł cicho Faine. — Zabierzemy pana z Marsa. To pańska zapłata.

Po dłuższej chwili Barney powiedział:

— Naprawdę?

— Oczywiście, to będzie nielegalne. Jedynie ONZ może legalnie zabrać pana z powrotem na Ziemię, a to nie nastąpi. Po prostu pewnej nocy zabierzemy pana do Chatki Puchatka.

— I będę musiał tam zostać.

— Dopóki chirurdzy Leo nie zmienią panu twarzy, odcisków palców u rąk i nóg, wzoru fali mózgowej i całej tożsamości; wtedy pojawi się pan, zapewne w pańskiej dawnej firmie, P.P. Layouts. O ile wiem, był pan ich człowiekiem na Nowy Jork. Za dwa, dwa i pół roku, znów pan tam będzie. Więc proszę nie tracić nadziei.

— Może ja nie mam na to ochoty — rzekł Barney.

— Co? Na pewno pan ma. Każdy kolonista chce. . .

— Przemyślę to — powiedział Barney — dam panu znać. Jednak może zechcę czegoś innego.

Myślał o Anne. Wrócić na Ziemię i znów piąć się w górę, może nawet wraz z Roni Fugate. . . w jakiś dziwny, instynktowny sposób nie pociągało go to tak, jak mógłby się tego spodziewać. Mars — czy też miłość z Anne Hawthorne —

jeszcze bardziej go odmieniły. Zastanawiał się, co bardziej. I jedno, i drugie, pomyślał. A poza tym właściwie nie zostałem powołany do służby; zgłosiłem się na ochotnika. Nigdy nie wolno mi o tym zapomnieć.

— Znam niektóre okoliczności, panie Mayerson — powiedział Faine. — To co pan robi, to pokuta. Zgadza się?

— I pan też? — rzekł zdziwiony Barney. Wyglądało, że religijne inklinacje są tu typowym zjawiskiem.

— Może się panu nie podobać — mówił Faine — ale to właściwe słowo. Proszę posłuchać, Mayerson; zanim pana zabierzemy do Chatki Puchatka, wystarczająco już pan odpokutuje. O czymś jeszcze pan nie wie. Proszę na to spojrzeć.

Niechętnie wyciągnął z kieszeni małą plastikową fiolkę. Pojemnik.

— Co to takiego? — Barneyowi dreszcz przebiegł po plecach.

— Pańska choroba — odparł Faine. — Leo jest przekonany, bo tak mówią prawnicy, że nie wystarczy, by pan tylko stwierdził w sądzie, że produkt panu zaszkodził. Oni będą chcieli pana zbadać.

— Chcę dokładnie wiedzieć, co to jest.

— Epilepsja, Mayerson. Mutacja Q, powodująca efekty, których pochodzenia nikt nie jest w stanie określić; spierają się, czy podłoże jest psychogeniczne, czy też spowodowane uszkodzeniami mózgu, których nie wykrywa EEG.

— A symptomy?

— Padaczka — rzekł Faine i po przerwie dodał: — Przykro mi.

— Rozumiem — mruknął Barney. — I jak długo to potrwa?

— Możemy podać antidotum po rozprawie, ale nie wcześniej. Najwyżej rok. Teraz rozumie pan, co miałem na myśli, kiedy mówiłem, że odpokutuje pan aż nadto za to, że nie wyciągnął pan Leo z tarapatów. Twierdząc, że ta choroba jest ubocznym skutkiem zażywania Chew-Z zmusimy...

— Pewnie — powiedział Barney. — Epilepsja to wciąż jedno ze słów-straszaków. Jak kiedyś rak. Ludzie odczuwają irracjonalny lęk przed nią, ponieważ wiedzą, że mogą zachorować w każdej chwili, bez ostrzeżenia.

— Szczególnie na tę ostatnią mutację Q. Do diabła, jeszcze nie wymyślono nawet teorii tłumaczącej jej powstawanie. Ważne jest to, że w przypadku postaci Q nie dochodzi do organicznych zmian w mózgu, co oznacza, że będziemy mogli pana wyleczyć. Proszę, oto fiolka. To toksyna o działaniu podobnym do metrazolu; podobna, ale w odróżnieniu od metrazolu powoduje cykliczne ataki i charakterystyczne zniekształcenie przebiegu EEG w przerwach między nimi — dopóki nie zostanie zneutralizowany, jak to już panu mówiłem.

— Czy badania krwi tego nie wykryją?

— Wykryją obecność jakiejś toksyny, a o to właśnie nam chodzi. Ponieważ dostarczymy dokumenty — wyniki pańskich badań lekarskich i psychiatrycznych, które właśnie pan przeszedł na komisji poborowej... i udowodnimy w ten sposób, że przybywając na Marsa nie cierpiał pan na epilepsję. I tak Leo — a raczej pan

— będzie mógł twierdzić, że obecność toksyny we krwi jest ubocznym wynikiem zażywania Chew-Z.

— I nawet jeżeli przegram w sądzie. . .

— To i tak ogromnie ograniczy to sprzedaż Chew-Z. Większość kolonistów dręczy przeświadczenie, że narkotyki przenoszące mają na dłuższą metę szkodliwe działanie na organizm. Toksyna w tej fiołce — dodał Faine — jest stosunkowo rzadka. Leo zdobył ją sobie znanymi kanałami. Pochodzi z Io, jak sądzę. Pewien lekarz. . .

— Willy Denkmal — przerwał mu Barney.

Faine wzruszył ramionami.

— Możliwe. W każdym razie ma pan to w rękę; proszę to wziąć zaraz po zażyciu Chew-Z. Niech się pan postara mieć pierwszy atak w miejscu, gdzie będą inni koloniści; nie gdzieś na pustyni w trakcie melioracji lub prac polowych. Jak tylko atak minie, proszę złapać za wideofon i poprosić ONZ o opiekę lekarską. Niech zbadają pana ich neutralni lekarze; proszę nie domagać się prywatnej opieki.

— Może byłoby dobrze — rzekł Barney — gdyby lekarze ONZ mogli mi zrobić EEG w czasie ataku.

— Z całą pewnością. Niech zatem pan spróbuje dostać się do szpitala ONZ; są ich tylko trzy na całym Marsie. Uda się panu, ponieważ będzie pan miał dobry argument. . . — Faine zawahał się. — Szczerze mówiąc, toksyna spowoduje, iż pańskie ataki będzie charakteryzowała chęć destrukcji, skierowanej zarówno przeciw innym, jak i sobie. Technicznie rzecz biorąc, będą to napady hysterii w różnym stopniu nasilenia, kończące się częściową lub całkowitą utratą przytomności. Od początku będzie wiadomo, co panu jest, ponieważ — jak mi powiedziano — wystąpią typowe objawy foniczne, z silnymi skurczami mięśni, a po nich faza kloniczna — rytmiczne skurcze na przemian z rozkurczami. Później utrata przytomności.

— Innymi słowy — rzekł Barney — klasyczna postać padaczki.

— Czy to pana przeraża?

— Nie wiem, jakie to ma znaczenie. Jestem Leo coś winien; on o tym wie i pan też. Wciąż nie zgadzam się ze słowem „pokuta”, lecz zdaje się, że jest ono odpowiednie.

Zastanawiał się, jak jego sztucznie wywołana choroba wpłynie na stosunki z Anne. Pewnie wszystko się skończy. Tak więc poświęcał dla Leo Bulero naprawdę wiele. Jednak Leo też wiele dla niego robił; zabierał go z Marsa.

— Uważamy za pewne — rzekł Faine — że będą próbowali pana zabić, kiedy tylko poprosi pan o adwokata. Prawdę mówiąc. . .

— Chciałbym teraz wrócić do baraku — powiedział Barney. — W porządku?

— Świetnie. Niech się pan przyzwyczaja. Jednak pozwoli pan, że dam panu radę co do tej dziewczyny. Zgodnie z prawem Dobermana — pamięta pan, on był

pierwszym, który ożenił się i rozwiódł na Marsie — więzy uczuciowe rozluźniają się na tej cholernej planecie z szybkością wprost proporcjonalną do stopnia zaangażowania emocjonalnego stron. Daję wam najwyżej dwa tygodnie, i nie dlatego, że rozchoruje się pan, ale dlatego, że taka jest przeciętna. Marsjańskie komórki do wynajęcia. A ONZ popiera to, ponieważ — szczerze mówiąc — oznacza to więcej dzieci, a więc więcej kolonistów. Łapie pan?

— ONZ — odparł Barney — może nie zaaprobować mojego związku z nią, ponieważ jest oparty na nieco innej podstawie, niż pan to opisuje.

— Nie, nie jest — rzekł zimno Faine. — Może się panu tak wydawać, ale ja obserwuję całą planetę, w dzień i w nocy. Po prostu stwierdzam fakt; nie krytykuję. Prawdę mówiąc, osobiście sympatyzuję z panem.

— Dzięki — rzekł Barney i odszedł w kierunku baraku, przyświecając sobie latarką. Mały, zawieszony na szyi sygnalizator piskiem informował go, kiedy ktoś się przybliżył — a co ważniejsze, kiedy się nie przybliżył do niego — zaczął piszczeć głośniej, głośniejszym przypominającym rechot żab w sadzawce.

Wezmę toksynę, mówił sobie Barney. I pójde do sądu, i oskarżę tych drani. Zrobię to dla Leo. Ponieważ jestem mu to winien. Jednak nie wrócę na Ziemię, albo uda mi się tutaj, albo wcale. Mam nadzieję, że uda mi się z Anne Hawthorne, lecz jeśli nie, to samemu, lub z kimś innym, wejdę w to prawo Dobermana, jak przepowiada Faine. W każdym razie moja „ziemia obiecana” jest tu, na tej nędznej planecie.

Jutro rano, postanowił, zaczne usuwać nagromadzony przez pięćdziesiąt tysięcy wieków piasek, szykując teren pod mój pierwszy ogródek. To pierwszy krok.

Rozdział 10

Następnego dnia Norm Schein i Tod Morris spędzili cały ranek ucząc go sztuki kierowania buldożerem, pługiem piaskowym i koparką, które znajdowały się w różnym stopniu rozpadu. Większość pojazdów, niczym starego konia, można było zmusić do jeszcze jednego wysiłku. Jednak rezultaty nie były olśniewające; maszyny po prostu zbyt długo nie były używane.

Do południa był już wykończony. Zrobił więc sobie przerwę i odpoczywając w cieniu ogromnego zardzewiałego traktora, zjadł lunch i popił go ciepłą herbatką z termosu, który uprzejmie przyniosła mu Fran Schein.

Na dole, w baraku, reszta kolonistów robiła to, co zwykli robić o tej porze; nie dbał o to.

Wszędzie wokół widział zaniedbane, zapuszczone ogródki; zastanawiał się, czy i on niebawem zapomni o swoim. Może każdy nowy kolonista tak zaczyna, próbując zapomnieć o bólu, zanim ogarnia go zniechęcenie i bezsilność. Czy jednak był po temu powód? Wcale nie.

To kwestia nastawienia, orzekł. A my... wszyscy pracownicy P.P. Layouts — chętnie im na to pozwalaliśmy. Dawaliśmy im wyjście, łatwe i bezbolesne. A teraz przybył Palmer Eldritch, by spijać nektar. Utorowaliśmy mu drogę — ja też się do tego przyczyniłem — i co teraz? Czy mogę to w jakiś sposób, jak to ujął Faine, odpokutować?

Podeszła Helen Morris.

— Jak ci idzie? — zawołała wesoło; usiadła obok niego i otworzyła gruby katalog nasion z wielkim znakiem ONZ na okładce. — Zobacz, co dostarczają za darmo; wszystkie nasiona, jakie tu kielkują, włącznie z rzepą.

Oparta o Barneya, kartkowała katalog.

— Jednak żyje tu mały, podobny do myszy ssak ryjący, który w nocy wychodzi na powierzchnię. Zjada wszystko. Będziesz musiał ustawić pułapki samobieżne.

— W porządku — rzekł Barney.

— To niesamowity widok, kiedy taka homeostatyczna pułapka pędzi przez pustynię ścigając marsjańską mysz. Boże, ależ one pędzą. Zarówno pułapka, jak mysz. Dla rozrywki można robić zakłady. Ja zwykle stawiam na pułapkę. Podzi-

wiam je.

— Myślę, że ja pewnie też postawię na pułapkę.

Mam wielki respekt dla pułapek, pomyślał. Innymi słowy dla sytuacji bez wyjścia. Obojętnie, co głośzą napisy na drzwiach.

— ONZ dostarczy ci też darmowo dwa roboty. Na okres nie dłuższy niż sześć miesięcy. Musisz więc mądrze zaplanować, co mają robić. Najlepiej wykorzystać je do kopania rowów nawadniających. Nasze są już dość kiepskie. Czasem taki rów musi mieć dwieście lub więcej kilometrów długości. Możesz też się dogadać...

— Żadnego dogadywania się — przerwał Barney.

— Ale to może być naprawdę korzystne; znajdź kogoś mieszkającego w pobliskim baraku, kto zaczął kopać swój kanał nawadniający i zaniechał pracy; odkup rów od niego i podłącz się. Czy twoja dziewczyna z Flax Back Spit przeprowadzi się tu i zamieszka z tobą? — spytała z ciekawością.

Nie odpowiedział; spoglądał w czarne marsjańskie niebo, nawet w południe usiane gwiazdami. Nadlatywał statek. Czyżby handlarz Chew-Z? A więc nadchodził czas, gdy będzie musiał się struć, aby uratować monopol Leo; rozrośnięte międzyplanetarne imperium, któremu nic już nie zawdzięczał.

Zdumiewające, myślał, jak silny może być pęd do samozniszczenia.

Wyteżając wzrok Helen Morris oznajmiła z przejęciem:

— Goście! To nie jest statek ONZ.

Natychmiast ruszyła w kierunku baraku.

— Pójdę im powiedzieć.

Lewą ręką sięgnął do kieszeni i dotknął ukrytej w niej fiołki, myśląc: czy naprawdę to zrobię? Wydawało się to niemożliwe; nic w jego dotychczasowym życiu na to nie wskazywało. Może, pomyślał, to z rozpacz po stracie wszystkiego. Jednak nie sądził, by taki był powód; to coś innego.

Gdy statek lądował niedaleko, na płaskim spłachetku piasku, Barney myślał: może chcę w ten sposób ukazać Anne prawdę o Chew-Z. Nawet jeżeli posłużę się w tym celu oszustwem. Ponieważ, myślał, jeśli przyjmę toksynę, o n a n i e z a ż y j e C h e w - Z. Miał co do tego silne przeczucie. To wystarczało.

Ze statku wyszedł Palmer Eldritch.

Każdy by go poznał; od czasu katastrofy statku na Plutonie wideogazety zamieszczały jedno jego zdjęcie po drugim. Oczywiście zdjęcia pochodziły sprzed dziesięciu lat, ale Eldritch niewiele się zmienił. Siwy i kościsty, mierzył ponad sześć stóp i chodził niezwykle szybkim krokiem, kołysząc ramionami. Jego twarz była wymizerowana, pomarszczona; jakby zupełnie pozbawiona tkanki tłuszczowej, jakby, Barney przypuszczał, trawiony niepohamowaną żądzą Eldritch sam pożarł energetyczne zasoby swego ciała. Miał ogromne, stalowe zęby, które wstał mu przed odlotem na Proximę czeski chirurg stomatolog. Te zęby stanowiły

jedność z jego szczękami; miał je nosić do śmierci. Prawą rękę miał sztuczną; własną stracił dwadzieścia lat wcześniej, podczas polowania na Kallisto. Obecna była oczywiście lepsza, ponieważ umożliwiała posługiwanie się różnymi wymiennymi dłońmi. W tej chwili Eldritch używał pięciopalczastej, humanoidalnej kończyny; gdyby nie metaliczny połysk, można by uznać ją za prawdziwą.

I nie miał oczu. Przynajmniej w zwykłym znaczeniu tego słowa. Zrobiono mu protezy — za cenę, którą tylko on mógł i chciał zapłacić; dorobili je brazylijscy okuliści, tuż przed jego odlotem na Proximę. Zrobili świetną robotę. Protezy, dopasowane do oczodołów, nie miały źrenic i były nieruchome. Panoramiczny widok zapewniały dwa obiektywy szerokokątne, tkwiące za wąską poziomą szczeliną. Eldritch nie stracił oczu w nieszczęśliwym wypadku; w Chicago nieznanymi osobnikami chlusnęli mu w nie kwasem, z równie nieznanymi powodów... a przynajmniej nie znanych opinii publicznej. Eldritch zapewne wiedział dlaczego. Jednak nic nie powiedział, nie złożył skargi; zamiast tego poszedł prosto do zespołu swoich znakomitych brazylijskich okulistów. Pozioma szczelina sztucznych oczu zdawała się sprawiać mu przyjemność; niemal natychmiast po operacji pojawił się na uroczystości otwarcia nowej opery w Utah i bez żenady obracał się w towarzystwie sobie równych. Nawet teraz, po dziesięciu latach, takie operacje były rzadkością i Barney po raz pierwszy widział sztuczne, luxwidowe gałki oczne Jensena; one, a także sztuczna ręka z możliwością stosowania różnorodnych końcówek, wywarły na nim większe wrażenie, niż się spodziewał... czy też może sprawiło to coś innego związanego z Eldritchem?

— Pan Mayerson — powiedział Palmer Eldritch i uśmiechnął się; stalowe zęby błysnęły w zimnym, słabym słońcu Marsa. Wyciągnął rękę i Barney machinalnie wyciągnął swoją.

Twój głos, pomyślał Barney. Wydobywa się skądś indziej, nie z... Zamrugał oczami. Postać Eldritch'a była bezcielesna; przezroczysta. Był to jakiś rodzaj sztucznie wywołanego złudzenia. Barney zdał sobie nagle sprawę z ironicznej wymowy tego faktu; ten człowiek i tak był już w znacznym stopniu sztuczny, a teraz utracił resztę swego ciała. Czy właśnie to powróciło na Ziemię z Proximy? — zastanawiał się Barney. Jeśli tak, Hepburn- Gilbert został oszukany; to nie była ludzka istota. W żadnym znaczeniu tego słowa.

— Wciąż jestem na statku — rzekł Palmer Eldritch; głos wydobywał się z głośnika na kadłubie. — Zwykła ostrożność; ze względu na to, że jesteś pracownikiem Leo Bulero.

Widmowa ręka dotknęła Barneya; poczuł, jak ogarnia go przenikliwe zimno — czysto psychologiczna reakcja, ponieważ nie było niczego, co mogłoby je wywołać.

— Byłem pracownikiem — uściślił Barney.

Za jego plecami z baraku wyłonili się inni: Scheinowie, Morrisowie i Reganowie; podchodzili jak wystraszone dzieci, onieśmieleni widokiem znamienitego

gościa.

— Co się dzieje? — wykrztusił Norm Schein. — To symulakron; nie podoba mi się to.

Stając obok Barneya, dodał:

— Żyjemy na pustyni, Mayerson; wciąż widzimy mirażę, statki, ludzi i inne formy życia. To właśnie jeden z takich przypadków; ani tego gościa, ani statku tu nie ma.

— Są pewnie sześćset mil stąd — rzekł Tod Morris. — To fatamorgana. Przyzwyczajasz się do tego.

— Przecież słyszycie mnie — megafon zagrzemiał głosem Palmera Eldritch. — Jestem tu, naprawdę, i mam do was sprawę. Kto jest kierownikiem zespołu?

— Ja — oświadczył Norm Schein.

— Oto moja wizytówka — powiedział Palmer Eldritch wyciągając rękę z niewielkim, białym prostokąciem i Norm Schein instynktownie sięgnął po nią. Wizytówka przeleciała mu między palcami. Eldritch uśmiechnął się przelotnym, zimnym uśmiechem implozji — jakby wciągającym wszystko wokół, nawet rzadkie powietrze. — Spójrz na nią — podsunął Normowi. Ten pochylił się, obejrzał papier.

— Zgadza się — rzekł Eldritch — przybyłem tu, żeby podpisać umowę z waszą grupą. Chodzi o dostarczanie. . .

— Oszczędź nam przemowy o dostarczaniu tego, co Bóg jedynie obiecuje — zdenerwował się Schein. — Powiedz tylko ile.

— Około jednej dziesiątej ceny produktu konkurencyjnego. I o wiele skuteczniejszy; nawet nie będziecie potrzebowali zestawów.

Eldritch zdawał się mówić wyłącznie do Barneya, jednak ze względu na sztuczne oczy nie można było stwierdzić, na kogo właściwie patrzy.

— Jak się panu podoba tu na Marsie, panie Mayerson?

— Świetna zabawa — odparł Barney.

— Zeszłej nocy — rzekł Eldritch — kiedy Allen Faine przyleciał tu ze swojego nędznego satelity, żeby się z panem spotkać. . . o czym rozmawialiście?

— O interesach — odparł Barney. Myślał szybko, ale nie dość szybko; z głośnika dobiegło go następne pytanie:

— A więc wciąż pan pracuje dla Leo. Tak naprawdę to celowo zaaranżowano pańskie przybycie tutaj, na krótko przed rozpoczęciem dystrybucji Chew-Z. Dlaczego? Macie jakiś pomysł, by nas powstrzymać? W pańskim bagażu nie było żadnych materiałów propagandowych, żadnych ulotek ani innych druków poza zwykłymi książkami. Może to mają być zwykłe plotki? Szeptana propaganda. Chew-Z jest. . . co, panie Mayerson? Niebezpieczny dla stałego użytkownika?

— Nie wiem. Zaczekam i spróbuję. Wtedy zobaczę.

— Wszyscy czekamy — powiedziała Fran Schein; trzymała w rękach plik skionów, gotowa do natychmiastowej zapłaty. — Czy może pan nam sprzedać trochę

od razu, czy też mamy dalej czekać?

— Mogę od razu dostarczyć pierwszą porcję — oznajmił Eldritch.

Luk statku otworzył się z trzaskiem. Wyskoczył z niego mały pojazd samobieżny, który ruszył w stronę kolonistów. Zatrzymał się pół metra przed nimi i wyrzucił z siebie karton owinięty w znajomy, brązowy papier pakunkowy; karton leżał u ich stóp i po chwili Norm Schein schylił się i podniósł go. On nie był halucynacją. Norm ostrożnie odwinął papier.

— Chew-Z — wykrztusiła Mary Regan. — Och, aż tyle! Ile płacimy, panie Eldritch?

— Razem — odparł Eldritch — pięć skinów.

Automat wysunął małą szufladkę, na tyle dużą, by zmieściły się w niej skóry.

Po krótkiej sprzeczce koloniści doszli do porozumienia; pięć skinów włożono do szufladki, która natychmiast zamknęła się z powrotem. Automat obrócił się w miejscu i błyskawicznie zniknął we wnętrzu statku. Palmer Eldritch, ogromny, szary i bezcielesny, pozostał. Wygląda na to, że się dobrze bawi, doszedł do wniosku Barney. Eldritch nie przejmował się tym, że Leo Bulero ma coś w zanadru; cieszyło go to.

Świadomość tego faktu przygnębiła Barneya; poszedł w kierunku mizernego skrawka oczyszczonego gruntu, na którym kiedyś miał być jego ogród. Odwrócony plecami do Eldritcha i kolonistów, włączył automatyczną koparkę; zaczęła sapać i mrużyć, z trudem wsysając piach. Mayerson zastanawiał się, jak długo będzie działać, i w jaki sposób tu, na Marsie, można zdobyć części zamienne. Może wcale się ich nie zdobywało; po prostu zostawiało się maszyny na pastwę rdzy.

Z tyłu dobiegł go głos Palmera Eldritcha:

— Teraz, panie Mayerson, może pan żuć do końca życia.

Barney odwrócił się mimowolnie. To nie było złudzenie; tamten rzeczywiście wyszedł.

— To prawda — odparł Mayerson. — I nic nie mogłoby mi sprawić większej przyjemności.

Próbował naprawić czerpak koparki.

— Gdzie tutaj, na Marsie, naprawia się sprzęt? — spytał Eldritcha. — Czy ONZ się tym zajmuje?

— Skąd mam wiedzieć? — zapytał Eldritch.

Fragment czerpaka odłamał się, zostając w ręku Barneya, który ścisnął go mocno, szacując ciężar. Metalowy pręt, przypominający łyżkę do opon, był ciężki i Barney pomyślał: mógłbym go tym zabić. Tu i teraz. Czy nie było to dobre wyjście z sytuacji? Żadnej toksyny wywołującej objawy padaczki, żadnych skarg w sądzie... ale musiałby za to zapłacić. Przeżyłby Eldritcha zaledwie o kilka godzin.

Czyż jednak, mimo wszystko, nie było warto...?

Odwrócił się, a wtedy. . . Wypadki potoczyły się tak szybko, że nawet w przybliżeniu nie potrafił powiedzieć, co się naprawdę stało. Z zaparkowanego statku trysnął promień lasera i Barney poczuł gwałtowny wstrząs, gdy strzał trafił w kawałek metalu, który trzymał w rękach. W tej samej chwili Palmer Eldritch zwinnym, tanecznym ruchem uskoczył w tył, unosząc się w górę przy nikłym marsjańskim ciężeniu i - Barney patrzył, lecz nie wierzył własnym oczom — odpłynął niczym balon, szczerząc stalowe zębiska i wymachując sztucznym ramieniem. Później, jakby ciągnięty na niewidocznej linii, sinusoidalnym ruchem poleciał do statku i zniknął w jego wnętrzu. Właz zamknął się i Eldritch był poza zasięgiem. Bezpieczny.

— Czemu to zrobił? — spytał zżerany ciekawością Norm Schein. — Co się tam stało, na Boga?

Barney nie odpowiedział; drżącymi rękami odłożył resztki metalowego pręta, z którego zostały suche, spopielone kawałki; rozpadły się w proch, gdy dotknęły ziemi.

— Posprzeczali się — powiedział Tod Morris. — Mayerson z Eldritchem; wygląda na to, że się ze sobą nie zgadzają.

— W każdym razie — rzekł Norm — mamy Chew-Z. Mayerson, lepiej w przyszłości trzymaj się z dala od Eldritch'a; ja przeprowadzę transakcję. Gdybym wiedział, że jako pracownik Bulero. . .

— Były — przerwał mu przytomnie Barney i wrócił do zdefektowanego czerpaka. Pierwsza próba zabicia Palmera Eldritch'a zakończyła się niepowodzeniem. Czy będzie miał kiedyś drugą taką okazję?

I czy naprawdę miał taką okazję teraz? Doszedł do wniosku, że odpowiedź na obydwie te pytania brzmiała „nie”.

Tego samego dnia, późnym popołudniem koloniści Chicken Pox Prospect zebrali się w celu wspólnego zażycia narkotyku. W uroczystym nastroju, w pełnym napięcia milczeniu rozpakowano i podzielono prymki Chew-Z.

— Fuj — powiedziała Fran Schein, krzywiąc się. — Ma okropny smak.

— Smak, czmak — rzucił niecierpliwie Norm wkładając do ust swoją porcję. — Chyba masz rację — dodał — smakuje jak zepsuty grzyb.

Ze stoicką cierpliwością przełknął ślinę i żuł dalej.

— Błę — wykrztusił po chwili i zwymiotował.

— Robiąc to bez zestawu. . . — zaczęła Helen Morris. — Gdzie się znajdziemy? Po prostu gdzieś? Boję się — mówiła jednym tchem. — Czy będziemy razem? Jesteś tego pewien, Norm? — rzekł Sam Regan, żując swoją

— Kogo to obchodzi porcję.

— Patrzcie na mnie — powiedział Barney Mayerson. Spojrzeli na niego z zaciekawieniem; coś w jego głosie kazało im usłuchać.

— Wkładam Chew-Z do ust — rzekł Barney i zrobił to. — Widzicie, jak to robię. Prawda?

Zaczął żuć.

— Teraz żuję.

Serce waliło mu jak młotem. Boże, pomyślał. Czy wyjdę z tego cało?

— Taak, widzimy — przytaknął Tod Morris kiwając głową. — I co z tego? Czy masz zamiar pęknąć albo unieść się w powietrzu jak Eldritch, czy coś takiego?

On też zaczął żuć swoją prymkę. Wszyscy już żuli, cała siódemka, stwierdził Barney. Zamknął oczy.

Kiedy je otworzył, zobaczył pochyloną nad nim żonę.

— Pytałam — mówiła — czy chcesz ten drugi Manhattan, czy nie? Bo jeśli chcesz, to muszę polecić lodówce, żeby przygotowała więcej pokruszonego lodu.

— Emily — rzekł niepewnie.

— Tak, mój drogi — wycedziła cierpko. — Zawsze gdy wymawiasz moje imię w ten sposób, wiem, że zamierzasz wygłosić jeden z tych twoich wykładów. O co chodzi tym razem?

Usadowiła się na sofie naprzeciw niego i wygładziła spódnicę; jaskrawy, niebiesko-biały meksykański pasiak, który kupił jej pod choinkę.

— Jestem gotowa — oświadczyła.

— Żadnych wykładów, obiecuję — powiedział.

Czy ja naprawdę jestem taki? — spytał w duchu. Wiecznie wygłaszający mowy? Chwiejnie podniósł się z kanapy; był oszołomiony i złapał się stojącej obok lampy, żeby nie upaść.

— Zaprawiłeś się — stwierdziła Emily, mierząc go spojrzeniem.

Zaprawiłeś. Nie słyszał tego słowa od studenckich czasów; dawno już wyszło z mody, ale Emily, oczywiście, wciąż używała tego terminu.

— Teraz — powiedział najwyraźniej, jak mógł — mówi się nagrzanym. Zapamiętasz? Nagrzany.

Niepewnym krokiem podszedł do kredensu, w którym trzymali alkohol.

— Nagrzany — powtórzyła Emily i westchnęła. Wyglądała na smutną; zauważył to i zastanawiał się dlaczego. — Barney — zaczęła — nie pij tyle, dobrze? Nazywaj to, jak chcesz, nagrzanym czy zaprawionym, to jedno i to samo. Myślę, że to moja wina; pijesz tyle, ponieważ nie jestem dla ciebie odpowiednią partnerką.

Pięścią potarła lekko prawe oko; znajomy, denerwujący gest o znamionach nerwowego tiku.

— Nie o to chodzi, że jesteś nieodpowiednia — rzekł. — Tylko że ja mam wysokie wymagania.

Nauczono mnie wiele wymagać od innych, pomyślał. Wymagać, aby byli równie szacowni i zrównoważeni jak ja, a nie powodujący się wyłącznie emocjami, pozbawieni samokontroli.

Przecież to artystka, uświadomił sobie. A raczej tak zwana artystka. To bardziej odpowiada prawdzie. Życie artysty bez talentu.

Zaczął mieszać sobie kolejnego drinka, tym razem burbona z wodą, bez lodu; ignorując kieliszek, lał whisky prosto z butelki do miksera.

— Kiedy nalewasz sobie w ten sposób — powiedziała Emily — wiem, że jesteś zły i za chwilę się zaczniesz. Nienawidzę tego.

— A więc idź sobie — odparł.

— Niech cię diabli — rzuciła Emily. — Ja nie chcę nigdzie iść! Czy nie mógłbyś po prostu... — Zrobiła bezradny gest ręką. — Być trochę miłszy, bardziej wyrozumiały albo co? Nauczyć się nie zwracać uwagi na moje... .

Głos się jej załamał; niemal niedosłyszalnie dodała:

— Moje niedociągnięcia.

— Przecież nie mogę ich ignorować — odparł. — Chciałbym. Myślisz, że chcę żyć z kimś, kto nie jest w stanie niczego skończyć i do niczego dojść? Na przykład... . Ach, do diabła z tym.

Jaki to ma sens? Emily i tak się nie zmieni; była po prostu zwyczajną nieudacznicą. Jej wizja dobrze spędzonego dnia ograniczała się do dłubania, lepienia i babrania się w tłustych, przypominających ekskrementy farbach lub wkładania rąk po łokcie w bryłę lepkiej szarej gliny. A tymczasem... .

Czas uciekał. I cały świat, włącznie z pracownikami pana Bulero, a szczególnie z jego konsultantami-prognostykami, coraz bardziej oddalał się od Barneya Mayersona. Nigdy nie zostanie konsultantem na Nowy Jork, mówił sobie. Zawsze będę tkwił tu, w Detroit, gdzie nic, ale to nic nowego nie powstaje.

Gdyby udało mu się zdobyć stanowisko prognostyka mody na Nowy Jork... . Moje życie miałyby jakiś sens, uświadomił sobie Barney. Byłbym szczęśliwy, ponieważ wykonywałbym pracę, przy której mógłbym w pełni wykorzystać swoje zdolności. Czego, do diabła, jeszcze mógłbym żądać? Niczego; to w s z y s t k o , o c o p r o s z ę.

— Wychodzę — powiedział do Emily i odstawił szklanę; podszedł do szafy i zdjął płaszcz z wieszaka.

— Wrócisz, zanim pójde spać?

Z żalną miną odprowadziła go do drzwi mieszkania w bloku 11139584 — licząc od centrum Nowego Jorku — w którym mieszkali już od dwóch lat.

— Zobaczymy — powiedział i otworzył drzwi.

Na korytarzu ktoś stał; wysoki, szary człowiek o występujących stalowych zębach, nieruchomych oczach bez źrenic i błyszczącej sztucznej ręce wystającej z prawego rękawa marynarki.

— Witaj, Mayerson — powiedział mężczyzna i uśmiechnął się; błysnęły stalowe zęby.

— Palmer Eldritch — rzekł Barney. Obrócił się do Emily. — Widziałas jego zdjęcia w wideogazetach; to ten niemożliwie sławny przemysłowiec.

Rzecz jasna od razu poznał Eldritch.

— Chciał mnie pan widzieć? — spytał z wahaniem; to wszystko było jakieś dziwne, jakby już kiedyś się zdarzyło, tylko nieco inaczej.

— Chciałbym chwilę porozmawiać z pani mężem — powiedział Eldritch do Emily dziwnie łagodnym głosem; skinął ręką i Barney wyszedł na korytarz.

Drzwi zamknęły się za jego plecami. Eldritch miał ponury wyraz twarzy; już się nie uśmiechał, a kiedy przemówił, jego głos nie był już łagodny.

— Mayerson, źle wykorzystuje pan swój czas. Nic pan nie robi tylko powtarza przeszłość. Po co więc mam sprzedawać panu Chew-Z? Jest pan zboczony; jeszcze nigdy nie zetknąłem się z takim przypadkiem. Dam panu jeszcze dziesięć minut i zabiorę pana z powrotem do Chicken Pox Prospect, gdzie jest pańskie miejsce. A więc niech pan zdecyduje, czego do cholery pan chce i czy w ogóle coś pan rozumie.

— Czym, do diabła — rzekł Barney — jest Chew-Z?

Palmer Eldritch podniósł sztuczne ramię i pchnął go z potworną siłą; Barney zaczął się przewracać.

— Hej — rzekł słabo, próbując walczyć, opierać się straszliwemu naciskowi. — Co...

I nagle leżał jak długi, na plecach. W głowie mu szumiało i dzwoniło; z trudem zdołał otworzyć oczy i zogniskować wzrok na otoczeniu. Budził się; odkrył, że ma na sobie piżamę, ale nie swoją; nigdy takiej nie miał. Czyżby znalazł się w czyimś mieszkadle i miał na sobie cudzą piżamę? Jakiegoś mężczyzny...

W panice spojrział na łóżko. Obok, w pościeli...

Obok, okryta aż po nagie, gładkie ramiona, spała nieznajoma dziewczyna. Lekko oddychała przez usta; puch jej włosów był biały jak bawełna.

— Spóźnię się — powiedział.

Jego głos był ochryply i zniekształcony, prawie nierozpoznawalny.

— Nie, nie — mruknęła dziewczyna nie otwierając oczu. — Rozluźnij się. Dojedziemy stąd do pracy w... — ziewnęła i otworzyła oczy — ...piętnaście minut.

Uśmiechnęła się do Barneya; jego zmieszanie rozbawiło ją.

— Zawsze to mówisz, każdego ranka. Idź przypilnuj kawy. Muszę się napić kawy.

— Pewnie — powiedział i wygramolił się z łóżka.

— Króliczku — powiedziała drwiąco dziewczyna. — Jesteś taki wystraszony. Boisz się o mnie, o swoją pracę... i wciąż się spieszysz.

— Mój Boże — rzekł. — Zrezygnowałem ze wszystkiego.

— Ze wszystkiego?

— Z Emily.

Popatrzył na dziewczynę, Roni jakąś tam, i jej sypialnię.

— A teraz nie mam nic — powiedział.

— No, wspaniale — powiedziała Roni z gryzącą ironią. — Może teraz ja ci powiem coś miłego, żebyś i ty dobrze się poczuł.

— I zrobiłem to właśnie teraz — rzekł Barney. — Nie przed laty. Na chwilę przed przyjściem Palmera Eldritch.

— Jak Palmer Eldritch mógł gdzieś „przyjść”? Leży w szpitalnym łóżku gdzieś koło Jupitera lub Saturna; ONZ zabrało go tam, kiedy wydostali go ze szczątków jego statku. — Mówiła z pogardą, ale w jej głosie słychać było ciekawość.

— Palmer Eldritch właśnie mi się pokazał — odparł wymijająco.

Muszę wrócić do Emily, pomyślał. Wyśliznął się z łóżka, schylił i podniósłszy swoje rzeczy chwiejnie pognął do łazienki. Zatrzasnął za sobą drzwi, po czym pośpiesznie ogolił się i ubrał.

Wychodząc z łazienki powiedział dziewczynie, która wciąż leżała w łóżku:

— Muszę iść. Nie złość się; muszę to zrobić.

W chwilę później, nie zjadłszy śniadania, zjechał na parter i stanął pod osłoną przeciwcieplną, rozglądając się za taksówką.

Taksówka — ładny i błyszczący nowy model — przeniosła go niemal w mgnieniu oka pod mieszkalnię Emily; machinalnie zapłacił, wpadł do środka i po kilku sekundach jechał na górę. Wydawało się, że czas zatrzymał się w miejscu, że wszystko zamarło w oczekiwaniu na niego; był jedynym ruchomym obiektem w świecie przedmiotów.

Stanął przed jej drzwiami i zadzwonił.

Drzwi otworzyły się ukazując stojącego za nimi człowieka.

— Tak?

Mężczyzna był ciemnowłosy, dość przystojny: miał gęste brwi i starannie uczesane, nieco kręcone włosy; w dłoni trzymał poranną gazetę. W głębi mieszkania Barney dostrzegł stół z talerzami po śniadaniu.

— Pan... pan jest Richard Hnatt — rzekł Barney.

— Tak — odparł tamten, uważnie przyglądając się Mayersonowi. — Czy ja pana znam?

Pojawiła się Emily, ubrana w szary golf i poplamione dżinsy.

— Wielkie nieba. To Barney — powiedziała do Hnatta. — Mój były. Wchodź.

Szeroko otworzyła drzwi i Barney wszedł do środka. Emily najwyraźniej ucieszyła się z jego wizyty.

— Miło mi pana poznać — rzekł Hnatt neutralnym tonem.

Zaczął wyciągać rękę do Barneya, ale nagle zmienił zamiar.

— Kawy?

— Dzięki — odrzekł Barney sadowiac się na wolnym krześle. — Słuchaj — powiedział do Emily; nie mógł czekać, musiał to powiedzieć teraz, nawet w obecności Hnatta. — Popełniłem błąd rozwodząc się z tobą. Chciałbym cię ponownie poślubić. Na starych zasadach.

Emily uśmiechnęła się z zadowoleniem, tak samo jak kiedyś, zupełnie rozbrojona, poszła po filiżankę i spodek dla niego, nie odpowiadając. Zastanawiał się, czy w ogóle odpowie; byłoby jej łatwiej — zgodnie z jej leniwą naturą — po prostu skwitować to uśmiechem. Chryste, pomyślał i wbił wzrok w przestrzeń. Hnatt usiadł naprzeciw niego i powiedział:

— My jesteśmy małżeństwem. Myślał pan może, że po prostu mieszkamy razem?

Twarz mu pociemniała, ale zdawał się panować nad sobą.

— Małżeństwa się rozwodzą — rzekł Barney, nie do Hnatta, lecz do Emily. — Wyjdiesz za mnie?

Wstał i zrobił kilka niepewnych kroków w jej kierunku; odwróciła się i spokojnie podała mu filiżankę i spodek.

— Och, nie — powiedziała, wciąż uśmiechnięta; w oczach miała współczucie.

Rozumiała co czuje, że to nie był z jego strony tylko impuls. Jednak odpowiedź brzmiała wciąż „nie” i wiedział, że zawsze taka będzie; nie dlatego, że tak postanowiła — dla niej po prostu nie istniała rzeczywistość zawierająca jego osobę. Wykreśliłem ją kiedyś, myślał, wykreśliłem z życia wiedząc doskonale co robię, i oto rezultat, a teraz — jak mówią — widzę, że chleb rzucony w wodę wraca z nią, aby mnie udusić; nasiąknięty wodą chleb, który utkwi mi w gardle nie dając się połknąć ani wypluć. To dokładnie to, na co zasłużyłem, powiedział sobie; to ja stworzyłem tę sytuację.

Wróciwszy do stołu ponownie siadł na krześle; tępo spoglądał na jej dłoń, gdy nalewała mu kawę do filiżanki. One należały kiedyś do mojej żony, powiedział sobie. I zrezygnowałem z nich. Obsesja samozniszczenia; pragnąłem swojej śmierci. To jedyne zadowalające wyjaśnienie. Czyżbym był tak głupi? Nie; głupota nie wyjaśnia tak potwornego, tak całkowitego. . .

— Jak ci leci, Barney? — spytała Emily.

— O, po prostu świetnie, do diabła. — Głos mu drżał.

— Słyszałam, że mieszkasz z bardzo ładną małą rudowłosą — powiedziała Emily. Usiadła na swoim miejscu i znów zabrała się do jedzenia.

— To już przeszłość — rzekł Barney. — Zapomniana.

— A więc z kim? — zapytała tonem towarzyskiej konwersacji.

Rozmawia ze mną, jakbym był starym kumplem albo sąsiadem z przeciwka, pomyślał Barney. Szaleństwo! Jak mogła. . . jak mogła uważać go za kogoś obcego? To niemożliwe. Udaje, próbuje w ten sposób coś ukryć.

Na głos powiedział:

— Obawiasz się, że jeśli znów się ze mną zwiążesz, to. . . znów cię odepchnę. Kto raz się sparzył, ten na zimne dmucha. Nie zrobię tego; nigdy już bym tego nie zrobił.

— Przykro mi, że tak to przeżywasz, Barney — powiedziała Emily tym swoim obojętnym tonem towarzyskiej rozmowy. — Czy nie konsultujesz się z psycho-

analitykiem? Ktoś mi mówił, że widziano cię taszczącego przenośnego psychiatrę?

— Doktora Smile'a — powiedział, przypominając sobie. Pewnie zostawił go w mieszkaniu Roni Fugate. — Potrzebuję pomocy — rzekł do Emily. — Czy jest jakiś sposób...

Urwał. Czy można zmienić przeszłość? — zapytywał się w duchu. Najwidoczniej nie. Przyczyna i skutek działają tylko w jedną stronę, a zmiana jest rzeczywistością. Tak więc co było, to było i równie dobrze mogą stąd iść. Wstał.

— Chyba postradałem zmysły — powiedział do niej i do Richarda Hnatta. — Przepraszam; jeszcze nie całkiem się obudziłem... jestem dziś jakiś zdezorientowany. To zaczęło się zaraz po przebudzeniu.

— Czemu nie wypije pan swojej kawy? — zaproponował Hnatt. — A może przydałoby się do niej coś mocniejszego?

Z twarzy zniknął mu ciemny rumieniec; tak jak Emily, był już spokojny, obojętny.

— Nie rozumiem tego — rzekł Barney. — Palmer Eldritch kazał mi tu przyjść. Czy naprawdę? No, coś w tym rodzaju; tego był pewien.

— Myślałem, że to poskutkuje — powiedział bezradnie.

Hnatt i Emily spojrzeli po sobie.

— Eldritch jest w szpitalu gdzieś... — zaczęła Emily.

— Coś poszło nie tak — powiedział Barney. — Eldritch stracił panowanie nad sytuacją. Lepiej go poszukam; on mi wszystko wyjaśni.

Poczuł, jak ogarnia go obezwładniająca, ciężka jak rtęć fala paniki; podeszła mu do gardła, ściskając krtań.

— Do widzenia — zdołał wykrztusić i ruszył w kierunku zbawczych drzwi.

— Zaczekaj — odezwał się za jego plecami Hnatt.

Barney odwrócił się. Emily siedziała za stołem z przylepionym do twarzy uśmiechem, sącząc kawę; po drugiej stronie siedział Hnatt, patrząc wprost na Barneya. Hnatt miał jedną sztuczną rękę, w której trzymał widelec, a kiedy podniósł do ust kawałek jajka, Barney ujrzał wielkie, wystające stalowe zęby. I Hnatt był szary, pusty, i spoglądał martwymi oczyma, o wiele większymi niż przedtem; wydawało się, że wypełniał pokój swoją obecnością. Jednak wciąż był to Hnatt. Nie pojmuję tego, rzekł Barney i stanął w drzwiach, nie wychodząc z mieszkania i nie wracając; zrobił to, co sugerował Hnatt: czekał. Czy to nie przypomina Palmera Eldritch'a? — zapytywał się. Na zdjęciach... tak, miał sztuczną rękę, stalowe zęby i oczy Jensena, ale to nie był Eldritch.

— Muszę panu powiedzieć — powiedział rzeczowo Hnatt — że Emily lubi pana o wiele bardziej, niż można by sądzić po tym, co mówi. Wiem, ponieważ mi mówiła. Wiele razy.

Zerknął na Emily.

— Ty masz silne poczucie obowiązku. Uważasz, że powinnaś stłumić uczucia, jakie żywisz do Barneya; zresztą robisz to cały czas. Jednak zapomnij o obowiązku. Na tym nie można budować małżeństwa; ono wymaga spontaniczności. Nawet jeśli uważasz, że nie możesz... — Zrobił niewyraźny gest. — No, powiedzmy, o d t r ą c i ć mnie... Mimo to powinnaś uczciwie zanalizować swoje uczucia i nie zakrywać ich fasadą samopoświęcenia. Właśnie tak postąpiłaś z Barneyem; pozwoliłaś, żeby cię zostawił, ponieważ myślałaś, że twoim obowiązkiem jest nie przeszkadzać mu w karierze. Nadal się tak zachowujesz — zakończył — i popełniasz ten sam błąd. Nie oszukuj się.

I — całkiem niespodziewanie — wyszczerzył się do Barneya i mrugnął jednym nieruchomym okiem, jak lampką sygnalizacyjną.

Teraz był to Palmer Eldritch. Całkowicie.

Jednak Emily wydawała się tego nie zauważać; uśmiech zniknął z jej warg. Była zmieszana, rozdrażniona i coraz bardziej wściekła.

— Cholernie mnie denerwujesz — powiedziała do męża. — Powiedziałam, co czuję, i nie jestem hipokrytką. I nie lubię, kiedy ktoś mi mówi, że jestem.

Siedzący naprzeciw niej mężczyzna powiedział:

— Masz tylko jedno życie. Jeśli chcesz je przeżyć z Barneyem zamiast ze mną...

— Nie chcę. — Rzuciła mu palące spojrzenie.

— Idę — powiedział Barney; otworzył drzwi. To było beznadziejne.

— Zaczekaj — Palmer Eldritch wstał i powlókł się za nim. — Zejdę z tobą na dół.

We dwóch poszli korytarzem w kierunku schodów.

— Nie rezygnuj — powiedział Eldritch. — Pamiętaj; dopiero pierwszy raz użyłeś Chew-Z. Będiesz jeszcze miał czas. Za którymś podejściem ci się uda.

— Co to takiego, ten Chew-Z? — powiedział Barney.

Tuż obok dziewczęcy głos powtarzał:

— Barney Mayerson. Obudź się.

Potrząsano nim; zmrużył oczy wyęzając wzrok. Anne Hawthorne klęczała przy nim i trzymała go za ramię.

— I jak było? Weszłam tu i nie mogłam nikogo znaleźć; potem natknęłam się na was, siedzących kołem, zupełnie nieprzytomnych. Co by było, gdybym była urzędnikiem ONZ?

— Obudziłaś mnie — powiedział do Anne, uświadamiając sobie, co zrobiła; czuł ogromne rozczarowanie i żal. Jednak czas przeniesienia na razie minął i trzeba było się z tym pogodzić. Mimo to doświadczał narkotycznego głodu, prężnej chęci, aby wrócić tam najszybciej, jak to możliwe. Wszystko inne było

nieważne, nawet pochylona nad nim dziewczyna i nieruchomi, cisi współmieszkańcy leżący pokotem na podłodze.

— Było aż tak dobrze? — spytała ze zrozumieniem Anne. Dotknęła ręką bluzy. — W naszym baraku też był; kupiłam. Ten człowiek z dziwnymi zębami i oczami, ten szary, wielki mężczyzna.

— Eldritch. Albo jego symulakron.

Bolały go wszystkie stawy, jakby siedział przez długi czas w niewygodnej pozycji, a przecież spojrzawszy na zegarek stwierdził, że minęło tylko kilka sekund — no, najwyżej minuta.

— Eldritch jest wszędzie — rzekł do Anne. — Daj mi swój Chew-Z.

— Nie.

Wzruszył ramionami kryjąc rozczarowanie, kłujący, fizyczny ból wywołany stratą. No, Palmer Eldritch wróci; na pewno zna działanie swojego produktu. Może jeszcze dzisiaj.

— Opowiedz mi o tym — poprosiła Anne.

— To iluzoryczny świat — powiedział Barney — w którym Eldritch zajmuje kluczową pozycję jako bóg; daje ci szansę zrobienia tego, czego w rzeczywistości nigdy nie będziesz mógł — zrekonstruowania przeszłości i uczynienia jej taką, jaka powinna być. Jednak nawet dla niego to trudne. Wymaga czasu.

Umilkł; siedział i tarł dłonią bolące czoło.

— Chcesz powiedzieć, że on... że ty nie możesz po prostu przytknąć palcami i dostać to, czego chcesz? Tak, jak to się dzieje we śnie?

— To wcale nie przypomina snu.

To znacznie gorsze, uświadomił sobie. Bardziej przypomina piekło, pomyślał. Tak, takie właśnie musi być piekło: wieczne i niezmienne. A jednak Eldritch sądził, że z czasem uda się je zmienić, chociaż potrzeba będzie wiele cierpliwości i trudu.

— Jeśli tam wrócisz... — zaczęła Anne.

— Jeśli? — spojrzał na nią z niedowierzaniem. — Muszę wrócić. Tym razem niczego nie udało mi się zdziałać.

Może będę musiał tam wracać setki razy, pomyślał.

— Słuchaj. Na miłość boską, daj mi tę prymkę Chew-Z, którą kupiłaś. Wiem, że potrafię ją przekonać. Mam po swojej stronie Eldritch, który stara się, jak może. Ona jest teraz wściekła i zaskoczyłem ją tą propozycją, ale...

Zamilkł i wpatrywał się w Anne Hawthorne. Coś tu nie gra, myślał. Przecież...

Anne miała jedno ramię i dłoń sztuczne; plastikowo-metalowe palce były oddalone o kilka cali od jego twarzy, więc widział je dokładnie. A kiedy spojrzał jej w twarz, ujrzał nicość, pustkę tak ogromną, jak kosmiczna otchłań, z której wyłonił się Eldritch. Martwe oczy, pełne próżni czającej się za granicami poznanych światów.

— Możesz dostać trochę później — powiedziała spokojnie Anne. — Jedna sesja na dzień ci wystarczy.

Uśmiechnął się.

— Inaczej szybko skończą ci się skóry; nie będziesz mógł kupić Chew-Z, a wtedy co u diabła zrobisz?

Błysnęła w uśmiechu wspaniałymi, stalowymi zębami.

Pozostali koloniści budzili się jęcząc, z trudem odzyskując przytomność; siadali mruczając coś do siebie, nieprzytomnie rozglądając się wokół. Anne poszła gdzieś. Barneyowi udało się o własnych siłach podnieść na nogi. Kawa, pomyślał. Założę się, że poszła robić kawę.

— Ho, ho! — powiedział Norm Schein.

— Gdzie byliście? — dopytywał się Tod Morris. Wstał chwiejnie i pomógł się podnieść swojej żonie, Helen. — Ja wróciłem do czasów, kiedy byłem nastolatkiem, w gimnazjum, kiedy miałem pierwszą udaną randkę... rozumiecie, pierwszą zakończoną sukcesem.

Nerwowo zerknął na Helen.

— To o wiele lepsze niż Can-D — powiedziała Mary Regan. — Zdecydowanie. Och, mogłabym powiedzieć wam, co robiłam... — Zachichotała mimowolnie. — Jednak lepiej nie.

Twarz miała czerwoną i rozpaloną. Znalazłszy się w swoim pokoju Barney Mayerson zamknął drzwi i wyjął z kieszeni fiolkę toksyny, którą dał mu Fine. Trzymał ją w ręku, myśląc: nadeszła pora. Jednak... czy naprawdę wróciłem? Czy widziałem tylko szczątkowy obraz Eldritch'a nałożony na obraz Anne? A może to była prawdziwa wizja, przecucie kryjącej się za tym wszystkim rzeczywistości; nie tylko jego własnej, ale kolektywnej rzeczywistości pozostałych kolonistów.

Jeżeli tak, to nie powinien teraz połykać toksyny. Tak podpowiadał mu instynkt.

Mimo to odkręcił zakrętkę.

Cichy, słaby głosik wydobywający się z fiołki, pisnął:

— Jesteś pod obserwacją, Mayerson. I jeśli szykujesz jakiś podstęp, będziemy musieli wkroczyć. Zostaniesz surowo ukarany. Przykro nam.

Drżącymi palcami zakręcił fiolkę z powrotem. Była pusta!

— Co to? — spytała Anne stając w drzwiach kuchni; miała na sobie fartuszek, który gdzieś znalazła. — Co to? — powtórzyła, patrząc na fiolkę w jego ręce.

— Ucieczka — odparł chrapliwym głosem. — Od tego.

— A dokładnie od czego? — Odzyskała normalny wygląd; niczego nie brakowało. — Wyglądasz na ciężko chorego, Barney; naprawdę. Czy to skutek używania Chew-Z?

— Kac.

Czy Palmer Eldritch naprawdę jest tam, w środku? — zastanawiał się oglądając zamkniętą fiolkę; obrócił ją w dłoni.

— Czy można się jakoś skontaktować z satelitą Faine'ów?

— Och, sądzę, że tak. Pewnie wystarczy zamówić wideorozmowę albo...

— Idź i poproś Norm Scheina, żeby ją dla mnie zamówił — powiedział Barney.

Anne posłusznie wyszła; drzwi pomieszczenia stuknęły cicho.

Barney szybko wyjął książkę szyfrową ze schowka pod piecem. Wiadomość musi być zaszyfrowana.

Wszystkie kartki książeczki były puste.

A więc nie zaszyfruję tego i tyle, powiedział sobie. Zrobię, co będę mógł, chociaż to może być za mało.

Drzwi otwarły się na oścież; Anne weszła i powiedziała:

— Pan Schein zamawia dla ciebie rozmowę. Mówi, że cały czas ktoś coś u niego zamawia.

Poszedł za nią korytarzem, do małego pomieszczenia, w którym Norm siedział przy nadajniku; gdy Barney wszedł, tamten odwrócił się do niego i rzekł:

— Złapałem Charlotte — może być?

— Allena — uciął Barney.

— W porządku.

Po chwili Norm Schein powiedział:

— No, złapałem tego starego bakłazana. Masz.

Podał mikrofon Barneyowi. Na małym ekranie pojawiła się jowialna twarz Allena Faine'a.

— Nowy obywatel chce z panem porozmawiać — wyjaśnił Norm, na moment odbierając mikrofon Barneyowi. — Barney, oto połowa zespołu, który utrzymuje nas przy życiu i zdrowych zmysłach tu, na Marsie.

A do siebie mruknął:

— Boże, ale mnie boli głowa. Przepraszam.

Opuścił swój fotel i pomieszczenie, po czym zniknął w głębi korytarza.

— Panie Faine — powiedział ostrożnie Barney. — Przed chwilą rozmawiałem z panem Palmerem Eldritchem. Wspomniał o rozmowie, jaką z panem odbyłem. Wiedział o niej, a zatem jeśli o mnie chodzi, nie widzę sensu...

— O jakiej rozmowie? — rzekł zimno Allen Faine.

Barney umilkł i odzyskał głos po dłuższej przerwie.

— Widocznie śledzili nas kamerą na podczerwień — rzekł w końcu. — Pewnie z któregoś satelity. Jednak wydaje się, że treść naszej rozmowy wciąż nie...

— Jest pan stuknięty — powiedział Faine. — Nie znam pana; nigdy z panem nie rozmawiałem. No, człowieku, chcesz zamówić jakiś kawałek czy nie?

Twarc miał obojętną i nieobecną; nie wyglądało na to, by udawał.

— I nie wie pan, kim jestem? — spytał z niedowierzaniem Barney.

Faine przerwał połączenie i mały ekran zgasł, ukazując tylko pustkę, otchłań. Barney wyłączył nadajnik. Nie czuł nic. Apatia. Przeszedł obok Anne na korytarz; tam stanął, wyjął paczkę — czy już ostatnich? — ziemskich papierosów, i zapalił jednego. Eldritch robi ze mną to samo, co robił z Leo Bulero na Lunie lub Sigmie 14-B, czy gdziekolwiek to było, pomyślał. I w końcu złapie nas wszystkich. Tak po prostu. Odizoluje. Wspólny świat zniknie. Przynajmniej dla mnie; ode mnie zaczął.

A ja, pomyślał, mam walczyć za pomocą pustej fiołki, która mogła kiedyś zawierać lub nie, rzadką, kosztowną toksynę dezorganizującą czynności mózgu — a która teraz zawiera tylko Palmera Eldritch, i to nie całego. Jedyne jego głos.

Zapałka przypiekała mu palce. Nie zwracał na to uwagi.

Rozdział 11

Zaglądamy do notatek Felix Blau stwierdził:

— Piętnaście godzin temu, za aprobatą ONZ, statek należący do firmy produkującej Chew-Z wylądował na Marsie i rozproszycił pierwszą partię prymek wśród kolonistów w rejonie Fineburg Crescent.

Leo Bulero nachylił się do ekranu, założył ręce na piersi i rzekł:

— Kolonistom z Chicken Pox Crescent też?

Felix kiwnął głową.

— Do tej pory — powiedział Leo — on powinien już łyknąć to działające na mózg świństwo i poinformować nas o tym za pośrednictwem satelity.

— W pełni zdaję sobie z tego sprawę.

— William C. Clarke jest wciąż w pogotowiu?

Clarke był głównym prawnikiem reprezentującym interesy P.P. Layouts na Marsie.

— Tak — odparł Blau — ale Mayerson z nim też się nie kontaktował; nie kontaktował się z n i k i m.

Odsunął od siebie plik notatek.

— To wszystko, wszystko, co mogę w tej chwili powiedzieć.

— Może umarł — rzekł Leo. Był w ponurym nastroju; cała ta sprawa przynębiła go. — Może dostał tak silnych drgawek, że...

— Usłyszelibyśmy o tym, ponieważ na Marsie są tylko trzy szpitale i jeden z pewnością zostałby powiadomiony.

— Gdzie jest Palmer Eldritch?

— Moja organizacja nie zdołała się tego dowiedzieć — rzekł Felix. — Opuścił Lunę i zniknął. Po prostu zgubiliśmy go.

— Oddałbym prawą rękę — rzekł Leo — żeby wiedzieć, co się dzieje w tym baraku w Chicken Pox Prospects, gdzie jest Barney.

— Leć na Marsa.

— O, nie — odparł natychmiast Leo. — Nie opuszczę P.P. Layouts, nie po tym, co przeszedłem na Lunie. Nie możesz tam wysłać kogoś ze swojej organizacji, kto mógłby dostarczyć wiadomości z pierwszej ręki?

— Mamy tam tę dziewczynę, Anne Hawthorne, ale ona też się nie zgłosiła. Może sam polecę na Marsa. Jeśli ty nie chcesz.

— Nie chcę — powtórzył Leo.

— To cię będzie kosztować — rzekł Felix.

— Pewnie — odparł Leo. Zapłacę. Jednak wtedy będziemy przynajmniej mieli jakąś szansę; teraz nie mamy nic konkretnego.

I jesteśmy skończeni, powiedział sobie w duchu.

— Wystaw rachunek — dorzucił.

— Czy masz pojęcie, ile by cię to kosztowało, gdybym zginął, gdyby dostali mnie tam, na Marsie? Moja organizacja. . .

— Proszę — powiedział Leo — nie chcę o tym mówić; czy Mars to grobowiec wykopany przez Eldritch'a? Eldritch pewnie zjadł Barneya Mayersona. W porządku, lec; daj znać z Chicken Pox Prospects.

Przerwał połączenie.

Siedząca opodal Roni Fugate, prognostyczka-konsultantka na Nowy Jork, uważnie przysłuchiwała się rozmowie. Wszystko przyswajając, pomyślał Leo.

— Nasłuchałaś się dosyć? — zapytał szorstko.

— Robi mu pan to samo, co on zrobił panu — powiedziała Roni.

— Kto? Co?

— Barney bał się udać za panem, kiedy zniknął pan na Lunie. Teraz pan. . .

— To po prostu nie byłoby mądre. Dobrze — mruknął — jestem tak choler nie wystraszony przez Palmera, że boję się wystawić czubek nosa poza budynek; oczywiście nie mam zamiaru lecieć na Marsa i to co mówisz, to prawda.

— Tyle — powiedziała łagodnie Roni — że nikt pana nie wyleje z pracy. Tak jak wylał pan Barneya.

— Sam się wylewam. W myślach. Do obłędu.

— Jednak nie na tyle, aby polecieć na Marsa.

— W porządku! — Z wściekłością włączył wideofon i ponownie wykreślił numer Felixa Blau. — Blau, wszystko odwołuję. Lecę tam. Chociaż to szaleństwo.

— Szczerze mówiąc — rzekł Blau — moim zdaniem robisz dokładnie to, czego chce Palmer Eldritch. Odwieczny problem rozróżnienia między odwagą a. . .

— Siła Eldritch'a opiera się na tym narkotyku — przerwał mu Leo. — Dopóki nie uda mu się mi go podać, wszystko będzie dobrze. Wezmę ze sobą paru strażników z firmy, którzy przypilnują, żeby nie załatwiono mnie zastrzykiem, tak jak ostatnio. Hej, Blau! Jedziesz ze mną, dobrze?

Odwrócił się do Roni.

— Teraz dobrze?

— Tak. — Skinęła głową.

— Widzisz? Ona mówi, że wszystko w porządku. Zatem polecisz ze mną na Marsa i będziesz mnie trzymał za rękę, co?

— Jasne, Leo — rzekł Felix Blau. — A jeśli zemdlejesz, będę cię wachlował, aż odzyskasz przytomność. Zobaczymy się w twoim biurze za... — spojrzął na zegarek — ...dwie godziny. Omówimy szczegóły. Przygotuj szybki statek. I wezmę ze sobą paru ludzi, do których mam zaufanie.

— No i tak — powiedział Leo do Roni, rozłączywszy się. — Patrz, w co mnie wpakowałeś. Objęłaś stanowisko Barneya, a jeśli nie wrócę z Marsa, pewnie weźmiesz też i moje.

Patrzył na nią złym wzrokiem. Kobiety mogą zrobić z mężczyzną wszystko, myślał. Matka, żona, nawet pracownica; ugniatają nas w rękach jak ciepłe kawaleczki termoplastyku.

— Czy naprawdę sądzi pan, że dlatego to powiedziałam, panie Bulero?

Zmierzył ją przeciągłym, przenikliwym spojrzeniem.

— Tak. Ponieważ cierpisz na nadmiar ambicji. Naprawdę tak sądzę.

— Myli się pan.

— A jeśli nie wrócę z Marsa, czy polecisz za mną?

Czekał chwilę, ale nie odpowiedziała mu; dostrzegł wahanie na jej twarzy i roześmiał się.

— Jasne, że nie — powiedział.

— Muszę wracać do biura — powiedziała Roni drewnianym głosem. — Muszę obejrzeć nowe serwisy obiadowe. Nowoczesne wzory z Capetown.

Wstała i wyszła; spoglądając za nią myślał: ona jest prawdziwa. Nie tak jak Palmer Eldritch. Jeśli powrócę, będę musiał znaleźć jakiś sposób, żeby ją po cichu zwolnić. Nie lubię, żeby mną manipulowano.

Palmer Eldritch, pomyślał nagle, pojawił się w postaci małej dziewczynki, dziecka — już nie mówiąc o psie, którym stał się później. Może to nie jest Roni Fugate; może to Eldritch.

Ta myśl zmroziła go.

To co tu mamy, myślał, to nie inwazja Ziemi przez Proxów, istoty z innego układu. Nie atakują nas hordy humanoidalnych stworów. Nie. To Palmer Eldritch, który jest wszędzie, rozrastający się niczym oszalałe zielsko. Czy istnieje jakiś punkt krytyczny tego procesu, po którego osiągnięciu Eldritch rozprysnie się niczym mydlana bańka? Wszystkie te objawienia, na Ziemi, na Lunie i Marsie; Palmer nadymający się i przyskający: puk! puk! PUK! Jak pisał Szekspir... coś tam o wepchnięciu zwykłej szpilki w szczelinę zbroi — i żegnaj, królu.

Tylko, myślał, co w tym przypadku mogłoby posłużyć za szpilkę? I czy istnieje jakaś szpara, w którą można by ją wetknąć? Nie wiem; Felix i Barney też nie wiedzą. Założę się, że nie mają zielonego pojęcia, jak sobie poradzić z Palmerem. Porwać Zoe, jego podstarzałą, brzydką córkę? Eldritch nie przejąłby się tym. Chyba, że Palmer jest także Zoe; może Zoe nie istnieje jako niezależna istota. Tak właśnie skończymy, jeśli nie wymyślimy sposobu, jak go zniszczyć, zrozumiał Leo. Repliki, namiastki ludzi, zamieszkujące trzy planety i sześć księżyców.

Ludzka protoplazma, rozlewająca się, reprodukująca i dzieląca się, a wszystko przez ten przeklęty narkotyk pozaziemskiego pochodzenia, ten straszny, parszywy Chew-Z.

Jeszcze raz wykręcił numer satelity Allena Faine'a. Wreszcie na ekranie pojawiła się twarz prezentera, trochę blada i rozmazana.

— Tak, panie Bulero?

— Jest pan pewien, że Mayerson nie próbował się z panem skontaktować? Dostał książeczkę szyfrową, prawda?

— Dostał, ale wciąż nie mam od niego żadnych wiadomości. Podsluchujemy wszystkie rozmowy z Chicken Pox Prospects. Widzieliśmy, jak statek Eldritch'a wylądował obok baraku — kilka godzin temu — i zauważyliśmy, że Eldritch wysiadł i poszedł do mieszkańców, a chociaż nasze kamery tego nie zarejestrowały, jestem pewien, że dokonano transakcji. I Barney Mayerson był jednym z kolonistów, którzy wyszli na spotkanie Eldritchowi.

— Chyba wiem, co się stało — powiedział Leo. — W porządku; dzięki, Al.

Rozłączył się. Pojął, że Barney znalazł się pod wpływem Chew-Z. Stało się to w tej samej chwili, gdy wziął do ust narkotyk; to był koniec, tak samo, jak przytrafiło się Leo na Lunie. Nasz podstęp wymagał, aby Barney zażył Chew-Z, myślał Leo, i w ten sposób podłożyliśmy się temu nędznikowi Palmerowi; kiedy Barney zażył narkotyk, było po zawodach. Ponieważ Eldritch jakoś kontroluje wszystkie iluzoryczne światy wywoływane zażyciem Chew-Z; wiem — wiem! — że ten śmierdziel istnieje w każdym z nich.

Fantastyczny świat wywoływany przez Chew-Z, myślał Leo, istnieje w głowie Palmera Eldritch'a. Co stwierdziłem osobiście.

Kłopot w tym, myślał, że kiedy znajdziesz się w jednym z nich, nie możesz się od niego zupełnie uwolnić; zostaje z tobą, nawet kiedy sądzisz, że jesteś wolny. To drzwi w jedną stronę i o ile wiem, jeszcze nie udało mi się przez nie wrócić.

Jednak wydawało się to niemożliwe. A mimo to, myślał, to dowodzi, jak bardzo się boję — co wytknęła mi Roni Fugate. Boję się tak (przyznaję), że gotów jestem zostawić tam Barneya, tak jak on zostawił mnie. A Barney posłużył się swoimi zdolnościami prekognicyjnymi, więc przewidział wszystko, widział to tak, jak ja teraz — po fakcie. On wiedział z góry to, czego ja musiałem doświadczyć. Nic dziwnego, że zawiódł.

Kto zostanie poświęcony w ofierze? — zapytywał siebie Leo. Ja, Barney, Felix Blau... który z nas zostanie pożarty przez Palmera? Ponieważ tym właśnie dla niego jesteśmy; obiektami do skonsumowania. On jest potwornym jamochłonem, wielką paszczą, rozwartą, gotową nas pochłonąć.

Jednak Palmer nie jest kanibalem. Ponieważ wiem, że to nie człowiek. W skórze Palmera Eldritch'a kryje się coś innego.

Nie miał pojęcia, co by to mogło być. Wiele mogło się zdarzyć w bezmiarze Kosmosu między Proximą a Słońcem, zarówno w drodze tam, jak i z powrotem.

Może stało się to, myślał, kiedy Palmer leciał tam; może przez te długie lata po-
zerał Proxów i wylizawszy talerz wrócił do nas. Uff. Leo zadrżał.

No, pomyślał, jeszcze dwie godziny niezależnego życia plus czas, jaki zajmu-
je podróż na Marsa. Może dziesięć godzin indywidualnej egzystencji, a potem...
połknięty. A ten odrażający narkotyk rozprawdza się na całym Marsie; pomyśl,
wyobraź sobie te tłumy skazane na iluzoryczne światy Palmera Eldritch, opła-
tane siecią, którą na nich zarzuca. Jak nazywają to buddyści z ONZ z Hepburn-
Gilbertem na czele? Maja. Welon złudzeń. Gównno, pomyślał z pogardą i wycią-
gnął rękę, aby włączyć interkom i zażądać szybkiego statku. I dobrego pilota,
przypomniał sobie; ostatnio zbyt wiele automatycznych lądowań zakończyło się
katastrofą; nie mam zamiaru dać się rozsmarować po okolicy — a szczególnie po
t a m t e j okolicy.

— Kto jest naszym najlepszym pilotem międzyplanetarnym? — spytał panny
Gleason.

— Don Davis — odparła natychmiast panna Gleason. — Zapisał wspaniałą
kartę w historii naszych lotów z... pan wie. Lotów z Wenus.

Wolała nie mówić głośno o Can-D; interkom mógł być na podsłuchu.

Dziesięć minut później wszystkie sprawy związane z podróżą były załatwione.

Leo Bulero wyciągnął się w fotelu, zapalił wielkie, zielone cygaro z hawań-
skiego tytoniu składowanego — zapewne latami — w zasobnikach wypełnionych
helem... Odgryzł koniec; cygaro wydawało się suche i łamliwe. Trzeszczało mu
w zębach i Leo był rozczarowany. Wyglądało tak dobrze, tak wspaniale zachowa-
ne w swej trumnie. No, nigdy nie można być pewnym, powiedział sobie. Dopóki
się nie spróbuje.

Drzwi gabinetu otwarły się. Weszła panna Gleason z zapotrzebowaniem na
przelot statkiem.

Ręka, w której trzymała formularz, była sztuczna; dostrzegł błysk metalu i bły-
skawicznie podniósł głowę, aby spojrzeć jej w twarz, zobaczyć resztę. Zęby nean-
dertalczyka, pomyślał; tak wyglądają te wielkie stalowe trzonowce. Regres, dwie-
ście tysięcy lat wstecz; odrażające. A te oczy, luxwidowe czy widluxowe, czy
jakie tam, bez źrenic, tylko szczeliny. Produkt Jensen Labs z Chicago.

— Niech cię diabli, Eldritch — powiedział.

— Jestem też twoim pilotem — odezwał się Eldritch z ciała panny Gleason —
i miałem zamiar powitać cię, kiedy wylądujesz. Jednak to chyba zbyt wiele naraz.

— Daj mi te papiery — rzekł Leo wyciągając rękę.

Zdumiony Eldritch powiedział:

— Wciąż masz zamiar odbyć tę podróż na Marsa?

Wydawał się zupełnie zaskoczony.

— Tak — odparł Leo, spokojnie czekając na formularz.

Kiedy raz zażyłeś Chew-Z, jesteś stracony. A przynajmniej tak ujęłaby to dogmatyczna, fanatyczna misjonarka Anne Hawthorne. To jak grzech, myślał Barney Mayerson, warunkujący niewolę. Jak upadek aniołów. I pokusa jest podobna.

Jednak brakuje sposobu, w jaki moglibyśmy zostać uwolnieni. Czy aby go znaleźć, musimy polecieć na Proximę? Nawet tam możemy go nie znaleźć. Może nie ma go w całym Wszechświecie.

Anne Hawthorne stanęła w drzwiach pomieszczenia, w którym znajdował się nadajnik.

— Wszystko w porządku?

— Jasne — odparł Barney. — Wiesz, sami się w to wpakowaliśmy. Nikt n i e k a z a ł nam żuć Chew-Z.

Upuścił niedopałek na podłogę i zdusił go obcasem.

— A ty nie oddasz mi swojej prymki — rzekł. Wiedział jednak, że to nie Anne nie chce mu oddać narkotyku. To Palmer Eldritch, działający przez nią, droczący się.

Mimo to mogę odebrać jej prymkę.

— Stój — powiedziała. A raczej powiedział.

— Hej!- krzyknął Norm Schein zrywając się znad nadajnika. — Co robisz, Mayerson? Puść ją. . .

Silne, sztuczne ramię odepchnęło go, metalowe palce wpiły mu się w szyję i już samo to wystarczyło; szybko i wprawnie wyszukały najbardziej wrażliwy punkt. Jednak miał prymkę i to mu wystarczyło; puścił Norma.

— Nie bierz tego, Barney — powiedziała cicho. — Dopiero co zażyłeś pierwszą dawkę. Proszę.

Bez słowa ruszył do drzwi, do swojego pokoju.

— Zrobisz coś dla mnie? — zawołała za nim. — Podziel to na dwie części, pozwól mi zażyć z tobą. Będziemy razem.

— Po co?

— Może moja obecność ci pomoże.

— Sam sobie poradzę.

Jeżeli tylko dotrę do Emily przed rozwodem pojawi się Richard Hnatt. . . To jedyne wyjście, Próbować! Raz po raz. Dopóki mi się nie uda.

Zamknął drzwi.

Pożerając Chew-Z myślał o Leo Bulero. Wydostałeś się. Może dlatego, że Palmer Eldritch był od ciebie słabszy. Czy zanim myślał tak? Czy też Eldritch chytrze popuścił linkę, pozwalając, abyś sam się powiesił? Mogłeś tu przylecieć i powstrzymać mnie; teraz nie ma już odwrotu. Nawet Eldritch mnie ostrzegł, ustami Anne Hawthorne; nawet dla niego było to zbyt wiele, a teraz co? Czy

odszedłem tak daleko, że znalazłem się poza granicami jego władzy? W miejscu, gdzie nie ma Palmera Eldritch, gdzie nie istnieje nic.

I rzecz jasna, myślał, nie mogę się cofnąć.

Głowa go bolała i mimowolnie zamknął oczy. Czuł się tak, jakby jego mózg, żywy i przestraszony, poruszał się w czaszce. Zmieniony metabolizm, zrozumiał Barney. Szok. Przepraszam, powiedział swojemu ciału. W porządku?

— Pomocy — powiedział na głos.

— Pomocy, akurat — wychrypiał męski głos. — Co mam zrobić, potrzymać cię za rękę? Otwórz oczy albo wynoś się stąd. Ten okres, który spędziłeś na Marsie, zupełnie cię wykończył. Mam tego dość. No już!

— Zamknij się — powiedział Barney. — Jestem chory; za daleko zaszedłem. Chcesz powiedzieć, że możesz tylko na mnie nawrzeszczyć?

Otworzył oczy i spojrzał na Leo Bulero, który siedział za swym wielkim, zarzuconym papierami biurkiem.

— Słuchaj — rzekł Barney. — Biorę Chew-Z. Nie potrafię się powstrzymać. Jeśli nie możesz mi pomóc, będę skończony.

Na gumowych nogach podszedł do najbliższego fotela i osunął się weń bezsilnie.

Pałac cygaro i przyglądając mu się w zadumie, Leo rzekł:

— Dalej bierzesz Chew-Z? — zmarszczył brwi. — Przecież dwa lata temu. . .

— Został zakazany?

— Taak. Zakazany. Mój Boże. Nie wiem, czy jest sens z tobą rozmawiać. Czym jesteś; jakimś fantomem z przeszłości?

— Słyszałeś, co powiedziałem; powiedziałem, że biorę C h e w - Z.

Barney zacisnął pięści.

— Dobrze, dobrze. — Leo gwałtownie wydmuchnął gęsty kłąb szarego dymu. — Nie podniecaj się. Do diabła, ja też wybiegłem w przyszłość i jakoś mnie to nie zabiło. Poza tym, na rany Boga, jesteś jasnowidzem i powinieneś być do tego przyzwyczajony. — W każdym razie. . . — Odchylił się w fotelu, okręcił, i założył nogę na nogę. — Ja widziałem ten pomnik, wiesz? Zgadnij czyj. Mój.

Zerknął na Barneya i wzruszył ramionami.

— Niczego tu nie zyskam — rzekł Barney — w tym przedziale czasowym. Chcę odzyskać żonę. Chcę Emily.

Wzbierała w nim wściekłość i rozgoryczenie. Dławiące w gardle rozczarowanie.

— Emily — kiwnął głową Leo Bulero, po czym powiedział do interkomu: — Panno Gleason, proszę, żeby przez chwilę nikt nam nie przeszkadzał.

Znów spojrzał na Barneya, przyglądając mu się uważnie.

— Ten facet, Hnatt. . . Jak on miał na imię? Został zgarnięty przez policję ONZ razem z całą organizacją Eldritch. Wiesz, Hnatt podpisał ten kontrakt z jednym

z agentów Eldritch. No, dali mu do wyboru: kara więzienia albo emigracja. Przyznaję, że to nie w porządku, ale nie wiń mnie za to. Wyemigrował.

— A co z nią?

— Przy tym jej interesie z garnkami? Jak do diabła mogłaby je lepić w baraku na marsjańskiej pustyni? Oczywiście rzuciła tego głupka. Zobacz więc, czy czekałeś...

— Czy ty naprawdę jesteś Leo Bulero? — spytał Barney. — Czy też Palmerem Eldritchem? A ta rozmowa ma sprawić, abym poczuł się jeszcze gorzej... o to chodzi?

Podniósłszy brwi, Leo Bulero rzekł:

— Palmer Eldritch nie żyje.

— Przecież to nie jest rzeczywistość; to halucynacja wywołana narkotykiem.

— Diabła tam nierzeczywistość — spiorunował go spojrzeniem Leo. — A więc czym ja, według ciebie, jestem? Słuchaj.

Ze złością wycelował palcem w Barneya.

— We mnie nie ma nic nierzeczywistego; to ty jesteś tym, który jest cholerną halucynacją, jak sam powiedziałeś, z przeszłości. Pojmujesz sytuację zupełnie na opak. Słyszysz?

Z całej siły rąbnął pięścią w blat biurka.

— Oto dźwięk rzeczywistości. I mówię ci, że twoja była żona rozwiodła się z Hnattem; wiem o tym, ponieważ ona sprzedaje nam swoje naczynia, które miniaturyzujemy. Prawdę mówiąc, w zeszły czwartek była w biurze Roni Fugate.

Ze złością palił cygaro, wciąż patrząc nieżyczliwie na Barneya.

— A więc pozostaje mi tylko ją znaleźć — powiedział tamten.

To było takie proste.

— O, tak- przytaknął Leo, kiwając głową. — Tylko jeszcze jedno. Co masz zamiar zrobić z Roni Fugate? Żyjesz z nią w świecie, który zdaje się, że uznajesz za nierealny.

— O d d w ó c h l a t?- wykrztusił zdumiony Barney.

— A Emily wie o tym, ponieważ od kiedy zaczęła sprzedawać swoje naczynia, zaprzyjaźniła się z Roni; opowiadają sobie wszystko. Spójrz na to z punktu widzenia Emily. Jeżeli pozwoli ci wrócić, Roni zapewne przestanie przyjmować jej naczynia do miniaturyzacji. To ryzykowna sprawa i założę się, że Emily na to nie pójdzie. Dajemy Roni całkowicie wolną rękę, tak samo jak w swoim czasie tobie.

— Emily nigdy nie postawiłaby swojej kariery przed życiem osobistym — powiedział Barney.

— Ty to uczyniłeś. Może nauczyła się od ciebie. W każdym razie nawet bez tego Hnatta, dlaczego Emily miałyby do ciebie wracać? Odniosła duży sukces; jest znana na całej planecie i robi sterty skór. . . Chcesz znać prawdę? Ma każdego mężczyznę, jakiego zapragnie. W każdej chwili. Emily cię nie potrzebuje; spojrzaj

faktom w twarz, Barney. A cóż brakuje Roni? Szczerze mówiąc nie miałbym nic przeciwko temu. . .

— Myślę, że jesteś Palmerem Eldritchem — powiedział Barney.

— Ja? — stuknął się palcem w pierś Leo. — Barney, ja zabiłem Eldritchą; to dlatego postawili mi ten cholerny pomnik.

Mówił cicho i spokojnie, ale poczerwieniał na twarzy.

— Czy mam stalowe zęby? Czy mam sztuczną rękę?

Podniósł obie ręce w górę.

— No? A moje oczy. . .

Barney ruszył do drzwi.

— Dokąd idziesz? — zapytał Leo.

— Wiem — powiedział Barney otwierając drzwi — że jeśli porozmawiam z Emily choć przez kilka minut. . .

— Nie, nie porozmawiasz — rzekł Leo i zdecydowanie potrząsnął głową.

Czekając w korytarzu na windę Barney myślał: może to naprawdę był Leo. I może mówił prawdę.

Tak więc nie uda mi się bez Palmera Eldritchą.

Anne miała rację; trzeba było jej oddać pół prymki, a później moglibyśmy spróbować razem. Anne, Palmer. . . to wszystko jedno, to wszystko on, stwórca. Oto kim i czym jest, uświadomił sobie Barney. Właściciel światów. My je po prostu zamieszkujemy, a i on może w nich zamieszkać, jeśli chce. Może wywrócić do góry nogami scenerię, objawić się, popychać sprawy, w jakim chce kierunku. Może nawet stać się każdym z nas. Nami wszystkimi, jeśli tego sobie życzy. Nieśmiertelny, poza czasem i wszystkimi razem wziętymi kawałkami innych wymiarów. . . m o ż e n a w e t i s t n i e ć w ś w i e c i e, w którym jest martwy.

Palmer Eldritch poleciał na Proximę jako człowiek, a wrócił jako bóg.

Stojąc i czekając na windę Barney Mayerson powiedział głośno:

— Palmerze Eldritch, pomóż mi. Zwróć mi żonę.

Rozejrzał się wokół; nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć.

Nadjechała winda. Jej drzwi rozsunęły się. W środku czekali w milczeniu czterej mężczyźni i dwie kobiety.

Każde z nich było Palmerem Eldritchem. Mężczyźni i kobiety pospołu; sztuczne ramię, stalowe zęby. . . wychudła, pusta, poszarzała twarz z jensenowskimi oczami.

Niemal, chociaż nie całkiem jednogłośnie, jakby współzawodnicząc ze sobą, kto pierwszy się odezwie, cała szóstka powiedziała:

— Nie uda ci się wrócić stąd do twojego własnego świata, Mayerson; tym razem zaszedłeś zbyt daleko, znacznie przedawkowałeś. Ostrzegałem cię, kiedy odebrałeś mi prymkę w baraku Chicken Pox Prospects.

— Czy nie możesz mi pomóc? — spytał Barney. — Muszę ją odzyskać.

— Ty nic nie rozumiesz — powiedzieli wszyscy Palmerowie Eldritchowie, zbiorowo potrząsając głowami; był to ten sam gest, jaki przed chwilą zrobił Leo, to samo zdecydowane „nie”. — Jak ci już powiedziano: ponieważ to jest twoja przyszłość, już w niej jesteś. A więc nie ma tu miejsca dla ciebie; to logiczne. Dla kogo mam usidlić Emily? Dla ciebie? Czy dla prawowitego Barneya Mayersona, który aż do tej pory żył po swojemu? I nie myśl, że nie próbował odzyskać Emily. Czy nie sądzisz — a zdaje się, że nie — i ż p r ó b o w a ł c o ś p r z e d s i ę - w z i ą ć, kiedy Hnattowie się rozeszli? Wtedy zrobiłem dla niego, co mogłem; to było ładne kilka miesięcy temu, zaraz po tym, jak Richard Hnatt został wysłany na Marsa. Wierzył i protestował. Osobiście nie winię Hnatta; to była brudna afera, wyreżyserowana — rzecz jasna — przez Leo. Ponadto spójrz na siebie.

Szóstka Palmerów Eldritchów pogardliwie machnęła rękami.

— Jesteś, jak powiedział Leo, halucynacją; jesteś dla mnie przejrzysty, dosłownie. Powiem ci, czym jesteś, używając lepiej dobranej terminologii. Jesteś duchem — stwierdziło zimno, bez emocji, sześcioro Eldritchów.

Barney patrzył na nich z wściekłością, a oni odwzajemniali mu się spokojnym spojrzeniem.

— Spróbuj oprzeć życie na tej przesłance — ciągnęli Eldritchowie. — No, otrzymałeś to, co obiecuje święty Paweł, o czym paplała Anne Hawthorne; nie jesteś już uwięziony w nędznej skorupie ciała — otrzymałeś postać eteryczną. Jak ci się to podoba, Mayerson?

Mówili drwiąco, lecz na ich twarzach malowało się współczucie; widniało w upiornych szczelinach elektronicznych oczu każdego z nich.

— Nie możesz umrzeć; nie jesz, nie pijesz i nie oddychasz powietrzem... jeśli zechcesz, możesz przenikać przez mury, przez każdy materialny obiekt. Z czasem nauczysz się tego. Widocznie święty Paweł w drodze do Damaszku miał widzenie związane z tym zjawiskiem. I na tym sprawa się nie skończyła.

— Jak widzisz — dodali Eldritchowie — skłaniam się trochę do punktu widzenia wczesnych i neochrześcijan, jaki reprezentuje Anne. To bardzo wiele wyjaśnia.

— A co z tobą, Eldritch? — powiedział Barney. — Jesteś martwy, zabity dwa lata temu przez Leo.

I wiem, myślał, że cierpisz tak samo jak ja; gdzieś, kiedyś, też musiało ci się to przytrafić. Wziąłeś zbyt dużą dawkę Chew-Z i teraz nie jesteś w stanie wrócić do swojego czasu i świata.

— Ten pomnik — odparła szóstka Eldritchów, mrużąc cicho jak świszczący wśród odległych wzgórz wiatr — to całkowite nieporozumienie. Jeden z moich statków stoczył bitwę ze statkiem Leo, tuż przy Wenus; ja byłem, czy też mówiono, że byłem, na pokładzie mojego. Leo leciał swoim. On, ja i Hepburn-Gilbert mieliśmy konferencję na Wenus, a w drodze powrotnej Leo skorzystał z okazji i zaatakował nas. Na podstawie tych przesłanek wzniesiono pomnik — a nie bez

znaczenia była też silna presja polityczna, jaką wywierał Leo dzięki swojej pozycji ekonomicznej. W ten sposób udało mu się wejść do historii.

Korytarzem nadeszły dwie osoby; dobrze ubrany młody człowiek wyglądający na dyrektora i dziewczyna, prawdopodobnie jego sekretarka. Spojrzeli ciekawie na Barneya i sześć istot we wnętrzu windy.

Istoty przestały być Palmerem Eldritchem; zmiana zaszła na oczach patrzącego na to Barneya. Nagle znów stały się sześciorgiem zwyczajnych kobiet i mężczyzn. Całkowicie heterogenicznych.

Barney odszedł od windy. Przez nieokreślony czas przemierzał korytarze, po czym zszedł rampą na parter, gdzie wisiała tablica informacyjna P. P. Layouts. Odnalazł na niej swoje nazwisko i numer pokoju. Śmieszne — w stopniu granicznym z przesadą — ale piastował teraz stanowisko, które nie tak dawno usiłował wymusić na Leo; figurował na tablicy jako Główny Inspektor Prognozowania Mody, wyraźnie przewyższający rangą pozostałych konsultantów. A więc gdyby tylko poczekał. . .

Niewątpliwie Leo zdołał sprowadzić go z Marsa. Uratować go przed światem baraku. A to implikowało bardzo wiele.

Zaplanowany proces — albo jakiś inny wybieg — musiał zakończyć się sukcesem. A właściwie zakończy się. Niebawem.

Opary halucynacji tworzonych przez Palmera Eldritch, rybaka ludzkich dusz, były niezwykle skuteczne, ale nie doskonałe. Nie na dłuższą metę. Zatem gdyby przestał zażywać Chew-Z po pierwszej dawce. . .

Może to, że Anne Hawthorne miała prymkę narkotyku, było celowe. Posłużyło do nakłonienia go do ponownego zażycia Chew-Z krótko po pierwszym seansie. Jeśli tak, jej protesty były fałszywe; chciała, żeby odebrał jej prymkę i jak szczur w labiryncie ruszył w kierunku źródła światła. Przez cały czas manipulowany przez Palmera Eldritch.

I nie było drogi powrotnej.

Jeśli wierzyć Eldritchowi, mówiącemu ustami Leo. Ustami jego wszystkich wyznawców. Oto kluczowe słowo: jeśli.

Wjechał windą na piętro, na którym mieścił się jego gabinet.

Kiedy otworzył drzwi, siedzący za biurkiem człowiek podniósł głowę i rzekł: — Zamknij drzwi. Nie mamy wiele czasu.

Mężczyzna, którym był on sam, wstał; Barney przyjrzał mu się uważnie, po czym w zadumie zamknął drzwi, jak mu kazano.

— Dzięki — powiedziało lodowato jego przyszłe ja. — I przestań się martwić o powrót do swojego czasu; wrócisz. Większość tego, co robił — lub jeśli wolisz tak to ująć, robi — Eldritch, to powierzchowne zmiany; sprawia, że rzeczy w y d a j ą s i ę takimi, jakimi on chce, ale nie oznacza to, że takimi są. Nadażasz?

— Hmm. . . wierzę ci na słowo.

— Zdaję sobie sprawę — mówiło jego przysze ja — że łatwo mi tak mówić, teraz; Eldritch wciąż pokazuje się od czasu do czasu, nawet zdarza się, że publicznie, ale ja wiem i każdy, nawet największy ignorant czytający najpośledniejszy rodzaj wideogazety wie, że on jest tylko halucynacją; stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, iż jego grób jest na Sigmie 14-B. Ty jesteś w innej sytuacji. Dla ciebie Palmer Eldritch może tu wejść w każdej chwili; to, co dla ciebie byłoby realne, dla mnie będzie halucynacją — i tak samo po twoim powrocie na Marsa. Spotkasz prawdziwego, żywego Palmera Eldritch'a i naprawdę ci tego nie zazdrościć.

— Powiedz mi tylko, jak mam wrócić — rzekł Barney.

— Już cię nie interesuje Emily.

— Boję się — powiedział i poczuł na sobie swoje własne spojrzenie, pełne zrozumienia. — W porządku — wybuchnął — więc co mam robić; udawać, że się nie boję, żeby wyrzucić na tobie wrażenie? I tak będziesz wiedział.

— Przewaga Eldritch'a nad wszystkimi i każdym, kto skosztował Chew-Z, polega na tym, że powrót do rzeczywistości jest niezwykle wolny i stopniowy; odbywa się przez szereg kolejnych stadiów, z których każde zawiera mniej iluzji, a więcej elementów realnych. Czasem ten proces trwa lata. To dlatego ONZ w końcu zakazał jego produkcji i zwrócił się przeciwko Eldritchowi; Hepburn-Gilbert początkowo zaaprobował narkotyk, ponieważ rzeczywiście wierzył, że to środek pomagający zażywającemu przejść do konkretnej rzeczywistości, a tymczasem stało się oczywiste dla każdego, kto używał Chew-Z lub widział, jak go zażywano, że ten środek działa wprost. . .

— A więc nigdy nie oprzytomniałem po pierwszej dawce.

— Zgadza się; nigdy w pełni nie odzyskałeś świadomości. A odzyskałbyś, gdybyś zrobił dwudziestoczworgodzinną przerwę. Halucynacje Eldritch'a zmieniające rzeczywistość ustąpiłyby w końcu; byłbyś wolny. Jednak Eldritch podsunął ci drugą, silniejszą dawkę; wiedział, że wysłano cię na Marsa, żebyś z nim walczył, chociaż nie miał pojęcia w jaki sposób. Bał się ciebie.

Dziwnie było tego słuchać; jakoś nie brzmiało to prawdziwie. Eldritch, ze wszystkim, co zrobił i mógł zrobić. . . przecież Eldritch widział pomnik w przyszłości; wiedział, że kiedyś, w jakiś sposób uda im się go zabić.

Drzwi gabinetu otworzyły się nagle.

Roni Fugate weszła i zobaczywszy ich nic nie powiedziała; po prostu rozdziała usta i wytrzeszczyła oczy. Po dłuższej chwili wymamrotała:

— Złudzenie. Myślę, że to ten, który stoi, ten bliżej mnie.

Niepewnie weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

— Zgadza się — powiedział przysze Barney patrząc na nią uważnie. — Możesz to sprawdzić dotykając go ręką.

Tak zrobiła; Barney Mayerson ujrzał, jak jej ręka wchodzi w jego ciało i znika.

— Widywałam już zjawy — powiedziała, cofając rękę. Była już spokojniejsza. — Ale jeszcze nigdy nie widziałam twojej, mój drogi. Każdy, kto zażył to świństwo, stał się zjawą w takim czy innym czasie, ale ostatnio jest ich coraz mniej. Kiedyś, gdzieś rok temu, wszędzie było ich pełno. Nawet Hepburn-Gilbert w końcu jedną zobaczył; zasłużył sobie na to — dodała.

— Zdajesz sobie sprawę — powiedział do Roni przyszły Barney — że on jest pod silnym wpływem Eldritch, mimo że dla nas ten człowiek nie żyje. Eldritch w każdej chwili może zacząć oddziaływać na jego percepcję, a wtedy on nie będzie miał innego wyjścia, jak odpowiednio zareagować.

— Co możemy dla ciebie zrobić? — powiedziała Roni, zwracając się do Barneya.

— On chce wrócić na Marsa — powiedział przyszły Barney. — Wspólnie wymyślili potwornie skomplikowany plan zniszczenia Eldritch na drodze sądowej, co wiąże się z zażyciem środka epilepsygennego, KV-7. A może nie sięgasz tak daleko pamięcią?

— Przecież ta sprawa nigdy nie znalazła się w sądzie — powiedziała Roni. — Eldritch uzgodził się z nimi. Wycofali skargę.

— Możemy przetransportować cię na Marsa — powiedział Barneyowi jego sobowtór z przyszłości — statkiem P.P. Layouts. Jednak to nic nie da, ponieważ Eldritch nie tylko poleci za tobą i będzie ci towarzyszył; powita cię po przylocie na miejsce — to jego ulubiona zabawa. Nie zapominaj, że zjawy mogą być wszędzie; nie jest ograniczona czasem czy przestrzenią. To właśnie czyni ją zjawą, to i fakt, że nie ma metabolizmu, przynajmniej w naszym rozumieniu tego słowa. Jednakże w pewien dziwny sposób oddziałuje na nią grawitacja. Ostatnio pojawiło się wiele prac dotyczących tego zjawiska, jednak na razie niewiele wiadomo. Szczególnie — dokończył z naciskiem — w kwestii, jak egzorcyzmować zjawę, jak sprawić, aby powróciła do swojej przestrzeni i czasu.

— Chcecie się mnie jak najszybciej pozbyć? — zapytał Barney.

Poczuł chłód.

— Zgadza się — odparło spokojnie jego przyszłe wcielenie. — Tak samo jak ty chcesz jak najszybciej wrócić; wiesz już, że popełniłeś błąd, i że...

Zerknął na Roni i natychmiast urwał. Nie miał zamiaru poruszać tematu Emili w jej obecności.

— Robili jakieś próby z elektrowstrząsami przy użyciu prądu o wysokim napięciu i niskim natężeniu — powiedziała Roni. — I z polem magnetycznym. Na uniwersytecie stanowym w Kolumbii...

— Jak do tej pory — przerwał jej przyszły Barney — najlepsze wyniki uzyskano w Kalifornii, na wydziale fizyki Politechniki. Zjawę bombarduje się cząsteczkami beta, które niszczą podstawową strukturę proteinową...

— Dobrze — uciał Barney. — Zostawię was w spokoju. Pojadę tam i zobaczę, co się da zrobić.

Był zupełnie załamany; został opuszczony w potrzebie przez wszystkich, nawet samego siebie. To już szczyt, myślał z bezsilną, ślełą furią. Chryste!

— To dziwne — powiedziała Roni.

— Co jest dziwne? — zapytało jego przyszłe „ja”, odchylając się w fotelu i patrząc na nią z rękami założonymi na piersi.

— To co powiedziałeś o Politechnice — odparła Roni. — O ile wiem, oni tam nigdy nie zajmowali się zjawami. Poproś, żeby ci pokazał obie ręce — powiedziała cicho do Barneya.

— Pokaż ręce — rzekł Barney. Jednak widział już powolną zmianę zachodzącą w siedzącym mężczyźnie, szczególnie w kształcie jego szczęki; bez trudu rozpoznał znajomą kanciastość. — Daj spokój — rzekł ochryple; kręciło mu się w głowie.

Jego przyszłe „ja” powiedziało drwiąco:

— Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają, Mayerson. Czy naprawdę sądzisz, że coś ci to da, jeśli będziesz się tu włóczył próbując wymyślić kogoś, kto by ci współczuł? Do diabła, żal mi cię; mówiłem ci, żebyś nie zażywał drugiej porcji. Wyciągnąłbym cię z tego, gdybym wiedział jak, a wiem o tym narkotyku więcej niż ktokolwiek na świecie.

— Co z nim będzie? — spytała Roni przyszłego Barneya, który nie był już przyszłym Barneyem; metamorfoza zakończyła się i Palmer Eldritch siedział wygodnie rozparty w fotelu kołysząc się lekko; wysoki i szary, wielka masa splecionych pajęczyn wielkodusznym gestem uformowana w niby ludzką postać. — Mój dobry Boże, czy on już z a w s z e będzie się tu kręcił?

— To dobre pytanie — rzekł ciężko Palmer Eldritch. Sam chciałbym wiedzieć; zarówno ze względu na niego, jak i siebie. Pamiętajcie, że tkwię w tym głębiej niż on.

Zwracając się do Barneya powiedział:

— Chyba dotarło do ciebie, prawda, że niekoniecznie musisz przybierać swój zwykły Gestalt; możesz być kamieniem lub drzewem, odrzutowcem albo kawałkiem osłony przeciwciepłej. Byłem wszystkim tym i jeszcze czymś innym. Jeśli staniesz się czymś nieożywionym, na przykład kłosem drewna, nie będziesz sobie zdawał sprawy z upływu czasu. To dość interesujące wyjście z sytuacji dla kogoś, kto pragnie uniknąć widmowej egzystencji. Ja nie chcę — mówił cicho. — Ponieważ dla mnie powrót do mojego czasu i przestrzeni oznacza śmierć z ręki Leo. I dlatego mogę żyć tylko w takiej postaci. Jednak w twoim przypadku...

Zrobił niewyraźny gest i uśmiechnął się słabo.

— Bądź głazem, Mayerson. Poczekaj, choćby miało to być nie wiem jak długo, aż działanie narkotyku minie. Dziesięć lat, sto. Milion lat. Albo zostań skamieniałą kością w gablocie muzeum.

Patrzył łagodnie.

Po dłuższej chwili Roni powiedziała:

— Może on ma rację, Barney.

Barney podszedł do biurka, złapał szklany przycisk do papieru, po czym odłożył go z powrotem.

— Nie możemy go dotknąć — powiedziała Roni — ale on...

— Zdolność manipulowania przedmiotami materialnymi — powiedział Palmer Eldritch — dowodzi, że zjawy są o b e c n e w danej rzeczywistości, że nie są tylko iluzją. Pamiętajcie o poltergeistach... mogły ciskać przedmiotami po całym domu, chociaż były niematerialne.

Na jednej ze ścian gabinetu błyszczała plakietka; nagroda, którą Emily otrzymała trzy lata temu — licząc w jego czasie — na wystawie ceramiki. Wisiała tu — wciąż ją zachował.

— Chcę być tą plakietką — zdecydował Barney.

Była zrobiona z twardego drewna, prawdopodobnie mahoniu i brązu; przetrwała wiele lat, a ponadto wiedział, że jego przyszłe ja nigdy jej nie wyrzuci. Podszedł do plakietki zastanawiając się, jak przestać być człowiekiem i stać się przedmiotem z brązu i drewna, wiszącym na ścianie gabinetu.

— Chcesz, żebym ci pomógł, Mayerson? — spytał Palmer Eldritch.

— Tak — odparł.

Jakaś siła zachwiała nim; rozłożył ramiona, żeby zachować równowagę, i nagle leciał, spadał w bezdenny, zwężający się tunel. Czuł, jak ściany zaciskają się wokół niego, i wiedział, że popełnił błąd. Palmer Eldritch raz jeszcze go przechrzył, zademonstrował władzę, jaką miał nad każdym, kto zażywał Chew-Z; zrobił coś i Barney nawet nie wiedział co, ale z pewnością nie to, co mówił, co obiecał.

— Niech cię szlag, Eldritch — powiedział Barney, nie słysząc swojego głosu, niczego nie słysząc; spadał i spadał, zupełnie nieważki, nie będący już nawet widmem. Grawitacja przestała działać, widocznie także zniknęła.

Zostaw mi coś, pomyślał. Proszę. Uświadomił sobie, że to modlitwa, której już nie wysłuchano; Palmer Eldritch zrobił swoje dawno temu i teraz już za późno, zawsze było za późno. Zatem muszę doprowadzić do procesu, powiedział sobie Barney; jakoś wrócę na Marsa, połknę toksynę, spędzę resztę życia w sądach międzyplanetarnych — i wygram. Nie ze względu na Leo czy P. P. Layouts, lecz ze względu na siebie.

Nagle usłyszał śmiech. To był śmiech Palmera Eldritch, ale wydobywał się z...

Jego własnych ust.

Spojrząwszy na swoje ręce ujrzał najpierw lewą, bladą różową, pokrytą skórą z drobnymi, niemal niewidocznymi włoskami, a później prawą; jasną, błyszczącą, perfekcyjnie ukształtowaną sztuczną rękę o wiele lepszą od oryginalnej, utraconej przed laty.

Teraz wiedział, co mu uczyniono. Dokonano potwornej — przynajmniej z jego punktu widzenia — przemiany i być może wszystko, co się do tej pory wydarzyło,

zmierzało właśnie ku temu.

To mnie zabije Leo Bulero, uświadomił sobie Barney. To o mnie będzie mówił ten napis na pomniku.

Teraz ja jestem Palmerem Eldritchem.

W takim razie, pomyślał, gdy tymczasem świat wokół niego zaczął przybierać konkretną formę, ciekawe, jak mu idzie z Emily.

Mam nadzieję, że kiepsko.

Rozdział 12

Z szeroko rozłożonymi ramionami rozciągał się od układu Proximy Centauri do samej Ziemi, i nie był człowiekiem; nie wrócił jako taki. I miał ogromną władzę. Mógł przewyciężyć śmierć.

Jednak nie był szczęśliwy. Z jednej prostej przyczyny: był samotny. Próbował temu zaradzić; zadał sobie wiele trudu, aby pociągnąć za sobą innych.

Jednym z nich był Barney Mayerson.

— Mayerson — powiedział tonem towarzyskiej pogawędki — co, do diabła, masz do stracenia? No, powiedz sam; jesteś skończony. Nie masz kobiety, którą kochasz, i żałujesz tego, co było. Wiesz, że obrałeś w życiu zdecydowanie zły kurs i nikt cię do tego nie zmuszał. I nie można tego naprawić. Nawet jeśli przyszłość będzie trwać milion lat, nie odzyskasz tego, co utraciłeś — dobrowolnie. Nadażasz za tokiem mojego rozumowania?

Milczenie.

— I zapominasz o jednym — ciągnął po chwili. — Ona cofnęła się w rozwoju w wyniku tej nędznej terapii ewolucyjnej, jaką zaaplikował jej ten niemiecki konował w jednej ze swych klinik. Oczywiście, była na tyle sprytna — a właściwie jej mąż był na tyle sprytny — że kazał jej zaniechać terapii, tak że wciąż robi garnki, które się sprzedają; aż tak się nie cofnęła. Jednak... nie spodobałaby ci się taka, jaka jest teraz. No wiesz; odrobinę płytsza, trochę głupsza. Nawet gdybyś ją odzyskał, nie byłoby tak, jak dawniej; b y ł o b y i n a c z e j.

Znów czekał. Tym razem usłyszał odpowiedź.

— No i dobrze!

— Dokąd chciałbyś się udać? — pytał dalej. Na Marsa? Akurat. W porządku, a więc na Ziemię.

— Nie — odparł Barney Mayerson, nie on sam. — Wyemigrowałem na ochotnika. Miałem dość; byłem skończony.

— No dobrze. Nie na Ziemię. Zobaczymy. Hmm... — Zastanawiał się. — Do Proximy — powiedział. — Nigdy nie widziałeś układu Proximy ani Proxów. Ja jestem mostem, wiesz? Między dwoma układami. W każdej chwili mogą dostać się do Układu Słonecznego — przeze mnie. Ale ja ich nie wpuszczam. Chociaż

coraz bardziej się niecierpliwią.

Zachichotał.

— Ustawiają się w kolejkach. Jak dzieciaki za biletami na poranek.

— Zamień mnie w kamień.

— Dlaczego?

— Żebym nic nie czuł — odparł Barney Mayerson. — Nie ma już nic, czego bym chciał.

— Nie chciałbyś być razem ze mną częścią jednego, homogenicznego organizmu?

Brak odpowiedzi.

— Pomógłbyś mi realizować moje plany. A mam ich wiele, i na dużą skalę — przedsięwzięcia Leo są przy nich niczym.

Oczywiście, myślał, Leo niedługo mnie zabije. Niedługo, w kategoriach, w jakich mierzy się czas poza moimi światami. — Przedstawię ci jeden z nich. Jeden z mniej ważnych. Może to cię pobudzi.

— Wątpię — rzekł Barney.

— Mam zamiar stać się planetą.

Barney roześmiał się.

— Uważasz, że to śmieszne? — Ogarnęła go złość.

— Myślę, że jesteś stuknięty. Obojętnie, czy jesteś człowiekiem, czy istotą z międzygwiazdnej próżni, postradałeś zmysły.

— Jeszcze nie wyjaśniłem — odparł z godnością — co przez to rozumiem. Chciałem powiedzieć, że zamierzam być każdym mieszkańcem planety. Wiesz, o której planecie mówię.

— O Ziemi.

— Nie, do diabła. O Marsie.

— Dlaczego akurat Mars?

— Ponieważ jest... — Przez chwilę szukał odpowiednich słów. — Jest nowy. Nie ucywilizowany. Pełen możliwości. Zamierzam stać się każdym z kolonistów, którzy tam przybędą. Poprowadzę ich ku cywilizacji; będę ich cywilizacją.

Milczenie.

— No, dalej. Powiedz coś.

— Jak to jest — rzekł Barney — że możesz być wszystkim, nawet całą planetą, a ja nie mogę się stać nawet tą plakietką na ścianie mojego biura w P. P. Layouts?

— Hmm — mruknął zbity z tropu. — No dobrze, dobrze; możesz być tą plakietką, co mnie to do diabła obchodzi? Zostań, czym chcesz — zażyłeś ten narkotyk i masz do tego prawo. To oczywiście złudzenie. Taka jest prawda. Wyjawiam ci największy sekret; to wszystko halucynacja. Tylko pewne prorocze aspekty tych wizji sprawiają, że wydają się one rzeczywistością, podobnie jak sny. Przeniosłem się do miliona tych tak zwanych „światów” i wróciłem z nich; poznałem je wszystkie. I wiesz, czym one są? Niczym! Są jak elektryczny impuls raz po raz

aplikowany sobie przez laboratoryjnego szczura, który podrażnia w ten sposób specyficzne obszary swego mózgu. Są odpychające.

— Rozumiem — rzekł Barney Mayerson.

— I wiedząc o tym chcesz skończyć w jednym z nich?

— Jasne — odparł po chwili Barney.

— Dobrze! Uczynię cię kamieniem, położę cię na brzegu morza; możesz tak leżeć przez milion lat i słuchać szumu fal. To powinno cię zadowolić.

Ty durna pało, myślał z wściekłością. Kamieniem! Chryste!

— To pranie mózgu, tak? — spytał nagle Barney. — Czy po to przysłali cię tu Proxi?

— Nikt mnie nie przysyłał. Zjawiłem się tu z własnej woli. To lepsze od życia w próżni między odległymi gwiazdami.

Zachichotał.

— Z pewnością nie grzeszysz nadmiarem szarych komórek — i chcesz być kamieniem. Słuchaj, Mayerson; tak naprawdę to wcale nie chcesz zostać kamieniem. Pragniesz umrzeć.

— Umrzeć?

— Mówisz, że o tym nie wiedziałeś? — spytał z niedowierzaniem. — No, daj spokój!

— Nie. Nie wiedziałem.

— To bardzo proste, Mayerson; przeniosę cię do świata, w którym będziesz gnijącym ścierwem przejechanego psa; cóż za cholerna ulga, pomyśl. Będziesz mną; jesteś mną i Leo Bulero cię zabije. To ten przejechany pies, Mayerson; to ścierwo gnijące w rowie.

A ja będę żył, powiedział sobie. Oto mój dar dla ciebie i pamiętaj, że po niemiecku słowo Gift¹ oznacza truciznę. Za kilka miesięcy pozwolę ci umrzeć za mnie i ten pomnik na Sigmie 14-B zostanie wzniesiony, ale ja będę żył dalej, w twoim ciele. Kiedy wrócisz z Marsa, aby znów podjąć pracę w P.P. Layouts, będziesz mną. W ten sposób uniknę swego losu.

To takie proste.

— W porządku, Mayerson — dokończył, zmęczony rozmową. — Naprzód i w nich, jak powiadają. Możesz uważać się za porzuconego; już dłużej nie jesteśmy jednością. Nasze losy potoczą się inaczej, osobno, tak jak tego chciałeś. Ty znajdujesz się na statku Connera Freemana odlatującym z Wenus, a ja z powrotem w Chicken Pox Prospects; zakładam tam nędzny ogródek warzywny i w każdej chwili mogę sobie pofiglować z Anne Hawthorne. Jak dla mnie, to całkiem przyjemne życie. Mam nadzieję, że ty polubisz swoje.

W następnej chwili wrócił.

¹Gift (ang.) – dar (przyp. red.)

Stał w kuchni swojej kwatery w Chicken Pox Prospects i smażył na patelni miejscowe grzyby. . . w powietrzu rozchodził się zapach masła i przypraw, a w pokoju z przenośnego magnetofonu dobiegały dźwięki symfonii Haydna. Tak spokojnie, pomyślał z zadowoleniem. Właśnie tego mi trzeba; trochę spokoju i ciszy. Mimo wszystko przywykłem do tego tam, w międzygwiazdnej próżni. Ziewnął, przeciągnął się i powiedział:

— Udało się.

Siedząca w pokoju Anne Hawthorne zerknęła znad wideogazety z wiadomościami emitowanymi przez jeden z satelitów ONZ i powiedziała:

— Co ci się udało, Barney?

— Doprawić je w sam raz — odparł z triumfem.

Jestem Palmerem Eldritchem i znajduję się tu, a nie tam. Przeżyję zamach Leo i będę używał tu życia i cieszył się nim, do czego Barney nie byłby zdolny.

Zobaczmy, jak mu się to spodoba, kiedy działa statku Leo rozniosą jego transportowiec na atomy. Wtedy pożałuje, że zmarnował resztę życia.

Barney Mayerson zmrużył oczy przed padającym z góry światłem. Po chwili zdał sobie sprawę, że jest na statku; pomieszczenie wyglądało na typowe połączenie sypialni z salonem, ale zauważył, że wszystkie meble były starannie przyśrubowane do podłogi. Poza tym ciężenie było zupełnie inne; sztucznie wytwarzane, nieudolnie imitowało ziemskie.

Opodal dostrzegł wizjer; wprawdzie nie większy od komórki pszczelego plastra, ale ukazujący pustkę rozpościerającą się za grubym plastykiem. Podszedł i spojrział. Większość pola widzenia wypełniało oślepiające Słońce, więc sięgnął do przełącznika, aby włączyć czarny filtr. Robiąc to spojrział na swoją rękę. Na swoją sztuczną, metalową, wspaniale sprawną protezę.

Natychmiast wyszedł z kabiny i ruszył korytarzem, aż dotarł do zamkniętych drzwi sterówki; zabębnił w nie stalowymi palcami i po chwili gruba grodz rozsunęła się.

— Tak, panie Eldritch? — powitał go młody pilot, kłaniając się z szacunkiem.

— Wyślij depeszę — powiedział mu.

Pilot wyjął pióro i zawiesił dłoń nad notatnikiem przymocowanym do krawędzi pulpitu sterowniczego.

— Do kogo, proszę pana?

— Do pana Leo Bulero.

— Do Leo. . . Bulero — zapisał szybko pilot. — Czy to ma być przesłane na Ziemię, proszę pana? Jeśli tak. . .

— Nie. On jest gdzieś tutaj, na swoim statku. Przekaż mu. . . — Urwał i zastanowił się

— Chce pan z nim porozmawiać, proszę pana?

— Nie chcę, żeby mnie zabił — odparł. — To właśnie zamierzam mu powiedzieć. Ciebie to też dotyczy. I każdego, kto oprócz nas znajduje się na pokładzie tego powolnego, idiotycznie wielkiego pudła.

To beznadziejne, pomyślał. Ktoś z organizacji Felixa Blau, przezornie umieszczony na Wenus, widział mnie na pokładzie tego statku; Leo wie, że tu jestem. To koniec.

— Chce pan powiedzieć, że konkurencja posunie się do wszystkiego? — spytał zaskoczony pilot. Pobladł.

Pojawiła się Zoe Eldritch jego córka, w tyrolskim wdzianku i pantoflach obytych futrem.

— Co się dzieje?

— Leo jest w pobliżu — odparł. — Ma uzbrojony statek i poparcie ONZ; zostaliśmy wciągnięci w zasadzkę. Nie trzeba było lecieć na Wenus. Hepburn-Gilbert musiał o tym wiedzieć. Próbuj się z nim połączyć — powiedział do pilota. — Ja wracam do kabiny.

I tak nic na to nie mogę poradzić, powiedział sobie w duchu i ruszył do wyjścia.

— Do diabła — zaklął pilot — niech pan z nim pogada. To o pana mu chodzi. Zerwał się z fotela, demonstracyjnie opuszczając swoje miejsce.

Barney Mayerson usiadł i z cichym westchnieniem włączył nadajnik; nastawił go na pasmo alarmowe, podniósł mikrofon i powiedział:

— Leo, ty draniu. Dostałeś mnie; zwabiłeś mnie tu i masz mnie w rękę. Ty i ta twoja przeklęta flota, która czekała na mnie od chwili, gdy wróciłem z Proximy. Wyprzedziłeś mnie już na starcie.

Był teraz bardziej zły niż przestraszony.

— Na tym statku nie ma niczego, co mogłoby nas obronić. Będziesz strzelać do nie uzbrojonej jednostki. To statek transportowy.

Urwał, próbując coś wymyślić. Może powiedzieć, że jestem Barneyem Mayersonem i że Eldritch nigdy nie zostanie pochwycony ani zabity, ponieważ zawsze będzie się przenośli z jednego bytu do drugiego? I że Leo w rzeczywistości zabije kogoś, kogo zna i kocha?

— Powiedz coś — ponagla Zoe.

— Leo — rzekł do mikrofonu. — Pozwól mi wrócić na Proximę. Proszę.

Czekał słuchając trzasków w głośniku.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Cofam to, co powiedziałem. Nigdy nie opuszczę Układu Słonecznego i nigdy nie uda ci się mnie zabić, nawet przy pomocy Hepburn-Gilberta czy kogokolwiek innego z ONZ.

— No i jak? — rzekł do Zoe. — Jak ci się to podoba? Mam dość.

Ze szczękiem upuścił mikrofon.

Pierwszy strzał z lasera niemal rozłupał statek na dwie połowy.

Barney Mayerson leżał na podłodze sterowni słuchając wycia uciekającego powietrza i szcękę zatrzasujących się grodzi. Mam, czego chciałem, pomyślał. A przynajmniej czego chciałem według Palmera Eldritch. Śmierć.

Smukły myśliwiec Leo Bulero wolno zajmował pozycję szykując się do drugiego, decydującego strzału. Na ekranie umieszczonym przed fotelem pilota Barney widział płomień dysz. Byli naprawdę blisko.

Leżąc, szykował się na śmierć.

I nagle Leo Bulero ruszył ku niemu przez główny pokój jego kwatery na Marsie.

Zaciekawiona Anne Hawthorne podniosła się z fotela i powiedziała:

— A więc to pan jest Leo Bulero. Wiele pytań, w większości odnoszących się do pańskiego produktu, Can-D. . .

— Nie produkuję Can-D — rzekł Leo. — Kategorycznie zaprzeczam tym plotkom. Żadne z moich licznych przedsięwzięć nie jest nielegalne. Słuchaj, Barney, czy zażyłeś już ten. . . no, wiesz — szepnął ochryple, pochylając się nad Mayersonem. — Tak czy nie?

— Wyjdę na chwilę — powiedziała domyślnie Anne.

— Nie trzeba — mruknął Leo i spojrzał na Felixa Blau, który skinął głową. — Wiem, że pracujesz dla Felixa — powiedział do niej i ze złością szturchnął Barneya.

— Nie sądzę, żeby to zażył — powiedział na pół do siebie. — Obszukam go. Zaczął grzebać w kieszeniach Mayersona, a później za pazuchą jego koszuli.

— Jest. — Wyłowił fiolkę zawierającą toksynę zaburzającą metabolizm mózgu. — Nietknięta — rzekł z obrzydzeniem do Felixa Blau odkręciwszy zakrętkę i spojrzawszy do środka. — To dlatego Faine nie miał od niego żadnych wiadomości. Stchórzył.

— Nie stchórzyłem — powiedział Barney. Byłem daleko stąd, myślał. Nie wiecie? — To przez Chew-Z — mruknął. — Byłem bardzo daleko.

— Taak, byłeś nieprzytomny przez blisko dwie minuty — powiedział pogardliwie Leo. — Przyszliśmy tu zaraz po tym, jak się tu zamknąłeś; jakiś facet — Norm jakiś tam — otworzył nam kluczem uniwersalnym; zdaje się, że to on rządzi tym barakiem.

— Musicie pamiętać — powiedziała Anne — że subiektywny wpływ czasu po zażyciu Chew-Z nie pokrywa się z rzeczywistym; dla niego mogły minąć godziny lub dni.

Ze współczuciem spojrzała na Barneya.

— Prawda?

— Umarłem — rzekł Barney i usiadł. Czuł mdłości. — Zabiłeś mnie.

Zapadła znamienna, pełna zakłopotania cisza.

— O mnie mówisz? — spytał w końcu Felix Blau.

— Nie — odparł Barney.

To nie miało znaczenia. A przynajmniej dopóki ponownie nie zażyje narkotyku. Kiedy to zrobi, nadejdzie koniec; Palmer Eldritch przeżyje, zatriumfuje. I właśnie to było nie do zniesienia; nie jego własna śmierć — co i tak kiedyś musiało nastąpić — ale fakt, że Palmer Eldritch stanie się nieśmiertelny. Śmierć, pomyślał, gdzie twe zwycięstwo nad tą... rzeczą?

— Czuję się dotknięty — poskarżył się Felix Blau. — Co to ma znaczyć, że ktoś cię zabije, Mayerson? Do diabła, wyciągnęliśmy cię z zapaści. A podróż tu była trudna i moim zdaniem ryzykowna dla pana Bulero, który jest moim klientem; to rejon, gdzie działa Eldritch.

Czujnie rozejrzał się wokół.

— Niech zażyje tę toksynę — powiedział do Leo — i wracajmy na Ziemię, zanim zdarzy się coś strasznego. A czuję, że się zdarzy.

Ruszył do drzwi.

— Zażyjesz to, Barney? — zapytał Leo.

— Nie — odparł.

— Dlaczego?

Ze zmęczeniem. Nawet spokojnie.

— Życie zbyt wiele dla mnie znaczy.

Postanowiłem przestać się umartwiać, pomyślał. W końcu.

— Co się z tobą działo podczas przeniesienia?

Wstał, kręciło mu się w głowie.

— On nic nie powie — rzekł od drzwi Felix Blau.

— Barney — rzekł Leo — tylko to przyszło nam do głowy. Wyciągnę cię stąd; jestem pewny. A epilepsja typu Q to nie koniec...

— Tracisz czas — przerwał mu Felix Blau wychodząc na korytarz. Posłał Barneyowi jeszcze jedno jadowite spojrzenie. — Popełniłeś błąd pokładając nadzieję w tym facecie.

— On ma rację, Leo — powiedział Barney.

— Nigdy nie wydasz się z Marsa — rzekł mu Leo. — Nigdy nie załatwię ci powrotu na Ziemię. Obojętnie co się wydarzy.

— Wiem.

— Jednak nic cię to nie obchodzi. Masz zamiar spędzić resztę swoich dni zażywając ten przeklęty narkotyk.

Leo patrzył na niego z wściekłością, zbity z tropu.

— Przeciwnie — rzekł Barney — nigdy więcej tego nie zrobię.

— Co więc zamierzasz?

— Będę tu żył — odparł Barney. — Jako kolonista. Będę pracował w ogrodzie na górze i robił wszystko to, co się tutaj robi. Kopał rowy nawadniające i tym podobnie.

Był śmiertelnie zmęczony i mdłości nie ustępowały.

— Przykro mi — rzekł.

— Mnie też — rzekł Leo. — I nie mogę cię zrozumieć.

Zerknął na Anne Hawthorne, ale i tam nie znalazł odpowiedzi. Wzruszył ramionami i podszedł do drzwi. Stał w progu i chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował i poszedł za Felixem Blau. Barney słyszał odgłos ich kroków, gdy szli po schodach na górę. W końcu kroki umilkły i zapadła cisza. Barney powlókł się do zlewu i nalał sobie szklankę wody.

— Rozumiem cię — powiedziała po chwili Anne.

— Naprawdę?

Woda miała cudowny smak; splukała ostatnie ślady Chew-Z.

— Częściowo stałeś się Palmerem Eldritchem — powiedziała. — A on stał się częściowo tobą. Już nie możecie się oddzielić od siebie; zawsze będziecie. . .

— Oszalałaś — powiedział, ciężko opierając się o umywalkę, żeby utrzymać równowagę; nogi wciąż się pod nim ugiwały.

— Eldritch otrzymał od ciebie to, co chciał — powiedziała Anne.

— Nie — rzekł. — Ponieważ wróciłem zbyt szybko. Musiałbym zostać jeszcze pięć czy dziesięć minut. Kiedy Leo wystrzelił po raz drugi, to Palmer Eldritch będzie na tym statku, nie ja.

I właśnie dlatego nie muszę ryzykować utraty zmysłów realizując ten zwariowany, wydumany plan będący produktem rozpaczy, powiedział sobie. Ten człowiek, czy też to wkrótce zginie. . .

— Rozumiem — powiedziała Anne. — I jesteś pewny, że wizja przyszłych zdarzeń, które widziałeś podczas przeniesienia. . .

— Jest prawdziwa.

— Ponieważ podczas eksperymentu z narkotykiem nie polegał na tym, co mu oferowano.

A ponadto był jasnowidzem.

— Palmer Eldritch też o tym wie — rzekł. — On zrobi. . . robi wszystko, co może, żeby wyjść z tego cało. Jednak nie wyjdzie. Nie może.

A przynajmniej, pomyślał, p r a w d o p o d o b n i e nie może. Jednak na tym polega sens przyszłości, splotu różnych ewentualności. Zaakceptował ten fakt już dawno temu i nauczył się radzić sobie z nim; intuicyjnie wiedział, którą linię postępowania wybrać. Dlatego pracował u Leo.

— Jednak Leo mimo to nic dla ciebie nie zrobi — powiedziała Anne. — Nie ściągnie cię z powrotem na Ziemię. Wiesz, że on mówił poważnie? Poznałam po wyrazie jego twarzy; dopóki żyje, nie. . .

— Ziemi — odparł Barney — miałem już dość.

On także mówił poważnie, dobrze zdając sobie sprawę z tego, jakie życie oczekiwało go tutaj, na Marsie.

Jeśli było ono dostatecznie dobre dla Palmera Eldritch, było też dobre dla niego. Ponieważ Palmer Eldritch żył niejednym życiem; i cokolwiek był, człowiekiem czy zwierzęciem, posiadał głęboką, prawdziwą mądrość. Zjednoczenie

z Eldritchem w czasie przeniesienia pozostawiło ślad na Barneyu; rodzaj znamienia, absolutnej wiedzy. Zastanawiał się, czy i Eldritch uzyskał od niego coś w zamian. Może wiedziałem coś, co mu się przydało? — zapytywał się w duchu. Jakieś przeczucie? Nastrój lub wspomnienie?

Dobre pytanie. Doszedł do wniosku, że odpowiedź na nie brzmi „nie”. Nasz przeciwnik to coś zdecydowanie brzydkiego i obcego, co opanowało przedstawiciela naszego gatunku podczas długiej podróży z Ziemi na Proximę... patrząc na to z szerszej perspektywy, wiedział jednak znacznie więcej niż ja o sensie naszej egzystencji. Te stulecia jałowego dryfowania w przestrzeni i oczekiwania na jakąś formę życia, którą mógłby opanować i stać się, zaistnieć... może one były właśnie źródłem tej wiedzy; nie doświadczenie, lecz nie kończąca się samotność. W porównaniu z nim ja nie wiem nic, nie osiągnąłem niczego.

W drzwiach stanęli Fran i Norm Scheinowie.

— Hej, Mayerson, no i jak było? Co myślisz o Chew-Z?

Weszli do pokoju, z niecierpliwością czekając na odpowiedź.

— To się nie przyjmie — burknął Barney.

— Ja tak nie uważam — powiedział rozczarowany Norm. — Podobało mi się o wiele bardziej niż Can-D. Tyle że... — Zawahał się, zmarszczył brwi i niespokojnie zerknął na żonę. — Przez cały czas czułem czyjąś obecność. To psuło wszystko. Oczywiście przeniosłem się z powrotem do...

— Pan Mayerson wygląda na zmęczonego — przerwała mu Fran. — Później opowiesz mi wszystko dokładnie.

Mierząc Barneya spojrzeniem Norm Schein powiedział:

— Dziwny z ciebie ptaszek, Barney. Zaraz po pierwszym seansie odebrałeś prymkę tej dziewczynie, pannie Hawthorne, uciekłeś i zamknąłeś się w swoim pokoju, żeby to zażyć, a teraz mówisz... — Wzruszył filozoficznie ramionami. — No, może po prostu wzięłeś zbyt wiele naraz. Przedawkowałeś, człowieku. Ja mam zamiar znów spróbować. Ostrożnie, rzecz jasna. Nie tak jak ty.

I dodając sobie otuchy dorzucił głośno:

— Ja uważam, że to dobra rzecz.

— Oprócz — powiedział Barney — tego wrażenia czyjejś obecności.

— Ja też to czułam — powiedziała cicho Fran. — I nie zamierzam brać tego Chew-Z ponownie. Ja... boję się. Nie wiem, co to jest, ale się boję.

Zadrzała i przysunęła się do męża; machinalnie objął ją ramieniem.

— Nie bój się. To po prostu usiłuje żyć, tak jak my wszyscy.

— Ale to było takie... — zaczęła Fran.

— Coś, co jest tak stare — rzekł Barney — musi się nam wydać nieprzyjemne. Ono nie mieści się w naszej koncepcji czasu. To potworność.

— Mówisz, jakbyś wiedział, co to jest — rzekł Norm.

Bo wiem, pomyślał Barney. Ponieważ, jak powiedziała Anne, część tego jest teraz mną. I będzie, dopóki nie umrze po upływie kilku miesięcy, zwracając tę

część mnie, którą włączyło w siebie. Przeżyję przykre chwile, gdy Leo wystrzeli po raz drugi. Ciekawe, jakie uczucie...

— Ono ma imię — powiedział do wszystkich, a szczególnie do Norma Scheina i jego żony — które rozpoznałybyście, gdybym je wyjawiał. Chociaż samo nigdy by się tak nie określiło. My je tak nazwaliśmy. Z doświadczenia i z odległości, poprzez tysiące lat. Jednak wcześniej czy później musieliśmy się z tym zetknąć bezpośrednio. Nie na odległość.

— Masz na myśli Boga — powiedziała Anne Hawthorne.

Nie miał ochoty odpowiadać; zaledwie skinął głową.

— Jednak... to z ł o..? — szepnęła Fran Schein.

— To tylko jeden z aspektów — odparł Barney — sposób, w jaki to odbieramy. Nic więcej.

Czy jeszcze nie udało mi się was przekonać? — zapytywał się w duchu. Czy muszę wam mówić, jak to próbowało mi pomóc — na swój sposób? I jak było spętane siłami losu, który, wydawało się, górował nad wszystkim, co żyje, włącznie z nami samymi.

— O rany — rzekł Norm.

Kąciki ust wygięły mu się w dół; przez chwilę wyglądał jak oszukane dziecko.

Rozdział 13

Później, kiedy nogi przestały się pod nim uginać, zabrał Anne na powierzchnię i pokazał jej zaczątek swojego ogrodu.

— Wiesz — powiedziała — trzeba mieć odwagę, żeby sprawić komuś zawód.

— Masz na myśli Leo?

Wiedział, co chciała powiedzieć; nie będzie dyskusji na temat tego, co właśnie zrobił Leo Felixowi Blau i całej firmie P.P. Layouts włącznie z organizacją rozprawdzającą Can-D.

— Leo jest dorosły — rzekł. — Pogodzi się z tym. Zrozumie, że sam musi poradzić sobie z Eldritchem, i zrobi to.

Podczas gdy oskarżenie Eldritch'a przed sądem nie przyniosłoby rezultatu, myślał. Mówi mi to mój zmysł jasnowidza.

— Buraki — powiedziała Anne. Usiadła na zderzaku automatycznej koparki i oglądała torebki z nasionami. — Nie znoszę buraków, więc proszę, nie sadź tu żadnych, nawet tych zmutowanych, które są zielone, wysokie i skórzaste, a smakują jak zeszłoroczna plastikowa klamka do drzwi.

— Czy myślałaś — powiedział — o przeprowadzeniu się tutaj?

— Nie.

Zmieszana, oglądała homeostatyczną skrzynkę kontrolną traktora i skubała wystrzępioną, częściowo przepaloną izolację jednego z przewodów zasilania.

— Jednak spodziewam się — powiedziała wreszcie — że od czasu do czasu wpadnę do was na obiad. Mimo wszystko jesteście naszymi najbliższymi sąsiadami.

— Słuchaj — powiedział — ta rozpadająca się nora, w której mieszkasz...

Urwał. Już się identyfikuję z mieszkańcami tego nędznego marsjańskiego baraku, który rzesza fachowców musiałaby naprawiać przez pięćdziesiąt lat...

— Mój barak — powiedziała jej — może pobić twój w dowolnym dniu tygodnia.

— W niedzielę też? Pewnie nawet dwa razy?

— W niedzielę — odparł — nam nie wolno. Czytamy wtedy Pismo.

— Nie żartuj z tego — powiedziała cicho Anne.

— Nie żartuję.

I naprawdę mówił poważnie.

— To co powiedziałeś przed chwilą o Palmerze Eldritch. . .

— Chciałem powiedzieć ci tylko jedną — rzekł Barney — może dwie rzeczy. Po pierwsze, że on — wiesz, o kim mówię — naprawdę istnieje, naprawdę tu jest. Chociaż nie taki, jak myśleliśmy, i nie taki, z jakim do tej pory się stykaliśmy. . . być może nigdy nie zdołamy tego pojąć. A po drugie. . . — Zawahał się.

— No, powiedz.

— On nie może nam wiele pomóc — rzekł Barney. — Może trochę. Jednak jest tu z pustymi, otwartymi rękoma; rozumie nas i chce pomóc. Próbuje. . . ale to nie takie proste. Nie pytaj mnie dlaczego. Może nawet on sam tego nie wie. Może jego też to dziwi. Nawet po tak długim czasie, jaki miał na przemyślenie tego faktu.

I całym tym czasie, jaki będzie miał później, myślał Barney, jeśli zdoła umknąć przed Leo Bulero. Jednym z nas, człowiekiem. . . Czy Leo wie, przeciw czemu występuje? A gdyby wiedział. . . czy odstąpiłby od swojego planu?

Na pewno nie. Jako jasnowidz Barney był tego pewien.

— To co spotkało Palmera Eldritch'a i wniknęło weń — powiedziała Anne — i z czym się zetknęliśmy, przewyższa nas i jak mówisz, nie możemy osądzić ani zrozumieć, czego chce i do czego zmierza; pozostaje dla nas tajemnicze i niezrozumiałe. Jednak wiem, że się mylisz, Barney. Coś, co przybywa z pustymi, otwartymi rękami, nie może być Bogiem. To istota stworzona przez coś jeszcze doskonalszego od niej, tak jak i my; Bóg nie został stworzony i niczemu się nie dziwi.

— Wyczuwam wokół niego — rzekł Barney — aurę boskości. Przez cały czas.

A szczególnie wtedy, myślał, gdy Eldritch mnie popychał, próbował nakłonić do spróbowania.

— Oczywiście — powiedziała Anne. — Myślałam, że to rozumiesz; On jest w każdym z nas, i w każdej formie życia takiej jak ta, o której mówimy, On będzie jeszcze bardziej widoczny. Jednak pozwól, że opowiem ci mój dowcip o kocie. Jest bardzo krótki i prosty. Gospodyni wydaje przyjęcie i ma śliczny, pięcioletni stek leżący na stole w kuchni i czekający na usmażenie, podczas gdy ona gawędzi z gośćmi w salonie. . . wypija kilka drinków i tak dalej. Później przeprosza gości na chwilę i idzie do kuchni, żeby usmażyć mięso. . . ale steku nie ma. A w rogu siedzi domowy kot, sennie się oblizując.

— Kot zjadł stek — powiedział Barney.

— Naprawdę? Gospodyni woła gości; spierają się o to. Mięsa nie ma; całych pięciu funtów; a w kuchni siedzi kot wyglądający na zadowolonego i najedzonego. „Zważcie kota” — mówi ktoś. Już trochę wypili i wydaje im się, że to dobry pomysł. Tak więc idą do łazienki i ważą kota na wadze. Waży dokładnie pięć funtów. Wszyscy to widzą i jeden z gości mówi: „Teraz mamy jasność. Stek jest

tu”. Teraz są pewni, że wiedzą, co się stało; mają dowód empiryczny. Później w jednym z nich budzą się wątpliwości i pyta ze zdumieniem: „Ale gdzie się podział kot?”

— Słyszałem już ten dowcip — powiedział Barney — i nie widzę związku...

— Ten żart jest najlepszą kwintesencją problemu ontologii. Jeśli się tylko zastanowić...

— Do diabła — rzekł ze złością. — Kot waży pięć funtów. To nonsens — nie mógł zjeść steku, jeśli waga dobrze wskazuje.

— Pamiętaj o chlebie i winie — powiedziała spokojnie Anne.

Wytrzeszczył oczy. Po chwili dotarło do niego, co powiedziała.

— Tak — ciągnęła. — Kot to nie stek. A jednak... mógł być formą, jaką w tym momencie przybrał stek. Kluczowym słowem jest tu „być”. Nie mów nam, Barney, że cokolwiek weszło w Palmera Eldritch, jest Bogiem, ponieważ nie wiesz o Nim aż tyle; nikt nie wie. Jednak ta żywa istota z międzygwiazdnej próżni może być — tak jak my — ukształtowana na Jego podobieństwo. Sposobem, jaki On wybrał, aby się nam objawić. Więc daj spokój ontologii, Barney; nie mów, czym On jest.

Uśmiechnęła się do niego z nadzieją w oczach, spodziewając się, że zrozumie.

— Kiedyś — rzekł Barney — może będziemy czcili ten pomnik.

I nie w uznaniu czynu Leo Bulero, myślał, chociaż jest on — a raczej będzie — godny podziwu. Nie, my wszyscy jak jeden mąż zrobimy to, ku czemu zmierzam; tchniemy w pomnik naszą daremną, żalną koncepcję nadprzyrodzonego. I w pewnym sensie będziemy mieli rację, ponieważ te siły są w nim. Jednak, jak mówi Anne, prawdziwy...

— Widzę, że chcesz zostać sam ze swoim ogrodem — powiedziała. — Myślę, że pójde do mojego baraku. Powodzenia. I, Barney... — Wyciągnęła rękę i mocno ucisnęła jego dłoń. — Nigdy nie pełzaj. Bóg, czy czymkolwiek jest ta istota, z którą się zetknęliśmy, nie chciałby tego. A nawet gdyby, nie powinienes tego robić.

Pochyliła się, ucałowała go i zaczęła odchodzić.

— Myślisz, że mam rację? — zawołał za nią Barney. — Uważasz, że jest sens zakładać tu ogród?

Czy też skończy się w znany sposób...

— Nie pytaj mnie. Nie wiem.

— Troszczysz się tylko o zbawienie swojej duszy — krzyknął za nią ze złością.

— Już nie — powiedziała mu. — Jestem strasznie, strasznie zbita z tropu i wszystko mnie denerwuje. Posłuchaj.

Wróciła do niego; jej oczy były mroczne, pozbawione blasku.

— Wiesz, co widziałam, kiedy złapałeś mnie i odebrałeś prymkę Chew-Z? Naprawdę widziałam, a nie wyobraziłam sobie.

— Sztuczną rękę. Zdeformowaną szczękę. Oczy. . .
— Tak — powiedziała słabo. — Elektroniczne, sztuczne oczy. Co to oznacza?
— To oznacza — rzekł Barney — że widziałaś absolutną rzeczywistość. Prawdę ukrytą pod pozorami.

Używając twojej terminologii, pomyślał, widziałaś stygmaty.

Przez chwilę wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma.

— A więc taki jesteś naprawdę? — powiedziała w końcu, cofając się z grymasem niechęci na twarzy. — Czemu nie jesteś tym, czym się wydajesz? Teraz przecież taki nie jesteś. Nie rozumiem. Żałuję, że ci opowiedziałam ten dowcip o kocie — dodała drżącym głosem.

— Moja droga — powiedział jej — dla mnie wyglądałaś tak samo. Przez chwilę. Odpychałaś mnie ręką, której z pewnością nie miałaś od urodzenia.

I tak łatwo znów mogło się to zdarzyć. Nieustająca Obecność; jeśli nie dosłowna, to potencjalna.

— Czy to klątwa? — spytała Anne. Cięży już na nas przekleństwo grzechu pierworodnego; czyżby miało się to powtórzyć?

— Ty powinnaś być z tych, którzy wiedzą; pamiętasz, co widziałaś. Wszystkie trzy stygmaty: martwą, sztuczną rękę, jensenowskie oczy i zdeformowaną szczękę.

Symbole jego obecności, myślał. Pośród nas. Nieproszonej. Nie żądanej świadomości. I nie mamy sakramentu, przez jaki moglibyśmy się oczyścić; nie możemy go zmusić naszymi ostrożnymi, sprytnymi, uhonorowanymi tradycją, gorliwymi rytuałami, aby ograniczył się do specyficznych postaci, takich jak chleb i woda czy chleb i wino. To jest wszędzie, rozchodzi się we wszystkich kierunkach. Zagląda nam w oczy; wygląda z naszych oczu.

— To cena — stwierdziła Anne — którą musimy zapłacić. Za naszą chęć doznań i zażywanie Chew-Z. Niczym za jabłko z drzewa wiadomości.

Jej głos był przepojony goryczą.

— Tak — zgodził się — ale myślę, że ja już ją zapłaciłem.

Albo byłem bardzo tego bliski, orzekł. To co poznaliśmy jedynie w ziemskiej powłoce, chciało, abym zastąpił je w chwili śmierci; zamiast Boga umierającego za ludzi, jakiego mieliśmy kiedyś, zetknęliśmy się — przelotnie — z istotą wyższą, proszącą, żebyśmy umarli za nią.

Czy to czyni go złym? — zastanawiał się. Czy wierzę w argumenty, które przedstawiłem Normowi Scheinowi? No, to z pewnością czyni go nieco pośledniejszym od tego, który przyszedł do nas dwa tysiące lat temu. Wydaje się, że nie jest niczym więcej ni mniej niż pragnieniem, jak mówi Anne, istoty stworzonej z prochu do osiągnięcia nieśmiertelności; wszyscy tego chcemy i wszyscy chętnie poświęcilibyśmy w tym celu kozła lub jagnię. Trzeba złożyć ofiarę. A nikt nie chce nią być. Całe nasze życie opiera się na tej zasadzie. I tak to jest.

— Do widzenia — powiedziała Anne. — Zostawiam cię samego; możesz siedzieć w kabinie koparki i zagłębiać się w to, aż dokopiesz się prawdy. Może kiedy znów się zobaczymy, system nawadniający będzie skończony.

Jeszcze raz uśmiechnęła się do niego i poszła w kierunku swojego baraku.

Po pewnym czasie wdrapał się do kabiny i zapuścił skrzypiący, pyłoszczelny mechanizm. Maszyna zawyla żałośnie. Szczęśliwi ci, którzy się budzą, pomyślał. Dla maszyny zagrzmiały właśnie trąby Sądu Ostatecznego, na który nie była jeszcze gotowa.

Wykopał może pół mili rowu, na razie pozbawionego wody, kiedy stwierdził, że podkrada się do niego jakieś stworzenie; marsjański coś-tam. Natychmiast zatrzymał koparkę i wyjrzał, by w zimnym marsjańskim słońcu zobaczyć, co to.

Trochę przypominało chudego, wygładzonego praprzodka wszystkich czworonogów; Barney uświadomił sobie, że to najprawdopodobniej ów szakal, przed którym wciąż go ostrzegano. W każdym razie cokolwiek to było, musiało nie jeść od wielu dni; spoglądało na niego pożądliwie, trzymając się w bezpiecznej odległości. Nagle odebrał telepatyczną projekcję myśli. Miał rację. To był szakal.

— Mogę cię zjeść? — pytał dysząc ciężko i łakomie rozdziawiając paszczę.

— Chryste, nie — rzekł Barney.

Gorączkowo szukał w kabinie koparki czegoś, co mogłoby posłużyć za broń; jego palce zacisnęły się na rękojeści ciężkiego klucza. Wymownym gestem pokazał go marsjańskiemu drapieżnikowi; klucz i sposób, w jaki go trzymał, mówiły same za siebie.

— Zejdz z tego urzędnika — myślał marsjański drapieżca z nadzieją i rozpaczą. — Tam nie mogę cię dosięgnąć.

Ta ostatnia myśl nie była przeznaczona dla Barneya, ale została wysłana mimowolnie. Stwór był pozbawiony finezji.

— Zaczekam — myślał sobie. — W końcu będzie musiał zejść.

Barney zawrócił koparkę i ruszył z powrotem w kierunku Chicken Pox Prospects. Maszyna sapiąc, ze szczękiem posuwała się w rozwścieczająco wolnym tempie; wydawało się, że za chwilę wysiądzie. Barney przeczuwał, że nie dojedzie do baraku. Może to stworzenie ma rację, powiedział sobie; może będę musiał zejść i stawić mu czoło.

Oszczędzony, rozmyślał z goryczą, przez nieskończenie wyższą formę życia, która owładnęła Palmerem Eldritchem i pojawiła się w naszym układzie — aby zostać zjedzonym przez głupie zwierzę. Kres długiej ucieczki, myślał. Ostateczne rozwiązanie, którego jeszcze pięć minut temu, mimo swoich zdolności jasnowidzenia, nie przewidywał. Może nie chciał przewidzieć... jak by triumfalnie oznajmił dr Smile, gdyby tu był.

Koparka zawyla, zadrzała i stanęła z bolesnym jękiem; życie tliło się w niej

jeszcze przez moment, po czym zamarło.

Przez chwilę Barney tkwił w milczeniu za konsolą maszyny. Stary marsjański szakal siedział opodal, nie spuszczał go z oka.

— Dobrze — rzekł do niego Mayerson. — Idę.

Wyskoczył z kabiny wymachując ciężkim kluczem. Zwierzę rzuciło się na niego.

Znalazszy się pięć stóp od Barneya zaskowyczało, gwałtownie skręciło i przeleciało obok, nie dotykając go. Barney okręcił się na pięcie i patrzył na szakala.

— Nieczysty — myślało zwierzę; zatrzymało się w bezpiecznej odległości i spoglądało z lękiem na człowieka. — Jesteś nieczysty — oznajmiło mu z odrazą.

Nieczysty, pomyślał Barney. W jaki sposób? Dlaczego?

— Po prostu — odparł telepatycznie drapieżnik. — Spójrz na siebie. Nie mogę cię zjeść; byłbym chory.

Zwierzę nie ruszało się z miejsca spoglądając z rozczarowaniem i odrazą. Było przerażone.

— Może wszyscy jesteśmy dla ciebie nieczyści — rzekł Barney. — Wszyscy z Ziemi, obcy na tym świecie. Wszyscy przybysze.

— Nie, tylko ty — oznajmiło mu ponuro zwierzę, — Spójrz tylko na — pfe! — swoje prawe ramię i dłoń. Z tobą jest coś nie w porządku. Jak możesz tak żyć! Czy nie potrafisz się w jakiś sposób oczyścić?

Barney nie trudził się oglądaniem swojej ręki; nie było potrzeby.

Spokojnie, z całą godnością, na jaką było go stać, ruszył dalej przez grząski piasek, do swojego baraku.

Tej nocy, gdy kładł się spać na wąskiej koi w swoim pokoju, ktoś zapukał do drzwi.

— Hej, Mayerson. Otwórz.

Założył szlafrok i otworzył drzwi.

— Ten statek znów przyleciał — krzyknął podekscytowany Norm Schein, łapiąc go za kłapy. — No wiesz, ten z ludźmi od Chew-Z. Zostały ci jakieś skóry? Jeżeli tak . . .

— Jeśli chcą się ze mną widzieć — rzekł Barney uwalniając się z uchwytu — będą musieli tu zejść. Możesz im to powiedzieć.

Zamknął drzwi.

Norm odszedł tupiąc głośno.

Barney usiadł za stołem, przy którym jadł posiłki, wyjął z szuflady paczkę — ostatnią — ziemskich papierosów i zapalił; siedział tak paląc i rozmyślając, słysząc na górze i wokół tupot nóg współmieszkańców. Jak duże myszy, pomyślał, które zwietrzyły przynętę.

Drzwi jego kwatery otworzyły się. Barney nie podniósł wzroku; dalej wpatrywał się w blat stołu, popielniczkę, zapalki i paczkę Cameli.

— Panie Mayerson.

— Wiem, co chcesz powiedzieć — rzekł Barney.

Wszedłszy do środka Palmer Eldritch zamknął drzwi, siadł naprzeciw Barneya i rzekł:

— Zgadza się, przyjacielu. Wypuściłem cię tuż przed tym, zanim się to stało, zanim Leo oddał drugi strzał. To była starannie przemyślana decyzja. Miałem sporo czasu na jej podjęcie; nieco ponad trzy stulecia. Nie powiem ci dlaczego...

— Nie obchodzi mnie dlaczego — przerwał mu Barney.

Nadal nie podnosił oczu.

— Nie możesz na mnie patrzeć? — zapytał Palmer Eldritch.

— Jestem nieczysty — poinformował go Barney.

— KTO CI TO POWIEDZIAŁ?

— Zwierzę na pustyni. Nigdy przedtem mnie nie widziało; poznało to, kiedy się do mnie zbliżyło.

Z odległości pięciu stóp, pomyślał. Tyle wystarczyło.

— Hmm. Może motyw... .

— Nie miało żadnych. Prawdę mówiąc wprost przeciwnie. Było półżywe z głodu i marzyło o tym, żeby mnie zjeść. Zatem mówiło prawdę.

— Dla prymitywnego umysłu — rzekł Eldritch — nieczysty i święty to jedno i to samo. Po prostu tabu. Rytualnie...

— Och, do diabła — rzekł ze złością Barney. — Mówiło prawdę i dobrze o tym wiesz. Jestem żywy i nie umrę na tym statku, ale jestem napiętnowany.

— Przeze mnie?

— Pomyśl, a zrozumiesz.

Po chwili milczenia Palmer Eldritch wzruszył ramionami i powiedział:

— W porządku. Wygnano mnie z pewnego układu planetarnego... nie powiem ci którego, ponieważ nie ma to żadnego znaczenia — więc zamieszkałem w tym szalonym, pragnącym szybko się wzbogacić przedstawicielu waszego gatunku. Trochę mnie przeszło również na ciebie. Jednak niewiele. Stopniowo, z biegiem lat pozbędziesz się tego. Inni koloniści niczego nie zauważą, ponieważ też są tym dotknięci; stało się to, kiedy zażyli środek, którego im dostarczyłem.

— Chciałbym wiedzieć — rzekł Barney — co zamierzałeś osiągnąć udostępniając nam Chew-Z.

— Wieczność — odparła spokojnie siedząca naprzeciw niego istota.

Barney podniósł wzrok.

— Reprodukacja?

— Tak; w jedynej dostępny mi sposób.

Ogarnięty przemożną niechęcią Barney powiedział:

— Mój Boże. Wszyscy bylibyśmy twoimi dziećmi.

— Teraz nie ma się co tym przejmować — powiedziała istota i zaśmiała się całkiem po ludzku, jowialnie. — Po prostu uprawiaj swój ogród, wykop system nawadniający. Ja naprawdę z utęsknieniem czekam na śmierć i będę rad, kiedy Leo Bulero zrobi to, o czym teraz myśli... co zaplanuje teraz, kiedy odmówiłeś zażycia toksyny zmieniającej metabolizm kory mózgowej. W każdym razie życzę ci szczęścia tu, na Marsie; mnie odpowiadałoby takie, ale cóż... nie wyszło.

Eldritch wstał.

— Mógłbyś powrócić do poprzedniego stanu — rzekł Barney. — Odzyskać postać, jaką miałeś, gdy napotkał cię Palmer Eldritch. Nie musisz tu tkwić, w jego ciele, gdy Leo otworzy ogień do twojego statku.

— Mógłbym? — rzekł drwiąco tamten. — Może wtedy spotkałoby mnie coś gorszego. Ty nie możesz tego zrozumieć; jesteś istotą, której życie trwa stosunkowo krótko, a krótkie życie oznacza o wiele mniej... — Urwał, zastanawiając się.

— Nie mów — rzekł Barney — nie chcę wiedzieć.

Kiedy znów podniósł wzrok, Palmera Eldritch już nie było.

Zapalił następnego papierosa. Co za bagno, pomyślał. A więc tak reagujemy, kiedy w końcu napotykamy inną rozumną istotę w Galaktyce. I tak ona się zachowuje; równie głupio jak my, a pod wieloma względami o wiele gorzej. I w żaden sposób nie można tego zmienić. Już nie.

A Leo sądził, że konfrontacja z Eldritchem wywołana zażyciem tej toksyny daje nam jakąś szansę. Zabawne.

I tak jestem tu, nie uczyniwszy tego, co miałem uczynić na użytek sądu. Fizycznie i psychicznie nieczysty.

Może Anne zdoła coś dla mnie zrobić, przyszło mu nagle do głowy. Może jest jakaś metoda powrotu do poprzedniego stanu — zanim ten się utwali. Próbował coś sobie przypomnieć, lecz tak mało wiedział o neochrześcijaństwie. W każdym razie warto spróbować; zawsze to jakaś nadzieja, a tej w nadchodzących latach będzie potrzebował.

Mimo wszystko istota mieszkająca w międzygwiazdnej próżni, a teraz przybierająca postać Palmera Eldritch, w pewnym stopniu była podobna do Boga; a jeśli nawet nie była Nim, orzekł Barney, to w każdym razie była częścią Jego dzieła. Tak więc część odpowiedzialności spoczywała na Nim. Barney był przekonany, że On jest wystarczająco dojrzały, aby zdawać sobie z tego sprawę.

Tylko jak sprawić, aby to przyznał. Mogło się to okazać znacznie trudniejsze.

Może jednak warto porozmawiać z Anne Hawthorne; ona może znać jakiś sposób, żeby tego dokonać.

Chociaż wątpił w to. Ponieważ miał okropne przeczucie; proste, łatwe do obleczenia w słowa, odnoszące się do niego samego i wszystkich innych, do całej tej sytuacji.

Istnieje coś takiego jak zbawienie. Jednak...

Nie dla wszystkich.

Wracając na Ziemię z zakończonej niepowodzeniem wyprawy na Marsa Leo Bulero bez przerwy konferował z towarzyszącym mu Felixem Blau. W końcu zrozumieli, co trzeba zrobić.

— On przez cały czas podróżuje między Wenus a innymi planetami oraz swoją siedzibą na Lunie — podsumował Felix Blau. — A wiemy, jak łatwo zniszczyć statek lecący w próżni; nawet niewielki otwór...

Zilustrował słowa gestem.

— Będziemy potrzebowali poparcia ONZ — rzekł ponuro Leo.

Jemu i jego organizacji pozwolono mieć tylko krótką broń. Nic, czego mógłby użyć jeden statek przeciwko drugiemu.

— Mam pewne dane, które mogą się przydać — rzekł Felix grzebiąc w swojej dyplomatce. — Jak chyba wiesz, nasi ludzie w ONZ mają doświadczenie do biura Hepburn-Gilberta. Nie możemy go z m u s i ć do niczego, ale przynajmniej możemy podyskutować.

Wyjął jakiś dokument.

— Nasz sekretarz generalny jest zaniepokojony stałym pojawianiem się Palmera Eldritch'a w trakcie każdej z tak zwanych „reinkarnacji” powodowanych życiem Chew-Z. I jest wystarczająco sprytny, aby właściwie zinterpretować ten fakt. Tak więc jeśli będzie się to powtarzać, Hepburn-Gilbert okaże się niewątpliwie bardziej skory do współpracy, choćby cichej...

— Pozwól, że cię o coś zapytam — przerwał mu Leo. — Od jak dawna masz sztuczną rękę?

Spojrzawszy, Felix chrząknął ze zdziwieniem. Później, zerknąwszy, na Leo Bulero, rzekł:

— I ty też. Ponadto jest coś nie tak z twoimi zębami; otwórz usta niech spojrzę.

Leo bez słowa wstał z fotela i poszedł do toalety, żeby obejrzeć się w dużym lustrze.

Nie było żadnych wątpliwości; nawet oczy. Zrezygnowany wrócił na swoje miejsce. Przez chwilę obaj nie odzywali się słowem; Felix mechanicznym ruchem przerzucał dokumenty — o Boże, myślał Leo, naprawdę mechanicznym! — a jego klient na przemian patrzył na niego albo na utkaną gwiazdami pustkę międzyplanetarnej przestrzeni.

Wreszcie Felix powiedział:

— W pierwszej chwili człowiek głupiej, prawda?

— Tak — przyznał ochryple Leo. — I co teraz? Co zrobimy?

— Zaakceptujemy — odparł Felix.

Uparcie przypatrywał się ludziom siedzącym po drugiej stronie przejścia. Leo spojrzął i też to zobaczył. Ta sama deformacja szczęki. Ta sama błyszcząca, metalowa prawa ręka; jedna trzymająca gazetę, inna książkę, jeszcze inna bębniąca

niecierpliwie palcami. Jeden w drugiego, wszyscy siedzący w fotelach, aż po kabinę pilotów. Tam pewnie też, uświadomił sobie Leo. Wszyscy.

— Jednak nie całkiem rozumiem, co to oznacza — poskarżył się Leo. — Czy jesteśmy... no wiesz. Pod wpływem tego okropnego narkotyku i...

Bezradnie machnął ręką.

— I obaj zwariowaliśmy, tak?

— Czy zażywałeś Chew-Z? — spytał go Felix.

— Nie. Od czasu dożylniej iniekcji na Lunie — nie.

— Ja także nie — rzekł Blau. — Wcale. Zatem to się rozprzestrzenia. Nawet bez zażywania narkotyku. On jest wszędzie; a raczej „to” jest wszędzie. Doskonale; Hepburn- Gilbert będzie zmuszony zrewidować swoje stanowisko. Będzie musiał spojrzeć faktom w twarz. Myślę, że Palmer Eldritch popełnił błąd; za daleko się posunął.

— Może nie mógł się powstrzymać — powiedział Leo.

Może ten przekłety stwór jest jak pierwotniak; musiał wchłaniać i rozrastać się... instynktownie rosnać i rosnać. Dopóki się go nie zniszczy, myślał. I my musimy tego dokonać; szczególnie ja; Homo sapiens evolvens. Ja jestem człowiekiem przyszłości. Jeżeli ONZ nam pomoże.

Jestem Zbawicielem, powiedział sobie, nowej rasy.

Zastanawiał się, czy zaraza dotarła już na Ziemię... Cywilizacja Palmerów Eldritchów; szarych, chudych, przygarbionych i niezwykle wysokich, a każdy ze sztuczną ręką, stalowymi zębami i elektronicznymi oczami. To nie byłoby miłe. On, Zbawiciel, wzdrygał się przed tą wizją. A jeśli to dotknie i nasze umysły? — zadawał sobie pytanie. Nie tylko wygląd zewnętrzny, ale i zmieniona mentalność... Co wtedy z moim planem zabicia tej istoty?

Założę się, że to nie jest realne, pomyślał. Wiem, że to ja mam rację, a nie Felix; wciąż jestem pod działaniem pierwszej dawki — nigdy nie odzyskałem świadomości, taka jest prawda. Ta myśl przyniosła mu ulgę; wciąż istniała prawdziwa, nietknięta Ziemia, tylko on majaczył. Obojętnie jak prawdziwy mógł się wydawać siedzący obok Felix, statek i wspomnienie wizyty na Marsie oraz rozmowy z Barneyem Mayersonem.

— Hej, Felix — rzekł trącając go łokciem. — Jesteś złudzeniem. Rozumiesz? To mój własny świat. Rzecz jasna nie mogę tego udowodnić, ale...

— Przykro mi — odparł lakonicznie Felix Blau. — Mylisz się.

— Ach, daj spokój! W końcu się obudzę, kiedy ten parszywy narkotyk przestanie działać. Będę pił dużo płynów, żeby szybciej wypłukać go z organizmu.

Pomachał ręką.

— Stewardesa — zawołał. — Proszę podać nam drinki. Dla mnie burbon z wodą.

Spojrzał pytająco na Felixa.

— To samo — mruknął tamten. — Tyle że z odrobiną lodu. Jednak nie za wiele, ponieważ kiedy się topi, psuje smak.

Po chwili stewardesa wróciła z tacą.

— Z lodem dla pana? — spytała Felixa.

Była śliczną blondynką o zielonych, błyszczących jak polerowane kamienie oczach, a kiedy się nachyliła, Leo dostrzegł ładnie zarysowane, wydatne piersi. Spojrzał na nie z uznaniem. Jednak zniekształcona szczęka psuła cały efekt. Poczuli się oszukani, okradziony. Zauważył też, że znikają i oczy za długimi rzęsami. Zmieniły się w... Odwrócił się, rozczarowany i przygnębiony, i nie patrzył, dopóki dziewczyna nie poszła. Uświadomił sobie, że w przypadku kobiet przemiana będzie szczególnie trudna do zniesienia; na przykład bez szczególnej przyjemności myślał o następnym spotkaniu z Roni Fugate.

— Widziałeś? — zapytał Felix.

— Tak i to dowodzi, że musimy działać szybko — powiedział Leo. — Zaraz jak wylądujemy w Nowym Jorku, odszukamy tego nędznego krętacza, Hepburn-Gilberta.

— Po co?

Leo spojrział uważnie i wskazał na sztuczne, błyszczące palce, którymi Felix trzymał kieliszek.

— Właściwie jestem z nich zadowolony — odparł Felix.

Tak też myślałem, pomyślał Leo. Właśnie tego się spodziewałem. Jednak wciąż wierzę, że się do ciebie dobiore; jeżeli nie w tym tygodniu, to w przyszłym. Jeśli nie w tym miesiącu, to kiedyś. Wiem; już znam siebie i wiem, co potrafię. Wszystko zależy ode mnie. I bardzo dobrze. Na tyle zajrzałem w przyszłość, aby nigdy nie rezygnować, nawet jeśli będę jedynym, który nie ulegnie, który wciąż zachowa dawny, preeldritchowski sposób życia. Niczym innym, jak wiarą w moc, którą od początku posiadam, nie mogę się podeprzeć i zwyciężyć. Tak więc w pewnym sensie to nie ja; to coś we mnie, czego nawet Palmer Eldritch nie jest w stanie osiągnąć i wchłonąć, ponieważ jako nie należące do mnie, nie może być utracone. Czuję, jak rośnie. Znosząc zewnętrzne, nieistotne zmiany, takie jak ramię, oczy i zęby — nietknięte przez żaden z trzech stygmatów zła, jakie Palmer Eldritch sprowadził z Proximy; wyobcowanie, oderwanie od rzeczywistości i rozpacz.

Żyliśmy już tysiące lat gnębieni jedną plagą, myślał, która częściowo zniszczyła naszą świętość płynącą ze źródła lepszego niż Eldritch. A jeśli to nie jest w stanie zupełnie pozbawić nas ducha, to co może tego dokonać? Czy „to” zamierza dokończyć dzieła? Jeśli tego chce... jeśli Palmer Eldritch wierzy, że po to tu przybył — jest w błędzie. Ponieważ tą siłą zostałem obdarzony bez mojej wiedzy... i nawet ta pradawna zaraza nie zdołała mi jej odebrać. Widzicie?

Mówi mi to mój zewoluowany umysł, pomyślał. Terapia E nie była daremna.

Może pod pewnym względem nie będę żył tak długo jak Palmer Eldritch, lecz pod innym znacznie dłużej; przeżyłem sto tysięcy lat przyspieszonej ewolucji i stałem się bardzo mądry — opłaciło się. Teraz mam pewność. A w kurortach Antarktyki znajdę innych, podobnych do mnie; stworzymy gildię Zbawców. Ratujących resztę ludzkości.

— Hej, Blau — powiedział, szturchając sztucznym łokciem siedzącego obok towarzysza. — Jestem waszym potomkiem. Eldritch przybył tu z innej przestrzeni, a ja z innego czasu. Rozumiesz?

— Uhm — mruknął Felix Blau.

— Popatrz na moją czaszkę, wysokie czoło; jestem baniogłowy, no nie? A ten czub; nie tylko na szczycie, ale na całej głowie. Więc w moim przypadku terapia naprawdę przyniosła wyniki. Zatem jeszcze się nie poddawajcie. Wierźcie we mnie.

— Dobrze, Leo.

— Trzymaj się mnie. Będiesz mi potrzebny. Może będę na ciebie patrzył parą lukswidowych, sztucznych, jensenowskich oczu, ale wciąż będę tam, w środku. Dobrze?

— Dobrze — odparł Felix Blau. — Jak chcesz, Leo.

— „Leo”? Jak możesz dalej mówić mi „Leo”?

Sztywno wyprostowany w swoim fotelu, mocno ściskając poręczę, Felix Blau spoglądał na niego błagalnie.

— Pomyśl, Leo. Na Boga, pomyśl.

— No tak. — Otrzeźwiawszy nagle, Leo pokiwał głową; czuł się skarcony. — Przepraszam. To chwilowe. Wiem, o co ci chodzi; wiem, czego się obawiasz. Jednak to nic nie znaczy.

Po chwili dorzucił:

— Będę myślał. Już nie zapomnę.

Solennie pokiwał głową.

Statek pędził dalej, wciąż bliżej i bliżej Ziemi.